



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Żnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

KAIS. KÖN. HOF



BIBLIOTHEK

62.724-B

Neu-

ÖNB



+Z338102800

W BRAZYLII.



Ks. ZYGMUNT CHEŁMICKI.

W BRAZYLIJ.

NOTATKI Z PODRÓŻY.

(Z licznymi ilustracyami w tekście).



WARSZAWA.

SKŁAD GŁÓWNY W ADMINISTRACYI »SŁOWA«

Mazowiecka Nr. 11.

1892.

62724-B.

Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem J. Gadowskiego.

Drogiemu towarzyszowi podróży

p. *Nikołajowi Glince*

ku pamięci

chwil razem przebytych

w dowód

szacunku i trwałej przyjaźni

pracę tę poświęca

Antar



PRZEDMOWA.

Wyjeżdżając do Brazylii, nie miałem wyobrażenia, o ile i czy w ogóle uda mi się zebrać poważniejszy materiał o stosunkach tamtejszych, któryby z jednej strony pouczył łatwowiernych, o tem, co ich rzeczywiście czeka za morzami, a z drugiej zajął czytelników. Doraźne też notatki moje, posyłane do pism warszawskich, nie mogły mieć pretensyi do poważniejszej pracy, ale po prostu zdawały sprawę z tego, com widział, słyszał i zgromadził osobiście. Powróciwszy do kraju, przekonałem się, że owe „Notatki“ zostały życzliwie przyjęte, a nawet, że żywsze obudziły zainteresowanie. Istotnie, tak szczęśliwie złożyły się okoliczności, że w stosunkowo krótkim czasie mego pobytu nastąpiło mi się dość sporo szczegółów, rzucających wyraźne światło zarówno na dotychczasową i przyszłą wychodźcy polskiego

w Brazylii, jak i na stosunki tego kraju, o którym kłamliwi agenci zgola fałszywe usiłują wytworzyć wyobrażenie. Te względy skłoniły mnie też i obecnie do uzupełnienia moich pierwotnych notatek i ujęcia ich w pewną skończoną całość. Przywiezione przezemnie fotografie, oraz szkice, wykonane z artystycznem poczuciem realnej prawdy przez p. Henryka Piątkowskiego, dadzą czytelnikowi możność wytworzenia sobie dokładniejszego pojęcia o Brazylii.

Pracę moją oddaję do użytku czytelników, a jeżeli owocem jej będzie, że rozproszy ostatnie złudzenia co do „zamorskiego szczęścia“, jeżeli łatwowiernych, lekkomyślnych, ochroni od oplakanej doli, która ich niechybnie czeka w Brazylii, jeżeli wreszcie stworzy trzeźwe wyobrażenie o stosunkach tamtejszych, czuć się będę nad wyraz szczęśliwym, sownie wynagrodzonym za poniesione trudy i dziękować będę Bogu Wszechmocnemu, że mi dozwolił tego zadania dokonać.

Autor.

I.

W redakcyi. — P. Mikołaj Glinka. — Niespodziana propozycja. — Pobudki. — Moja refleksya i obawy. — Los Dygasińskiego. — Wyjazd.

zień 9-go marca pozostanie na zawsze w mojej pamięci.

Jak zwykle około południa, siedziałem przy swoim biurku redakcyjnem, wyławiając z dzienników zagranicznych wiadomości do „Przeglądu politycznego“.

W redakcyi panuje o tej porze uroczysta cisza, wśród której słyhać tylko skrzypienie biegnących po papierze piór, przerywane od czasu do czasu odgłosem dzwonka i stereotypowem „chłooopak!!!“ — poczem zpoza stosu gazet wyciąga się ręka, uzbrojona w kartkę drobnym maczkiem zapisanego papieru, którą ów „chłooopak“ — zazwyczaj przyszła chluba zecerni, tymczasem jednak zamorusany malec — chwytając i coprędzej niesie do drukarni, aby w kilka godzin później jej zawartość znalazła się na łamach drukowanego „Słowa“.

W Brazylii.

O tej porze goście nie są mile widziani w redakcyi, każda bowiem minuta jest drogą, a utrata jej, choćby w najprzyjemniejszej rozmowie, grozi spóźnieniem dziennika, wprzód jednak interwencją tego samego „chłooopaka“, który, jako mandataryusz drukarni, staje nad opóźniającym się delikwentem i z całą powagą wygłasza: „Zecerzy czekają na manuskrypt!“ Wprawdzie na drzwiach redakcyi widnieje drukowany napis: „Członkowie redakcyi przyjmują interesantów i znajomych nie wcześniej aż po godzinie 1-szej i proszą usilnie, aby im do tej godziny nie przeszkadzano w pracy“, jednak zazwyczaj się zdarza, iż właśnie w tej porze liczba łaskawych gości bywa największa, przyprawiając o niemały kłopot tych, których zaszczyca swoją obecnością.

Są jednak goście uprzywilejowani, bynajmniej nie dla ich szczególnego stanowiska w hierarchii społecznej, ale dla przyjacielskich i bliskich stosunków z redakcją, skutkiem których z całą swobodą można ich prosić o kilka minut cierpliwości, zanim przynajmniej do połowy zapisana kartka nie znajdzie się w drodze do drukarni. Do rzędu tych ostatnich należy kochany pan Mikołaj Glinka, który w każdej porze jest witany powszechnem: „Aaa! kochanego pana radcę!“ — po kilku zaś minutach wyrozumiałej cierpliwości otaczany redakcyjnym kółkiem.

Otóż, w onym pamiętnym dla mnie dniu, kiedy dzięki naprężonym między redakcją a drukarnią stosunkom, śpieszący się zegar wskazywał godzinę po-

łudniową, wszedł p. Mikołaj i tym razem kierując się wprost ku mnie, po krótkiem uściśnieniu ręki oznajmił:

— Przychodzę z interesem do rektora!

Postawiwszy kropkę na końcu długiego łańcucha koszlawych liter — nawiasem mówiąc, przyprowadzających o rozpacz pocziwych zecerów, którym jedy-



Mikołaj Glinka.

nie zawdzięczam, że siebie samego przynajmniej w druku czytać mogę — podążyłem za kochanym gościem do przyległego redaktorskiego przybytku.

— Otóż jestem — rzekłem — czem służyć mogę?

Wydawało mi się, że p. Glinka miał minę uroczystą.

— Panie Mściśławie i panie Antoni — rzekł, trzymając mnie za rękę — proszę, chcecie-no poprzeć moją sprawę!

Dreszcz przeszedł po mojej skórze. Jak piorun uderzyła mnie myśl: oto z poręki p. Mikołaja przybywa mi dziewięćdziesiąta siódma osiemdziesięcioletnia kandydatka do Schronienia nauczycielek, a tu ani kawałka wolnego miejsca niema. Powoli tedy układałem sobie w głowie cały szereg argumentów, aby przekonać o niemożności spełnienia jego żądań.

Tymczasem nadeszła reszta kolegów redakcyjnych.

— No, rektorze — rzekł p. Glinka — mówiąc krótko i węzłowato, musisz jechać ze mną do Brazylii!

— Co?! — wyrwało się jednogłośnie z czterech ust.

— Kochany radca w doskonałym humorze — odparłem, śmiejąc się.

— Nigdy nie mówiłem bardziej seryo, jak w tej chwili — ciągnął dalej p. Mikołaj. — Wiecie sami doskonale, jakie rozmiary przybrało wychodźstwo do Brazylii. Ludzie, obalamuceni obietnicami agentów, ulegli formalnej chorobie emigracyjnej. Nic nie pomogły wszelkie perswazyje. „Panowie — mówią — zazdroszczą nam szczęścia!“ Przestrogi księży pozostają bez skutku. Na wiosnę podobno, kto żyw, wybiera się za morze. Sami drukowaliście rozdzierające serca listy tych, którzy, uległszy namowom werbowników, udali się do Brazylii. Sprawozdania Dygasińskiego są jednym okrzykiem boleści i zgrozy nad dolą tych nieszczęśliwych. Niema więc rady; trzeba, aby ci,

którzy zakosztowali niedoli brazylijskiej, sami stali się przestrogą i odstraszeniem dla łatwowiernych. W tym celu, za zezwoleniem władz, postanowiono sprowadzić kilkuset tych biedaków, pochodzących z różnych powiatów kraju. Otóż, przed chwilą podjąłem się tej misji, z warunkiem jednakże, że pojedziemy we dwóch. Cokolwiek się stanie, jakkolwiek będzie rezultat praktyczny naszej podróży, spełnimy obowiązek miłosierny; reszta w ręku Pana Boga!

Im dłużej mówił p. Glinka, tem bardziej rozumiałem, że podróż do Brazylii nie była żartem, ale sprawą seryo, że spadał na mnie zgoła niespodzianie obowiązek poważny. Nic więc dziwnego, że popadłem w głęboką zadumę.

Kiedy p. Glinka skończył, głucho zapanowało milczenie. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem tak znieścacka uczynionej propozycji.

— No jakże? — nalegał p. Mikołaj.

Cóż miałem odpowiedzieć? Jeżeli człowiek w tym wieku i tych obowiązków podejmował się zamorskiego posłannictwa, czyż mogłem się wahać?

— Dobrze — odrzekłem krótko — lecz nie załężę od siebie. Zechciej się radca zwrócić do mego Arcypasterza, od którego zawisnie ostatnia decyzja. Ksiądz, jak żołnierz, idzie tam, gdzie mu iść każą.

— Więc jedziemy — rzekł mój przyszły towarzysz, rzucając mi się na szyję — wiem, że za chwilę przyniosę arcypasterskie pozwolenie i błogosławieństwo.

Nie mylił się pan Glinka. W godzinę później

wyjazd mój został zdecydowany. Oto, w jaki sposób ułożyła się moja podróż do Brazylii.

Dzięki łaskawej uprzejmości J. E. Naczelnika kraju, nadeszło w przeciągu pięciu dni telegraficzne upoważnienie do wydania mi paszportu. Pozostawało więc tylko przygotować się do podróży.

Wyznaję, że nie mam w sobie ani jednej żyłki turysty. Wszelkie wycieczki nie nęciły mnie nigdy. Szczególnie zaś czułem nieprzewyciężoną odrazę do podróży morskiej. Raz tylko w życiu płynąłem z Tryestu do Wenecyi, a tych kilka godzin, spędzonych wówczas na morzu, wystarczyło, aby mi nazawsze odebrać ochotę do wodnej przeprawy.

Z tej więc strony podróż obecna nie przedstawiała dla mnie najmniejszego uroku.

Pozostawał tylko obowiązek. Spełnić go pragnąłem według sił i umiejętności moich, ale to, com słyszał o losie naszych biedaków w Brazylii, napępiało mnie trwogą. Czy istotnie choć w drobnej części podołam zadaniu? Czy uda mi się przynieść im szczyptę duchowej pociechy, a nawzajem: czy przywiozę ze sobą do kraju dosyć odstrasającego materiału, aby posłużył do częściowego choćby opamiętania dotkniętych emigracyjną chorobą?

Ten ostatni wzgląd niepokoił mnie szczególnie. Wiem, jak wysoką jest skala wymagań naszej opinii publicznej względem każdego, komu przyszło spełniać obowiązek. Wyrozumiali i pobłażliwi dla siebie samych, jesteśmy nieubłagani dla drugih. Miałem zresztą wymowny przykład na Dygasińskim, którego

za poniesione trudy i ciężki móżół, spotkał szereg nieuzasadnionych pretensyj i do niedorzeczności czasami posuniętych zarzutów. Ten sam los czekał prawdopodobnie i mnie, a może nawet surowszy, gdyż pod wieloma względami wyjeżdżałem w pomyślniejszych warunkach, niż on.

Cóż więc dziwnego, że mi było ciężko na duszy, że smutne myśli snuły się ustawicznie po mojej głowie. Doszło do tego, że wkońcu z utęsknieniem oczekiwałem chwili, kiedy się znajdę w pociągu. Miałem wrażenie tego, któremu zimno, a każą mu skoczyć do wody. Chciałem więc już raz skoczyć, w nadziei, że wobec faktu dokonanego inne zaprzętać mnie będą myśli, nie zaś ustawiczna obawa, niepokój i ponure przewidywania.

Wobec tego istotnie pewną ulgą było dla mnie znaleźć się w dniu 25-tym marca na dworcu warszawsko-wiedeńskim i ujrzeć naokoło siebie grono drogich sereu osób, z których każda twarz zdawała się mówić: „Ufaj w Boga i wracaj szczęśliwie!” — a każde przyjacielskie uściśnienie ręki dodawało otuchy i odwagi. To też, wsiadając do pociągu z silną wiarą i nadzieją, rzekłem w duszy:

— A więc naprzód w imię Boże!

Za chwilę dano sygnał. Pociąg ruszył, a wśród kłębow dymu ujrzałem tylko powiewające chustki.

Długo jeszcze stałem przy oknie, myślą przykuty do tych, których dopiero co żegnałem. Mimowoli łza gorąca spłynęła po mojej twarzy. Spojrzałem na mego drogiego towarzysza i on miał oczy wilgotne. Mil-

czący podaliśmy sobie dłonie i czuliśmy obaj, że silny ich uścisk łączył nas na długo — na zawsze.

Pociąg tymczasem biegł coraz dalej. Tu i owdzie na stacyach wyciągnęła się ku nam jeszcze życzliwa ręka, której towarzyszyło szczere i serdeczne: „Z Bogiem!”

Zmrok zapadał, a blade światło lampy wagonowej nie zdołało nas wyrwać z głębokiej zadumy. Wobec natłoku myśli i uczuć, dławiących głowę i serce, zamarły słowa.

Brzask dnia wiosennego zaskoczył nas pod Berlinem.

II.

Berlin. — Zdumiewająca zmiana. — Przybycie do Bremy. —
Luźne szczegóły o emigrantach. — Stowarzyszenie św. Rafała. —
Ks. Schlosser i Prahaz. — Opowiadanie ks. Schlossera o emi-
grantach. — Bytność w „Lloydzie“ i układ z nim. — Wizyta
u emigrantów. — Daremne przestrogi. — Miasto nowe i stare. —
Bremerhawen. — Wyjazd do Paryża. — Wspomnienia.

 Nie byłem w Berlinie od lat 19-tu. W mojej pa-
mięci przeto tkwił Berlin nawskróś pruski —
sztywny, urzędowy i gburowaty. Odtąd skwapliwie
unikałem stolicy zjednoczonych Niemiec, woląc ra-
czej drogi nałożyć, niż o nią zawadzić. Jakaż olbrzy-
mią zastałem obecnie zmianę? Sam wjazd kolejną miej-
ską każe przeczuwać, że w ciągu tych lat 19-tu Ber-
lin zmienił swój dawny charakter i postać. Owe dłu-
gie, wspaniałe, lśniące czystością ulice, zbytkowne wy-
stawy sklepów, równające się pałacom domy, a przytem
ruch gorączkowy, tłumny, wszystko to było dla mnie
niemal zdumiewającą nowością. Stare lipy zachowały

tylko dawny wygląd, a choć je upstrzono elektrycznymi lampami, zwieszającemi się wśród żelaznych festonów, pruskiego stempla nikt z nich zdjąć nie zdoła. Miałem zaledwie kilka godzin czasu, a przytem potrzebę zaopatrzenia się w niezbędne książki i mapy. O zwiedzaniu więc dzisiejszego Berlina nie było mowy. Wyniosłem tylko przelotne wrażenie, przebiegając zaledwie niektóre ulice, ale i to wystarczyło mi, aby przyznać, iż Berlin — o czem zresztą Niemcy z taką dumą głoszą — zamienił się w prawdziwy „*Weltstadt*“.

O 12-tej wychodził pociąg do Bremy, trzeba się było śpieszyć, tem więcej, że pragnęliśmy na Święta dotrzeć do Paryża, a tu już był Wielki czwartek. Wyruszyliśmy zatem w dalszą drogę.

Czas biegł nam równie niemal szybko, jak pociąg. Tyle było spraw do omówienia, tyle projektów do ułożenia, że nie obejrzeliśmy się, kiedy o 9-tej wieczorem stanęliśmy w Bremie.

Pora była już zapóźna, aby rozpocząć jakiegokolwiek kroki. Ograniczyliśmy się przeto do zasiągnięcia tu i owdzie luźnych wiadomości o emigrantach. Na samym wstępie zaręczono nam prawie jednomyślnie, że ostatniemi czasy liczba emigrantów z Królestwa Polskiego znacznie się zmniejszyła, tak, iż odjeżdżający okręt zaledwie jakieś 30 rodzin ze sobą zabrał do Brazylii. Są to emigranci najbiedniejsi, nieposiadający żadnych środków, za których przewóz płaci rząd brazylijski. Inni, mający jakie takie za-

soby materyalne, udają się zazwyczaj do Stanów Zjednoczonych.

Każdy, kogośmy o emigrantów naszych zapytywali, rozpoczynał zazwyczaj odpowiedź swoją od apostrofy: „*Ach, die armen Leute!*“ i w trop za tem cytował nam cały szereg szczegółów o niedoli, bezradności i zupełnem ogłupieniu tych biedaków. Zdaje mi się, że w przekonaniu Bremeńczyków są oni synonimami nędzy, ubóstwa, a nadewszystko łatwowierności. Mogę też słusznie powiedzieć, że więcej zdarzyło mi się zauważyć współczucia nad nimi, niż skłonności do wyzysku i zdzierstwa.

Łatwo się domyśleć, że te szczegóły żadną miarą zadowolić nas nie mogły. Postanowiliśmy dotrzeć do najobfitszego, a zarazem najrzetelniejszego źródła, a te nam jednomyslnie wskazano w dwóch kapłanach tutejszych, ks. Schlosserze i Prahazu, stojących na czele stowarzyszenia św. Rafała, które ma za cel rozpostrzeć moralną i materyalną opiekę nad emigrantami.

Stowarzyszenie to założone zostało w r. 1872, na wiecu katolickim w Moguncyi. Na czele jego stanął ks. Karol Isenberg-Bernstein. Posiada ono we wszystkich znaczniejszych portach Europy i Ameryki swoich mężów zaufania, a więc w Bremie, Hamburgu, Antwerpii, Hawrze, Liwerpolu, Nowym Yorku, St.-Paulo, Rio-Grande i t. d. Stowarzyszenie liczy wielu członków i od osób miłosiernych znaczne otrzymuje zasiłki. Zadaniem jego jest wszelkimi siłami od emigracyi odwodzić, gdy jednak usiłowania te

okażą się bezskutecznymi, przynajmniej czuwać nad wychodźcami, śpieszyć z religijną pociechą, strzedz od wyzysku i służyć radą.

Mężem zaufania w Bremie jest ks. Schlosser, któremu do pomocy został dodany ks. Prahaż (Morawczyk). Ks. Schlossera mogą nazwać słusznie aniołem opiekuńczym emigrantów. Przez lat 19, odkąd pełni on swoje chwalebne posłannictwo, przeszło milion tych nieszczęśliwych ludzi przewinęło się przez jego ręce. Przybywszy do Bremy, która odznacza się zacięłą nienawiścią do katolików, umiał zjednać sobie nie tylko powszechną cześć, ale i wpływ olbrzymi. Kapitanowie okrętów, urzędnicy kolejowi, wreszcie gospodarze, przyjmujący emigrantów na pomieszkanie, ulegają mu. On to wyjednał, że na okrętach, które były stekiem zgorszenia i rozpusty, przestrzegają obecnie ściśle przyzwoitości i rozdzielają emigrantów wedle płci (mężczyźni nieżonaci na przodzie okrętu, małżeństwa w średniej części, niezamężne kobiety przy sterze).

— Nieraz zdarzyło się — opowiadał mi — że gospodarz, do którego przybyłem, aby rozmówić się z emigrantami, wyrzucał mnie za drzwi. Obecnie większość ich przychodzi do mnie wpisywać się na listę tych, nad którymi mam prawo rozciągać kontrolę.

Jemu zawdzięczają emigranci liczne ulgi, jakich w ciężkich chwilach z różnych stron doznają. Tysiące przy jego pomocy i pośrednictwie powróciło do swoich rodzin, tysiące zaś wielbi jego imię, że ich odwiódł od złowrogoego opuszczenia kraju. Na każdym

odpływającym okręcie, on ojcowskiem okiem wprzód przestrzega, czy komu nie dzieje się krzywda, a następnie gorącym słowem do miłości Bożej zachęca, wreszcie odpływających błogosławi.

Była godzina 8 rano, kiedyśmy zapukali do drzwi ks. Schlossera. Za chwilę wyszedł do nas i po wymianie wzajemnych rekomendacyj i wskazaniu celu naszego przybycia, byliśmy jak starzy, dobrzy znajomi. Ks. Schlosser liczy lat 51, jest czerstwy, wzrostu średniego, włosów jasnych, gdzieniegdzie przyprószonej siwizną, rysów bardzo wyraźnych i dziwnie ujmujących. Krótki wzrok zdradza okulary. Mówi żywo i z przejęciem, przedstawiając barwnie liczne szczegóły swego bogatego doświadczenia.

— Widziałem — opowiadał nam — wiele niedoli wśród emigrantów, ale to, co spotkałem wśród waszych ziomków, przechodzi wszystko. Żaden z nich nie zdaje sobie sprawy, poco jedzie... Nęca ich najniedorzeczniejsze nadzieje. Opowiadają różne brednie o Brazylii, które widocznie wmówili w nich agenci, korzystając z ich łatwowierności. Staralem się wszelkimi siłami odkryć im prawdę. Dawałem dowody niedoli, jaka ich czeka. Nic to nie pomagało. Ks. Prahaź czynił to na kazaniach. Wówczas, szemrząc, opuszczali kościół. Przyczyny, jakie według ich zaręczeń miały ich skłonić do opuszczenia kraju, były, jak się sam poprzednio i obecnie od panów przekonywam, zazwyczaj kłamane. Wogóle lud to dziwnie nawykły do kłamstwa. Iluż naliczyłbym takich, którzy przychodzili do mnie, prosząc o jałmużnę, lub o kęs

chleba, zaręczając, że mrą z głodu. W kilka dni później zmieniali ci sami dziesiątki i setki rubli u wexslarzy, co, nawiasem mówiąc, przyrzekałem wszystkim sam dopełnić, obawiając się, aby ich nie oszukano. Wogóle, wierzajcie mi panowie, ubolewam więcej nad moralną, niż materyalną nędzą tych ludzi. Gdy im dawał datki, rzucali mi się do nóg, następnie spotykali mnie, nie pokłoniwszy się, udając, że mnie nie znali. Jakież to przytem fizycznie słabe! Według mego doświadczenia, wszystkich starszych i dzieci zabije w krótkim czasie klimat brazylijski. Zaledwie młodszy ocaleją do miernego i nad wyraz uciążliwego żywota.

Streściłem z umysłu słowa ks. Schlossera, które dają miarę, jak smutne doświadczenia musiał on tutaj zbierać. Niebawem sam miałem sposobność przekonać się o tem.

Od ks. Schlossera dowiedzieliśmy się, o czem bezzwłocznie „Słowo“ i „Kur. Warsz.“ telegrafowałem, że rząd brazylijski zabronił dalej przyjmować polskich emigrantów. Wiadomość tę otrzymał „Nordd. Lloyd“, który w niemałym znajduje się kłopotcie, co zrobić z tymi, którzy już odpłynęli, a których wobec tego rząd brazylijski nie pozwoli wysadzić na ląd. Ci, którzy się obecnie znajdowali w Bremie, więcej na pokład przyjęci być nie mogli. Podobno powodem zakazu były zaburzenia, jakie skutkiem nędzy i rozczarowania dwukrotnie wywołali emigranci polscy. Bliższych szczegółów oczekiwano wieczorem.

Z ks. Schlosserem udaliśmy się do dyrektora

„Lloyda“, celem ułożenia ceny przewozu za powracających z Brazylii. Przyjął nas p. Peters, człowiek bardzo uprzejmy. Wyłuszczywszy powód naszego przybycia, wyraziliśmy nadzieję, że „Lloyd“ zechce w humanitarnem poczuciu zredukować, o ile możliwości, ceny. Po krótkiej rozprawie, do której ks. Schlosser dorzucił kilka słów, p. Peters zgodził się na następujące ustępstwa:

Za przewiezienie z portu Rio Janeiro do Bremy:
Dorosłego, zamiast 150 m., 120 m.

Niedorosłego od 6 — 12 lat, zam. 75. m., 60 m.

„ „ 1 — 7 „ „ 37½ m., 30 m.

Niżej roku darmo.

Nadto „Lloyd“ wziął na siebie dostawienie powracających do granicy (Mława lub Aleksandrów) III-cią klasą, licząc cenę IV-tej, a mianowicie całą cenę od pierwszej kategorii (15 lat — 14 marek), pół ceny od drugiej i trzeciej kategorii.

Wreszcie na żywność każdy otrzyma 2 marki.

Naturalnie łatwo się domysleć, że pragnęliśmy zobaczyć się z wychodźcami, którzy w tym czasie byli w Bremie. Ks. Schlossera zatrzymały zajęcia Wielko-piątkowe, natomiast ks. Prahaz ofiarował się nam za przewodnika. Młody ten kapłan, zaledwie kilka lat temu wyświęcony, przybył do Bremy dla niesienia słowiańskim i czeskim emigrantom pociechy. Mówi po czesku, choć obecnie przyswoił sobie trochę i język polski. Poczciwa to, w całym znaczeniu, dusza i swemu posłannictwu z całym poświęceniem oddany kapłan. Nie szczędził ni trudu, ni pracy, aby

zbląkanych opamiętać i łatwowiernym oczy otworzyć. Niestety, daremnie. W zamian za to spotykała go nie tylko obojętność, ale często wymysły, obelgi a nawet zniewagi.

Z nim to udaliśmy się do niejakiemu Hessego, gdzie przebywało 34 emigrantów dorosłych i 18 dzieci. W przedsionku spotkaliśmy trzech wyrostków, jak się okazało czeladników z Lublina. Z papierosem w ustach i miną zadzierzystą, z trudnością weszli z nami w rozmowę. Oświadczyli nam krótko i wężłowato, że nie mają nic do stracenia.

Poszliśmy dalej.

W dużej izbie, która jednocześnie służyła za szynkownię, zastaliśmy drzemiących na ławach i stołach emigrantów i ich żony. W kątach, na podłodze, bawiły się dzieci, z których kilkoro starszych grało w karty.

Na zwykłe powitanie: „Niech będzie pochwalony!“ powstali wszyscy i otoczyli nas kołem.

— Zkądżeś to mój przyjacielu? — zapytałem najbliżej stojącego chłopca, na którego twarzy mało wało się dziwne przygnębienie.

— Ano z Makowca, zpod Lipna.

— A jak się nazywasz? — Tu widziałem jak obok stojąca żona poczęła go usilnie ciągnąć za sukmanę.

— Nie powiem!

— A dlaczegoż nie chcesz powiedzieć, przecież widzisz kim jestem?

Chłop zaczął drapać się po głowie, a żona, widocznie obawiając się, aby nie uległ, szarpała go coraz silniej.

— No mniejsza o to — rzekłem. — Ile wiesz z sobą dzieci?

— Sześcioro, a siódme może Pan Bóg da w drodze.

— Dlaczego jedziesz do Brazylii?

— Bo inni jechali i mówią, że tam będzie lepiej.

— A czy ci w domu było źle?

— Bodaj tam dobrze! Nie było co w gębę włożyć. Człek z dziećmiakami i babą ledwie z głodu nie umarł.

Gospodarz, do którego zwróciłem się z zapytaniem o szczegóły, objaśnił mnie tymczasem, że ów umierający z głodu biedak przybył przed kilkoma dniami, że przywiózł ze sobą 200 rs., z których zapłacił za siebie i rodzinę żywność do 10 kwietnia. Zacząłem mu wtedy wyrzucać kłamstwo; nic nie odpowiedział, tylko mruczając, odszedł dalej. Nie dałem jednak za wygraną. Nalegałem na żonę, przedstawiając, aby coprędzej wracała do domu, gdyż na okręt już nikogo nie wezmą, a rząd brazylijski nowych emigrantów nie przyjmie. Potwierdzał to ks. Prahaz. Wreszcie gospodarz łamaną polszczyzną zaręczał: „Nie pojedzieta!“ Wszystko to na nic się nie zdało.

— A no, to tutaj pomrzewa, a do domu nie wróciwa! — dano mi wreszcie jako ostateczną odpowiedź.

Poszedłem do drugiej grupy. Stał w niej niejaki Krupa, stróż warszawski z Chmielnej ulicy, wraz z żoną i dziećmi. Ci ostatni wyczerpali już wszy-

stkie środki i żyli z jałmużny, dawanej przez innych emigrantów. Pomimo to, propozycję naszą, iż damy im pieniędzy na powrót, odrzucili bez namysłu. Nieco podrażniony, zawołałem podniesionym głosem:

— Jakto ludzie, daliście się do takiego stopnia otumanic, że wiedząc, iż my jedziemy dlatego, aby, o ile się da, uratować choć część tych biedaków, którzy błagają o zlitowanie, a wy na oślep pomimo to idziecie na niechybną zgubę?

— A bo to prawda? — rzekł jeden śmielszy, reszta zaś przytaknęła mu ironicznym uśmiechem.

Powtarzam, wszyscy ci wiedzą już, że nie pojadą; dalej, oznajmił im to zresztą „Lloyd“, oświadczając, że tylko jeszcze przez tydzień płacić będzie za nich pomieszczenie. Pomimo to, nie wierzą i wracać nie chcą.

-- Gdyby ich tu było kilka tysięcy, jak w listopadzie — dodał ks. Prahaż — usłyszelibyście panowie to samo, czasami tylko mniej grzecznie.

Nie pozostało nam jak z bólem w sercu odejść, zostawiając w ręku ks. Prahaża skromny zasilek, aby gdy nędza przycisnie i naga rzeczywistość stanie przed oczyma, odesłał do domu to biedactwo, o którem istotnie nic innego powiedzieć nie można, jak tylko: „Panie odpuść, bo nie wiedzą co czynią!“

Przebiegając z konieczności różne ulice w Bremie, mieliśmy sposobność, choć pobieżnie, przyjrzeć się miastu.

Brema liczy obecnie 100.000 mieszkańców.

Był właśnie Wielki piątek, a tłumy ludzi, nie

bacząc na ulewny deszcz ze śniegiem, przesuwają się po ulicach, dążąc do kościołów, z kąd dolatywał głos organów i śpiew psalmów. Prawie wyłącznie protestancka ludność nadaje miastu, w tym właśnie dniu, charakterystyczny wygląd. Nie była to, jak u nas, owa pełna smutku i żalosnej powagi pielgrzymka poważnych tłumów, celem odwiedzenia grobów Zbawiciela, ale jakieś suche, formalistyczne dopełnienie rytuałem protestanckim przepisane obowiązku.

Nowa dzielnica miasta, powstała w bliskości dworca, pełna hoteli i sklepów, nie przedstawia żadnego interesu i niczem się nie różni od zwykłego typu innych miast niemieckich. Tutaj znajdują się też gospody emigranckie, w których ci biedacy oczekują na nadejście okrętów z Brazylii i gdzie złoty ich sen o zamorskiem szczęściu doznaje pierwszych rozczarowań.

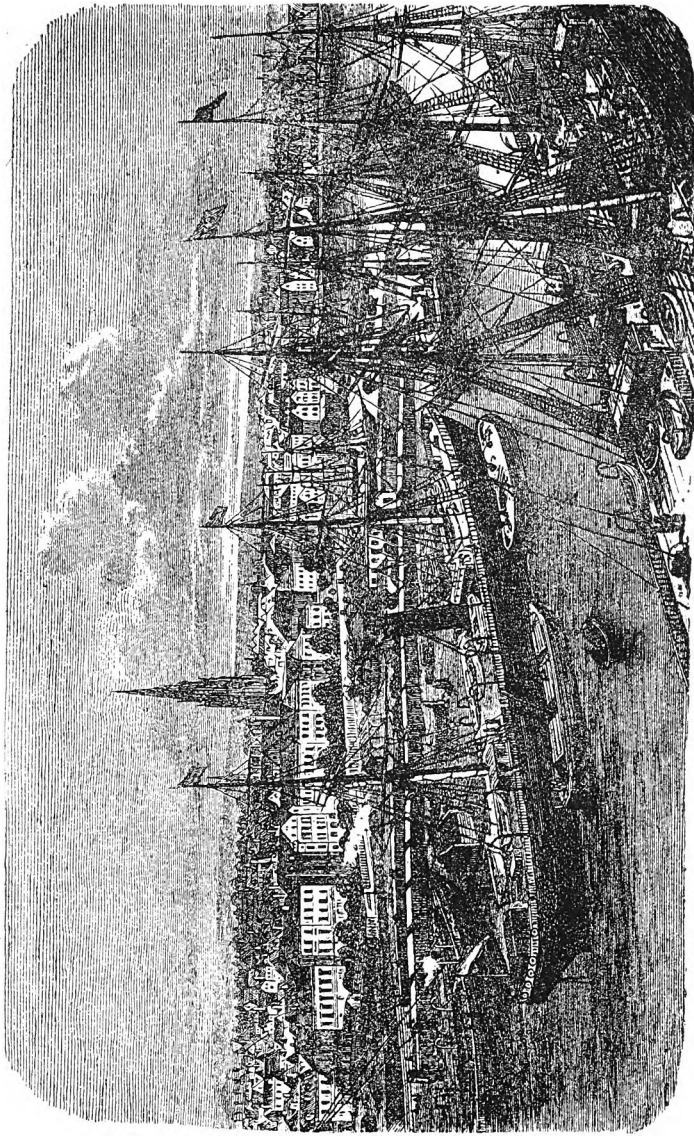
Stara część miasta za to jest niezmiernie ciekawa i charakterystyczna. Wiadomo, że Brema należy do najstarszych miast niemieckich, cechę też minionych wieków zachowała ona dotąd. Dostatecznie spojrzeć na wysmukłe, szczytami ku ulicy zwrócone domy, przecisnąć się wśród wąskich i zaciemnionych ulic, aby od razu odgadnąć, że tylko nowożytny pokost pokrywa na wpół zmurszałe dzieła ubiegłej przeszłości. Godną widzenia jest wspinała, gotycka katedra, założona podobno na początku XI wieku, przez arcybiskupa Adalberta a zamieniona w połowie XVI w. na zbór protestancki, przypominający na każdym niemal kroku dawniejsze swoje przeznaczenie. Nie-

mniej godny widzenia jest również gotycki, olbrzymi ratusz, którego budowa rozpoczęta została w wieku XI, a który dbała o zachowanie zabytków przeszłości rada bremeńska poddała obecnie gruntownej restauracyi. Przed ratuszem stoi ogromnych rozmiarów szpetna statua Adolfa XIII, która w widocznym jest zapomnieniu, być może w tym celu, aby czas dopełnił nad nią dzieła zniszczenia, czego ręka ludzka uczynić nie ma odwagi.

Niestety, zbyt krótki czas nie pozwolił nam udać się do odległego od Bremen o trzy niespełna godziny drogi Bremerhaven, gdzie znajduje się port, z którego wyruszają na morze okręta. Nietylko Bremeńczycy, ale i Niemcy, dumni są z ruchu, jaki panuje w Bremerhaven, zkaąd olbrzymie okręta rozwożą wytwory niemieckie na wszystkie strony świata. Tutaj również „Nord. Lloyd“ ma swoje statki, które już walczą o lepsze z francuzkami i angielskimi, jako narzędzia zamorskiej komunikacyi. Opowiadano nam też z wielką dumą, iż świeżo jeden z okrętów „Lloyda“ przebiegł przestrzeń między New-Yorkiem a Bremerhaven w przeciągu 6-ciu dni. Podróż ta, co do szybkości, ma stanowić epokę w dziejach zamorskiej żeglugi.

Zbliżała się wreszcie chwila odjazdu.

Pod nader smutnem wrażeniem opuszczaliśmy Bremę. Widok tych nieszczęśliwych ofiar nietylko przewrotności i oszustwa agentów, ale i własnej ławtowości i głupoty, a przytem tak zaślepionych i upartych w swoich niedorzecznych nadziejach, do



Bremerhaven.

głębi wstrząsnąć musi każdego. Tu dopiero było można przekonać się, jak bezowocne musiały być wszelkie przestrogi, choćby najsilniejszymi poparte argumentami, skoro, doświadczywszy już niejednego zawodu, niektórzy nawet spojrzawszy w oczy biedzie, dotąd jeszcze ulegają formalnemu obłędowi emigracyjnemu. Odjeżdżaliśmy, nie wskórawszy nic, pomimo, że wiadomość o zakazie dalszego przyjmowania polskich emigrantów była nietylko przez nas, ale z polecenia „Llyoda“ i przez gospodarzy zakomunikowana oczekującym w Bremie na wyjazd wychodźcom.

Nasze obowiązkowe zajęcie było skończone, nie należało więc tracić czasu i ruszać w dalszą drogę. O godzinie 4-ej po południu, odprowadzeni przez ks. Prahaza, wsiedliśmy do pociągu, który przez Kolonię miał nas zawieźć do Paryża.

Deszcz i śnieg towarzyszyły nam ustawicznie, odbierając ochotę oglądania okolicy choćby przez szybę wagonu. Raz tylko wychyliłem głowę na stacyi Münster. Tyle tu z moich czasów akademickich wiązało się ze stolicą Westfalii wspomnień!

I po latach 20-tu niemal, ujrzałem znowu to pocziwe miasto, dziś już zmienione, przybrane w nową szatę, imponujące licznymi fabrykami, wspaniałymi gmachami, no, i nieodłącznymi od dzisiejszych miast niemieckich, koszarami. Jakby dla zadania kłamu oszczerczemu *In Münster ist Alles finster*, wjechaliśmy na oświetlony elektrycznością dworzec.

Nie wiem dlaczego, ale to dawniejsze, ubożuchne,

skromne, a żyjące w mojej pamięci Münster, posiadało dla mnie daleko więcej uroku.

Przed oczyma memi stanęła owa maleńka drużyna ośmiu kolegów, na obczyźnie braterskimi złączona węzłami, z wiarą i nadzieją przygotowująca się do twardych obowiązków życia. Tyle w pamięci poczęło przesuwać się postaci, dla których dziś jeszcze tętniało w sercu żywe uczucie, że mimowolnie przenieśliem się w owe czasy.

Z głębokiej zadumy wyrwał mnie odgłos dzwonka i przeraźliwy świst lokomotywy. Pociąg z szalonym pędem podążył dalej. Od czasu do czasu migające światła w szybach okna i gwałtowniejsze szarpnięcia wagonu świadczyły, żeśmy przebiegali stacją.

Około północy stanęliśmy w Kolonii, a w pół godziny później wyruszyliśmy do Paryża.

III.

Przybycie do Paryża. — Interview p. Winnickiego. — Wieści o naszej podróży. — Wizyta u p. Argollo Ferrao. — Święta. — Święcone u hr. Z. — Rozmowa z p. Santa Anna. — Audyencya u nuncyusza. — Zaopatrzenie się w przybory podróżne. — Wyjazd z Paryża. — Droga do Madrytu. — Madryt. — Wjazd do Lizbony. — Stolica Portugalii.

czyż może być coś mniej uroczego, jak dżdżysty i śnieżny poranek marcowy? Parą pokryte okna wagonu, przenikliwe zimno, posępne chmury, zalegające horyzont, nieustanny brzęk kropli deszczowych, uderzających w szyby, wreszcie jednostajny turkot kół wagonowych, wszystko to nie usposabia zbyt wesoło. A cóż dopiero, gdy w duszy kołaczą się smutne myśli i ponure wspomnienia, jakie wywieźliśmy z Bremy. To też pod wrażeniem pewnego przygnębienia stanęliśmy na północnym dworcu Paryża, aby ztamtąd co prędzej schronić się pod dach pierwszego lepszego hotelu.

Miasto pogrążone było jeszcze jakby w pół śnie. Po ulicach wlokły się długie rzędy wozów ładownych;

gdzieniegdzie tylko, jakby znienacka, wysuwał się szczelnie zamknięty fiaker, ciągnięty przez chudą szkapę, którą bat otulonego szaleń wóźnicy zachęcał do pośpiechu. Na chodnikach było tłumno; śnać Wielka sobota wypędziła z domu gosposie i służące, aby się zaopatrzyć na dwa dni Świąt. Przesunęła się też czasami niebieska bluza robotnika, lub parasol śpieszącego do pracy biuralisty. Na wpół senny kupczyk podążał do zajęcia, a za nim, nie zważając na deszcz i zimno, biegł wesoły gawrosz, nucąc piskliwym głosem jakąś piosenkę. Przed oczyma naszymi przesunął się więc nie ów nowoczesny Babilon, hulaszcy i zbławizowani, bezmyślnie włóczący się po wielkich bulwarach, ale Paryż pracowity i znojnny, który czasami się śmieje, ale częściej płacze. Obcierając pokryte parą szyby fiakra, przypatrywałem się z pewnem zadowoleniem temu Paryżowi.

Wreszcie stanęliśmy przed Hotelem Dalayrac, przy ulicy Moncigny.

Za chwilę, dzięki wynalazkowi naszego rodaka Szoberskiego, mogliśmy z rozkoszą rozgrzać skostniałe od zimna członki, przy ciepłe małego żelaznego piecyka.

Z powodu Wielkiej soboty niepodobna nam było zabrać się do załatwienia naszych interesów. Postanowiliśmy tedy poprzestać na złożeniu kilku niezbędnych wizyt i szperaniu po księgarniach za książkami, traktującymi o Brazylii. Zaledwie zdążyliśmy się jako tako ogarnąć, gdy wszedł do nas zamieszkały w Paryżu dziennikarz i współpracownik pism tamtejszych,

p. Józef Winnicki. Od niego dowiedzieliśmy się, że wiadomość o naszej podróży doszła już do Paryża za pośrednictwem agencji Hawasa. P. Glinka, który ma pewną odrazę do wszystkiego, co trąci gazeciarsstwem, był niemało zaambarasowany tą wizytą, tem więcej, gdy nasz gość oświadczył, iż przybywa w celu interviewu. Powoli jednak uprzejmość pana Winnickiego rozproszyła dziennikarskie uprzedzenia kochanego p. Mikołaja i rozpoczęliśmy bardzo miłą pogawędkę.

Przy tej sposobności dowiedziałem się, iż właściwy cel naszej podróży został w tutejszych kołach przesadzony, lub przeistoczony. W dodatku korespondencye Dygasińskiego zrobiły podobno w sferach interesowanych emigracją brazylijską silne wrażenie, co mogło tylko skromne nasze posłannictwo utrudnić. Postanowiłem tedy coprędzej podążyć do p. Argollo Ferrao, redaktora wychodzącego w Paryżu czasopisma „Brasil“, od którego spodziewałem się otrzymać bliższe informacye, a ewentualnie prosić go o stosowne w dziennikach brazylijskich sprostowanie.

Pan Ferrao przyjął mnie wprawdzie bardzo uprzejmie, ale z pewnem, dosyć wyraźnie objawiającem się, niezadowoleniem. Po kilku wymienionych zdaniach weszliśmy na misyę Dygasińskiego. Musiałem zużyć wiele słów i czasu, aby przekonać p. Argollo Ferrao, że cel naszej podróży jest zgoła inny.

Jedziemy, dowodziłem, jedynie w celach chrześcijańskich i humanitarnych, które powinny nam zapewnić poparcie rządu brazylijskiego. Naszem zada-

niem: zabrać tych nieszczęśliwych, którzy samej Brazylii stają się ciężarem, resztę zaś, o ile spotkać się nam ją zdarzy, natchnąć rezygnacją, pocieszyć i do pogodzenia się z losem nakłonić.

Zdaje się, że moje argumenta trafiły do przekonania pana redaktora, zaczął bowiem utyskiwać nad tem, że odium emigracyi spada na rząd brazylijski, który najlepszymi przejęty jest względem emigrantów intencyami, wtenczas, kiedy, jeżeli dzieją się nadużycia, to jedynie ze strony spekulujących na emigracyi agentów, nad którymi rząd nie może mieć należytej kontroli. Wogóle p. Ferrao myśl otoczenia emigracyi opieką rządową uważa za nieszczęśliwą. Wołałby on, aby to czyniły kompanie prywatne, pozostające pod ścisłą kontrolą rządu.

— Sądzę — dodał wreszcie — że skoro rząd przekona się, iż istotnie w takich przybywacielach panowie celach, nie odmówi wam swego poparcia, tem więcej, że nietylko waszym rodakom, ale i jemu samemu, możecie oddać niemałą usługę, odsłaniając całą przewrotność agentów. W tym duchu nie omieszkać przedstawić misyi panów w moim dzienniku, a mniemam, że nie pozostanie to bez wpływu na wasz pobyt na miejscu, gdzie dzienniki zaczynają was posądzać o pokrewne z Dygasińskim zamiary.

Rozstaliśmy się w najlepszej komitywie, na dowód czego p. Ferrao ofiarował mi w upominku dwutomowe dzieło „*Le Brésil. Excursion a travers ses 20 provinces*“, napisane przez zmarłego przed kilku miesiącami p. Alfreda Marxa, redaktora dziennika „*Brasil*“

i wiceprezydenta trzeciej sekcji Towarzystwa geograficzno-handlowego w Paryżu.

Wyszedłszy od p. Ferrao, spotkałem przypadkowo obojga pp. Rogozińskich, którzy, syci chwały, wracali z Hiszpanii, gdzie z wielkiem uznaniem przyjmowano ich odczyty o Afryce. Spotkanie to było dla nas podwójnie miłe i pożądane: najpierw mieliśmy sposobność uścisnąć dłonie naszych dzielnych, nieustrudzonych podróżników, a powtórę ich bogate doświadczenie otwierało przed nami skarb pożytecznych wskazówek i informacji. Na pouczającej więc rozmowie spędziliśmy resztę dnia.

Oto i Wielkanoc!

Ileż to tęsknego uroku ma ten dzień dla każdego, kto zdala od swoich spędzać go musi! Widzi się wtedy prawie bezustannie oczami duszy wszystkich drogich sercu, zebranych około wielkanocnego jajka, słyszy się niemal każdy głos, gdy wypowiada życzenia, czuje się uściśnienie przyjacielskiej ręki i chciałoby się krzyczeć na całe gardło:

— Oto i ja jestem z wami!

Niestety, głos zamiera w piersi, a serce ścisła uczucie tęsknoty.

Pod tem wrażeniem dążyliśmy z p. Glinką do kościółka l'Assomption przy ulicy St. Honoré, gdzie miałem pozwolenie odprawienia Mszy św. W świątyni zebrało się zaledwie kilka osób; Paryż widocznie o tej porze jeszcze się nie modli, zresztą rzęsisty deszcz zatrzymywał zapewne wielu nowocześnie pobożnych w domu. Cisza i spokój zalegały dom Boży, pozwa-

lając naszym modłom tem swobodniej płynąć przed tron Przedwiecznego Pana, którego Ojcowskiej opiece oddawaliśmy siebie i swoich.

Na święcone zaproszono nas do hr. Z. Zastaliśmy tam towarzystwo liczne, złożone w znacznej części z zamieszkałych stale w Paryżu Polaków. Poznaliśmy przy tej sposobności głośnego okulistę, Dra Gałęzowskiego, którego bym zaliczył do rzędu tych ujmujących postaci, z którymi po paru minutach jest się dobrym już znajomym.

Naturalnie, podróż nasza stanowiła główny przedmiot ożywionej rozmowy. Przy tej sposobności uczyniono nam niezmiernie oryginalne i charakterystyczne zapytanie.

Jedna z obecnych dam, która jeszcze nie zdążyła opuścić Paryża, gdzie uważa za stosowne spędzać zimę, zbliżyła się do nas i z dobrodusznym uśmiechem rzekła:

— Więc to panowie stale zamieszkują w Brazylii?

— Jeszcze nie — odparłem z przekąsem — ale za to jedziemy zwrócić jakąś częśćkę tych lekkomyślnych, którzy podążyli za morze szukać szczęścia, a znaleźli niedolę straszliwą.

Niema co mówić, niektóre nasze damy doskonale wiedzą, co się w kraju dzieje! Pod tym względem widocznie w pewnych sferach nic się na lepsze nie zmieniło.

Zabawiwszy krótką chwilę u hr. Z., podążyłem do pp. Mick., a następnie, wspólnie z nimi, do Wła-

dysławów Górskich. Znalazłem się prawdziwie wśród swoich; gwarząc o wspólnych znajomych w Warszawie, przypominając sobie różne chwile, razem spędzone, nie obejrzeliśmy się kiedy nas zmierzch zaskoczył. Wówczas obecny Paderewski sprawił nam iscie królewską ucztę. Siadł do fortepianu i grał... ach, ale jak grał!... Nie dziwię się, doprawdy, że Paryż traci głowę dla niego. Tyle poezji w grze nigdy nie słyszałem. Były to niewątpliwie najpiękniejsze chwile z całej mojej podróży.

Dzięki uprzejmości wspomnianego już dziennikarza, p. Winnickiego, zetknięci zostaliśmy z p. de Santa Anna Nerry. Pan ten pełni w Paryżu obowiązki sekretarza reprezentacji ministerium rolnictwa, którego szefem jest p. Prado, ten sam Prado, któremu p. Waliszewski poświęcił długą korespondencję w „Kraju“, a który podobno niegdyś był ministrem rolnictwa w Brazylii. P. Nerry jest nadto prezydentem syndykatu dziennikarzy zagranicznych w Paryżu, a wreszcie zarazem i korespondentem największego i najpoczytniejszego dziennika w Rio de Janeiro, „Journal do Comerço“. Dowiedziawszy się o fałszywym tłumaczeniu celu naszej podróży, które z pewnością uprzedzi nasze przybycie do Brazylii, łatwo się domysleć, jak nam wiele zależało na tem, aby zyskać sprostowanie za pośrednictwem p. Nerry.

Na samym zaraz wstępie, jak szydło z worka, wyszedł pocziwy p. Dygasiński. Znowu trzeba więc było pawtarzać to samo, co i p. Ferrao, o istotnym celu naszej podróży.

— Przybywamy do pana — dodaliśmy — właśnie dlatego, abyś jako sumienny i wpływowy dziennikarz, zechciał opinię publiczną wyprowadzić z błędu. Niech w Rio de Janeiro przynajmniej wstrzymają się od sądzenia nas, dopóki sami naocznie nie przekonają się, poco przybywamy i w jakim zamiarze rozwijamy naszą działalność. Zdaniem naszym, nic niema niebezpieczniejszego, jak emigrant, zawiedziony w swoich nadziejach, lub do warunków miejscowych nieodpowiedni; takiego zabrać jest chyba dla kraju usługą. Nie mamy żadnych uprzedzeń. Przeciwnie, wierzymy w dobre intencje rządu brazylijskiego, lecz czy on sam nie może być wyzyskiwany i oszukiwany przez żadnych zysku spekulantów? Ileż więc cennych i prawdziwych możemy mu dostarczyć informacji i wskazówek! Nie mamy ani siły, ani dostatecznego wpływu, aby wstrzymać emigrację, ale jeżeli to choćby osiągniemy, że każdy wychodźca będzie wiedział, czego się ma rzeczywiście spodziewać, jeżeli na ląd brazylijski przestanie wysiadać stado obłąkanych kłamliwymi nadziejami i obietnicami owiec, to równa to usługa dla naszego kraju, jak dla Brazylii.

P. Nerry przyznał nam rację i dodał, że rząd brazylijski, dowiedziawszy się o nadużyciach agentów oraz rozsiewanych przez nich kłamliwych odezwach i t. d., zarządził ankietę, która, niestety, żadnego nie zdołała osiągnąć rezultatu, albowiem nie przedstawiono dokumentu, stwierdzającego przewrotną agitację agentów. Tłómaczyliśmy, że chłopci nasi po większej części czytać nie umieją, że przeto agitacya

prowadzoną była słownie. Wszakże istnieją także i różne odezwy, obrazki i t. p. ponęty, za pośrednictwem których rozsiewano między ludem niestworzone baśnie o Brazylii i szczęściu, jakie emigrantów ma tam czekać. Pan Nerry nie taił nam jednak, że wobec oskarżeń, jakie w prasie europejskiej podniesiono przeciw rządowi brazylijskiemu, natrafimy na wiele trudności.

— Niewątpliwie — dodał — że powoli uda się panom rozproszyc podejrzliwości. Zależec to wszakże będzie jedynie od panów.

Wreszcie p. Nerry zaopatrzył nas w listy rekomendacyjne do kilku wpływowych osobistości w Rio Janeiro, a nadto przyrzekł bezzwłocznie wysłać korespondencyę do „Comerço“, w której przedstawi rzeczywisty cel naszej podróży. I tutaj znowu spotkał nas upominek w postaci dzieła „*Le Brésil en 1889*“, napisanego przez samego ofiarodawcę.

Nie mieliśmy powodu wątpić, że p. Nerry wiąże się z danego przyrzeczenia. Zrobił on na nas ze wszech miał dobre wrażenie.

Wogóle zacząłem nabierać przekonania, że sam rząd brazylijski bezpośrednio nie wywiera wpływu na wstrętne werbowanie emigrantów. Wina jego leży jedynie w tem, że zachęciwszy agentów znacznemi premiami za ilość dostarczonych emigrantów, podniecił ich chciwość zysku, a w tym stosunku nie posiada nad nimi należytej kontroli, aby zapobiedz nadużyciom.

Literatura francuska nie jest zbyt bogata w dzieła

traktujące o Brazylii. To też wędrówka po księgarniach nie wydała pomyślnego rezultatu, a prócz książek, w które się już zaopatrzyłem, lub zostałem zaopatrzony, nie znalazłem nic więcej interesującego. Zabrałem tylko jeszcze Ernesta Michela „*A travers l'hémisphère Sud*“, gdzie kilka rozdziałów poświęcono Brazylii. Wogóle, chcąc coś gruntowniejszego dowiedzieć się o stosunkach brazylijskich, każdy w znacznej części skazany jest na własną obserwację i mozolne szperanie. Dzieła, pisane przez samych brazylijczyków, grzeszą zazwyczaj stronnością, a najczęściej chodzi im bezpośrednio lub pośrednio o zachęcenie do emigracyi i ztąd wszystko przedstawiają w kolorach różowych. Inni znowu autorowie ograniczają się przeważnie do wrażeń podróżniczych, a stosunki społeczne, ekonomiczne, a nawet polityczne traktują mimochodem. Dlatego też każde notatki, choćby mniej udolnem piórem pisane, mają swoją wartość, jako surowy materiał, z nich bowiem pochwyć można niejedne ciekawe szczegóły, których w dziełach, mających pretensyę do poważnych prac, brakuje. Tym okolicznościom przypisać należy, że o Brazylii posiadamy w Europie tak mało wiadomości i najczęściej wytwarzamy sobie o niej zgoła z rzeczywistością niezgodne wyobrażenie.

Większe jeszcze ubóstwo istnieje pod względem kart geograficznych. W Berlinie i Paryżu znalazłem zaledwie kilka małych map i to wcale niedokładnych. Uprzedzono mnie nadto, że w Rio nie będę pod tym względem szczęśliwszym, gdyż nawet biuro koloniza-

cyjne nie posiada nic lepszego. Nie jest to zresztą dziwnem, gdyż przy olbrzymich przestrzeniach, obecnie jeszcze niezaludnionych i dzikich, trudno mieć dokładne mapy. Świeżo zawiązało się wielkie towarzystwo francuskie, z kapitałem podobno 3 milionów franków, które między innemi położyło sobie za zadanie, sposobem fotograficznym, sporządzić szczegółową i ścisłą mapę Brazylii. Jednym z współpracowników tego towarzystwa jest warszawianin, pan Komierowski, który w tym celu wysłany został do Rio i niebawem rozpocznie ztamtąd wędrówkę po prowincyi. Mozolna i licznemi trudnościami najeżona praca dokonana zostanie w przeciągu 6 do 8 lat. Tymczasem posługiwać się trzeba tem, co jest.

Pozostały nam przygotowania podróżnicze.

Klimat tropikalny wymaga wiele prezerwatyw i ostrożności. Przedewszystkiem należy bardzo być oględnym w ubraniu, silna bowiem transpiracya, jaką wywołuje podzwrotnikowe ciepło, wystawia bardzo łatwo na niebezpieczeństwo zaziębienia się, przy najlżejszym powiewie chłodniejszego wiatru. Zaopatrwszy się więc w lżejsze ubranie, nie omieszkaliśmy, za radą Rogozińskich, zakupić także odpowiednich przyborów flanelowych i bawełnianych. Szło również o zabezpieczenie głowy od porażenia słonecznego. Parasol niezawsze jest wygodny. Jako daleko praktyczniejszy natomiast polecono nam kask angielski. Mielśmy przybyć do Brazylii w porze deszczowej, a że w projekcie były wycieczki dalsze na prowincye, które, jak nas uprzedzono, trzeba po większej

części robić konno, przeto kupiliśmy odpowiednie płaszcze gumowe. Nieodzownym także sprzętem jest filtr do wody. Coroczne moje wycieczki na poleskie błota dały mi srodze uczuć jego potrzebę w chwilach, gdy spieczona usta tylko brudną, błotnistą odwilżyć można wodą. Wreszcie z medykamentów zaopatrzyliśmy się w sporą porcję chininy, soli gorzkiej, mała zaś podróżna apteczka, którą zawdzięczam hojności moich przyjaciół, pp. K., zawierała inne, nieodzowne w podróży lekarstwa. Tym sposobem wszelkim przypadłościom mogliśmy w danym razie naprędce zaradzić, a ponieważ, jak już nieboszczyk Stańczyk dowiódł, każdy ma się za najlepszego lekarza, przeto zdawszy ten obowiązek jeden na drugiego, uważaliśmy się za uzbrojonych od stóp do głów przeciwko chorobie.

Należało wreszcie zdecydować się na linię, która miała nas przenieść przez Atlantyk do Brazylii.

Podróż morska nie miała, dla mnie przynajmniej, najmniejszego uroku, a natomiast dotychczasowe doświadczenie kazało mi spodziewać się w drodze przez ocean wielu dolegliwości. Postanowiliśmy przeto dojechać lądem, o ile możliwości, do krańcowego punktu Europy i ztamtąd dopiero wsiąść na okręt. Prawie wszystkie statki, wyjąwszy: włoskich, hiszpańskich i wypływających z Marsylii, zatrzymują się w Lizbonie. Z pomiędzy tych towarzystw, które tędy płyną, angielskiego, portugalskiego i francuskiego, załecano nam przedewszystkiem ostatnie: *Messageries Maritimes*, z siedziskiem w Bordeaux, jako najdogodniejsze i najbezpieczniejsze. Kompania ta wysyła do

Ameryki południowej pięć olbrzymich okrętów pasażerskich: *Plata* i *Brésil* o sile 5400 koni, *Portugal* 4800, *Equateur* 2900 i *Orenoque* 2000. Wyruszają one z Bordeaux 5-go, zatrzymując się w Lizbonie i Dakarze, oraz 20-go każdego miesiąca zarzucają kotwicę także w Bahii i Pernambuco. Piątego kwietnia wypłynąć miał z Bordeaux, a 8-go z Lizbony „Brésil.“ Po krótkim namyśle zdecydowaliśmy się korzystać ze sposobności i na tym okręcie odbyć naszą podróż. Podążyliśmy więc do centralnej administracji towarzystwa „Messageries Maritimes“ przy ulicy Vignon nr. 1, gdzie za cenę 1275 franków każdy z nas otrzymał bilet pierwszej klasy, z prawem powrotu w przeciągu jednego roku. Wyznaczono nam dwuosobową kajutę nr. 7 i 8.

Wszystkie więc przygotowania były skończone, nie pozostawało jak wyruszyć w drogę.

W środę d. 2 kwietnia, o godzinie 8 wieczorem, opuściliśmy tedy z dworca orleańskiego Paryż, podążając ku Madrytowi, przez który wiodła droga do Lizbony.

Niestety, noc nie pozwalała nam oglądać żyznych i bogatych przestrzeni między Paryżem a Bordeaux. Odtąd zaczyna się droga coraz mniej interesująca. Przez kilka godzin pociąg przebiega ubogie „Landes“ a oko z pewnym smutkiem spoczywać musi na nieprzejrzanym przestrzeniach bagien. Od czasu do czasu spotyka się las sosnowy, ale drzewa tak małe i karłowate, że z nich już łatwo ocenić lichą ziemię, na której wyrosły. Oryginalny sposób pewnego, choć

skromnego zysku wynaleźli sobie właściciele tych lasów. Oto pod każdym drzewem stoi niewielka doniczka, w którą powoli, kroplami, ścieka żywica. Podobno z tego źródła wpływa do kieszeni onych właścicieli kilka, a czasem i kilkanaście tysięcy franków rocznie, zanim drzewo stanie się podatne do wycięcia.

Budzącą się wiosnę czuć było w powietrzu. Wprawdzie piętno zimy nie zniknęło jeszcze zupełnie, ale tu i owdzie widać już było zieleniejącą się trawę, a niektóre gałęzie drzew wiśniowych pokrywał śnieżny kwiat, zanim z pączków zdążyły się rozwinąć liście.

Im bardziej zbliżaliśmy się do granicy hiszpańskiej, tem okolica stawała się więcej ubogą. Zamiast bagien i lasów, widać, jak okiem sięgnąć, tylko nagie kamienie, zpośród których gdzieniegdzie wyrastało skromne, zgarbione drzewo oliwne. Czasem tylko pociąg przemykał się wśród żyzniejszych pól, lub niewielkich winnic, ale wnet wpadał między skały i znowu oko nie widziało nic, prócz kamieni i drzew oliwnych.

Za Irun przejechaliśmy granicę hiszpańską. Tutaj roztoczyło się przed nami ubóstwo przyrody zupełnie. Tu i owdzie widać tylko nędzne szalasy pasterskie i niewielkie stada czarnych owiec. Jedyne to świadectwo o istnieniu na tych jałowych przestrzeniach żyjących istot. Ptak bowiem nawet coraz rzadziej szybuje tam w powietrzu. Doprawdy, nieraz patrząc na to, rzucałem sobie pytanie: z czego biedni ludzie tamtejsi żyć mogą i muszą?

Tymczasem i słońce skłaniało się coraz więcej ku zachodowi, oblewając czerwonym światłem pokryte

śniegiem szczyty Pireneów. Wreszcie naokoło nas za-
legła ciemna noc, wśród której jedynie głośniejszy
szczęk kół wagonowych zdradzał, że przebiegamy
mosty i tunele. Sen, nieodłączny towarzysz znużenia,
skleił powoli nasze powieki.

Z pierwszym brzaskiem dnia przebudziliśmy się
wśród morza żółtych piasków, otaczających stolicę
Hiszpanii.

Nie będąc się rozwodził nad Madrytem, któż go
nie zna z licznych opisów? Miasto nie zrobiło na
mnie dodatniego wrażenia. Ulice brudne i ciasne, a
wśród nich tłok cisnących się w tę i tamtą stronę
ludzi. Przybyliśmy w przeddzień walki byków, wszy-
stko więc żyło i oddychało jedną żądzą oglądania
tych okrutnych turniejów. Na ulicach cały rój sprze-
dających bilety i programy, którzy na całe gardło
nastreczali się publiczności. Na Puerta del Sol, placu,
stanowiącym centrum miasta, gdzie znajdował się nasz
hotel, wrzawa i hałas nie do opisania. Weiskały się
one nawet przez okna do pokoju i długo jeszcze tę-
tniły w uszach.

Kościół madryckie ze strony architektonicznej
nie przedstawiają nic szczególnego. Zwiedziliśmy mię-
dzy innymi świeżo odnowiony San Francisco el Grande,
stanowiący pewnego rodzaju Panteon narodowy,
w którym spoczywają ciała i znajdują się popiersia
najsławniejszych mężów hiszpańskich. Kościół, wybu-
dowany w kształcie rotundy, lśni przepychem. Ściany
pokrywają olbrzymie freski, przedstawiające główne
epizody z życia św. Franciszka, oraz najznakomitsze

wypadki z historii Hiszpanii. Wspaniałą jest zakrystyja, cała rzeźbiona w drzewie. Na korytarzach, wiodących do niej, wiszą portrety królów i znakomitości. Pomimo blasku i przepychu, całość nie robi wrażenia poważnej świątyni.

Z innych budowli wymienię muzeum królewskie „Real Museo,” mieszczące jedną z najbogatszych galerij obrazów w świecie. Szkoła włoska i flamandzka są bardzo licznie reprezentowane. Wiadomo, jak niepoślednie stanowisko zajęło w nowoczesnej sztuce malarstwo hiszpańskie; muzeum madryckie posiada najlepsze arcydzieła współczesnych mistrzów.

Sam budynek należy do najpiękniejszych gmachów Madrytu.

Zamek królewski jest to ciężki i bezstylowy budynek, który zwraca raczej rozmiarami, niż kształtami na siebie uwagę. Kilka pałaców prywatnych, rozrzuconych po różnych ulicach, oraz wille w alejach, nie odznaczają się niczem, coby dłużej na nich zatrzymało oko.

Piękne są aleje spacerowe, ciągnące się wzdłuż południowej strony stolicy, oraz olbrzymi ogród botaniczny, w którym w niedziele i święta arystokracja madrycka odbywa wspaniałe korso. Setki powozów węzłem snują się wśród alei, olśniewając kilkotysięczny tłum pieszych bogactwem strojów i wystawnością uprzęży.

Nie znam innych miast hiszpańskich, ale zapewniano mnie, że w ogóle Madryt należy do najmniej interesujących.

Niestety, krótki czas nie pozwolił na wycieczki w okolicę, która ma być, od strony południowej mianowicie, urocza. Po trzydziestosześćgodzinnym odpoczynku, 5-go kwietnia wieczorem, wyruszyliśmy do Lizbony, wioząc długo jeszcze w uszach naszych wrzawę i hałas stolicy Hiszpanii.

Wschodzące słońce roztoczyło przed nami ten sam niemal widok, co od Irun do Madrytu. Krajobraz równie ponury i ubogi. Pomimo, że jechaliśmy t. zw. Sud-expresssem, pociąg, skutkiem licznych łuków, powoli włókł się wśród skał.

Towarzystwo nasze nie było liczne, ale za to dosyć oryginalne. Nie odstępowała nas przedewszystkiem para Niemców, ojciec i syn, fabrykanci mydła z Darmsztadu. Obaj odbywali t. zw. „Vergnügungsreise“. Syn był nie tylko kasyerem, ale pamięcią i zmysłem estetycznym ojca, który co chwila z uśmiechem zadowolenia zwracał się ku niemu ze stereotypowem „*Nun, Heinrich, erzähle mal, wie war's in...*“ i wówczas Heinrich opowiadał zapożyczone od Bäckera szczegóły, które czasami przerywał ojcowski zachwyt: *Nein! wie schön!*

Kontrast z oboma Niemcami stanowił jakiś portugalczyk, kupiec wina, zamieszkały w Bordeaux. Ten znowu zabawiał nas opowiadaniem niestworzonych rzeczy o swoich przygodach i stosunkach. Raz onie-mał że nie zatopił się, odbywając wycieczkę własnym parowcem. Innym razem brał udział konno w walce byków, odbywającej się na cześć króla w Lizbonie. Objechał cały świat, wszędzie pozostawiając przyja-

ciół, wśród najwyższych dygnitarzy, których w zamian za to zaopatrywał w swoje wina, po cenach bajecznie niskich, z których i nam radził usilnie korzystać. Gdybyśmy chcieli obliczać jego obroty handlowe, powstałyby z tego już nie miliony, ale miliardy. Jednem słowem, był to typ skończonego kłamcy. Na wspomnienie, że jedziemy do Brazylii, jał nam opowiadać o swoim przyjacielu Dom Pedrze, którego niedawno odwiedzał w Cannes i który mu zaręczał solennie, że nie myśli nigdy wracać do niewdzięcznego kraju. Szkoda, że go już niema w Rio, byłby mu nas serdecznie zalecił. Niemcy z otwartymi ustami słuchali tych bredni.

Resztę towarzystwa składał jakiś pan wielce poważny, w którym pan Mikołaj jasnowidzącym duchem przeczuł dyplomatę. Okazało się rzeczywiście, iż był to konsul rzeczypospolitej argentyńskiej w Wiedniu, który również na „Bresil“ udawał się do Buenos Ayres. O ile portugalczyk nie zamykał ust, o tyle p. konsul nigdy ich nie otwierał.

Wreszcie jechał także inżynier francuski, wraz z żoną i synkiem, powracając po pięcioletnim pobycie w Europie do Brazylii, na posadę kierującego robotami nowej kolei żelaznej.

Tymczasem pociąg biegł wśród drogi wysadzonej aloesami, stanowiącemi oryginalny płot po obu stronach plantu kolejowego.

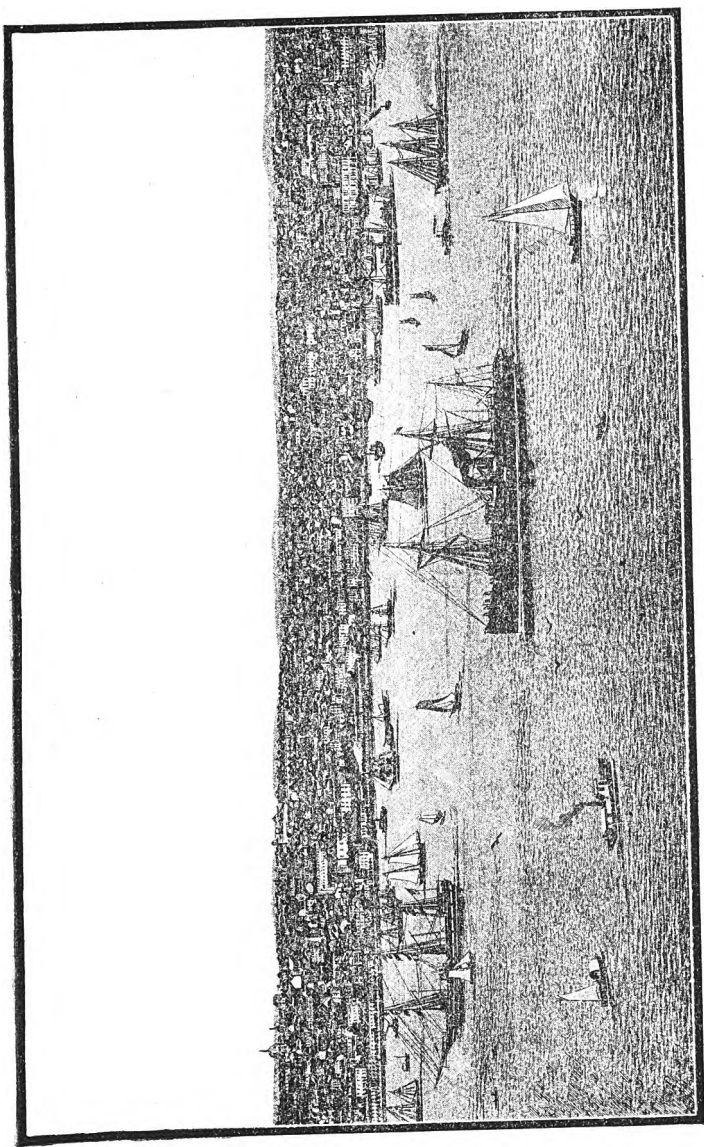
Okolo godziny 11-tej wjechaliśmy w granice Portugalii.

Powoli krajobraz zaczął się zmieniać. Znikły na-

gie skały i nieprzejrzone przestrzenie kamieni, a natomiast otoczyły nas zieleniejące pola. Czasami widać już było ogrody pomarańczowe, zpośród których wyzierał czerwony dach domu kolonisty. Gdzieś tam gdzieś bieląły w dali większe osady i miasteczka, a słońce wesoło wdzierało się przez szyby wagonu. Nieraz trzeba było już przysłonić ręką oczy, aby oglądać uśmiechającą się okolicę, ciepło zaś południowe poczęło dokuczać nam na dobre. Na godzinę przed Lizboną, pociąg biegł prawym brzegiem Tagu, który, jak olbrzymia szara wstęga, rozciągał się na niedojrzanej okiem przestrzeni. Statki mniejsze i większe snuły się po potężnej rzece, a mnóstwo mew szybowało w powietrzu.

O godzinie 4-tej stanęliśmy wreszcie w Lizbonie.

Przytykające do dworca przedmieście nie przedstawia nic interesującego. Ulice brudne, domy niewielkie i zapuszczone, a snujący się ludzie nie nęca zgoła swoją powierzchownością. Im więcej jednak wjeżdża się w środek stolicy, tem ciekawiej oko błądzi po różnych przedmiotach. Przedewszystkiem uderza nierówność terenu, na którym rozpostarte miasto. Na niektórych ulicach trzeba formalnie drapać się do góry. Gdzieś tam znowu fiaker zjeżdża z wysokości, która podziwiać każe zręczność woźnicy i wytrwałość nóg konskich. Domy piękne, sklepy lśniące wspinałą wystawą; od czasu do czasu jakiś imponujący gmach lub kościół; wszystko to przesuwa się przed oczyma, dając pochlebne wyobrażenie o stolicy Portugalii.



Lisbona.

Stanęliśmy w hotelu Braganza, z kądem prześliczną widok na Tag i okolicę. Widać wielkie okręty, leżące na kotwicy, małe parowce, prujące z szybkością strzały fale i skromne barki, uwijające się po rzece.

Przybycie „Brésil“ zostało zapowiedziane na dzień następny, mieliśmy więc czas rozejrzeć się po mieście.

Lizbona liczy obecnie 300.000 mieszkańców i rozciąga się na przestrzeni 12-stu przeszło kilometrów po górach, stanowiących prawy brzeg Tagu. Miasto od strony rzeki przedstawia widok przepiękny, przypominający Neapol lub Genuę, szczególnie wieczorem, gdy ulice i domy zapłoną tysiącem świateł. Portugalczycy dumni są też ze swojej stolicy i chętnie pokazują przybyłym jej piękności.

Pierwsze nasze kroki skierowaliśmy naturalnie ku poczie, gdzie miały na nas oczekiwać listy z Warszawy. Zaledwie jednak weszliśmy na obszerny plac Praça do Comércio, gdy uderzyła nas niezwykła wrzawa, dolatująca z przyległej ulicy. Nagle wypadły cwałem dwie szczelnie zamknięte karety, otoczone silną eskortą konnicy oraz około 100 uliczników, biegnących i krzyczących na całe gardło. Zaledwie zdążyliśmy się usunąć na bok, gdy cały ten niezwykły i hałaśliwy korowód przemknął około nas. Objasniono nas następnie, iż w tej chwili najwyższy trybunał zatwierdził wyrok sądu wojennego, skazujący na deportację sprawców rewolucyi w Oporto. Odstawiano ich właśnie na statek wojenny, który miał z nimi odpłynąć do jednej z kolonij portugalskich. Na drugi dzień w dziennikach pojawiły się artykuły pod szumnym

tytułem „Wielka demonstracya republikańska,“ opisujące w przesadzonych rozmiarach onę owacyę uliczników lizbońskich, której byliśmy mimowolnymi świadkami. Dowiedziałem się później, że prasa stołeczna przeważnie hołduje republikańskim ideałom, a w swojej swawoli nie zna granicy. Ludność zaś, jakkolwiek nie lubi obecnego króla, dla jego niemieckiego pochodzenia i szorstkiego, junkierskiego obejścia, jest na sprawy polityczne obojętna, a przede wszystkim żadna spokoju i dobrego stanu srodze nadszarpanych finansów. Wielką popularnością cieszy się natomiast młoda królowa, córka hr. Paryża, która dobroczynnością swoją i uprzejmością umiała sobie w krótkim czasie pozyskać sympatyę portugalczyków i niejedną szorstkość swego męża im wynagrodzić.

Wracam jeszcze do Praça do Comércio. Plac ten, otwarty zupełnie od strony rzeki, otaczają z trzech innych stron piękne gmachy wszystkich ministerjów, które tu obrały sobie od dawien dawna stałe siedziby. Na środku wznosi się olbrzymia statua Józefa I-go na koniu, do jednej zaś z przyległych ulic prowadzi wspaniały łuk tryumfalny, pokryty napisami i emblematami zwycięstw wojennych.

Jeżeli kogo losy zapędzą do Lizbony, radzę mu przejechać przez *Avenida de liberdade*, szeroką, egzotycznymi drzewami obsadzoną ulicę, na której znajdują się najpiękniejsze pałace i domy. Jest to również ulubione miejsce spacerowe lizbończyków. Na środku ulicy, wśród rozłożystych palm, wznosi się w kształcie piramidy piękna statua wolności. Godne widzenia

są także ogrody San Pedro d'Alcantara i Estrella, położone na szczytach gór, z kądem czarujący widok na miasto i rzekę. Przy pogodnym dniu można z tamąd widzieć nawet ocean.

Z kościołów, których Lizbona liczy przeszło 60, pierwsze miejsce zajmuje katedra, Sé Patriarchal zwana. Jest to jedna z najstarszych świątyń stolicy w stylu gotyckim. Niestety, wciśnięta wśród domów odkrywa tylko swoją piękną fasadę z niewykończonymi jeszcze wieżycami. Wnętrze, utrzymane również w stylu gotyckim, nie przedstawia nic szczególnego.

Zasługuje również na uwagę kościół (igreja) San Roque, w stylu romańskim, oraz na placu tegoż nazwiska wzniesiona świątynia Estrella.

Pałac królewski, wybudowany na najwyższym punkcie, imponuje jedynie swoją wielkością. Druga natomiast siedziba monarchy w uroczej Cintra, oddalonej o 27 kilometrów od Lizbony, a ze wszech miar przypominająca najpiękniejsze miejscowości Szwajcarii, jest zarówno pod względem stylu, jak i położenia, porywająca.

Z licznych przedmieść pierwsze miejsce zajmuje Belem, ze starożytnym zamkiem, strzegącym z fantastycznej wieżycy Tagu, oraz klasztorem, który tak pod względem zewnętrznej struktury gotyckiej, jako i wewnętrznej ornamentyki, należy do najwspanialszych budowli Lizbony.

Wogóle stolicę Portugalii śmiało zaliczyć można do najbardziej ciekawych i uroczych miast Europy. Chciwi szczególnie czarujących widoków, mogą tam

nakarmić swój wzrok do syta. Pomimo to jednak Lizbona należy do miast najmniej odwiedzanych przez turystów. Powodem tego w pewnej części geograficzne położenie Portugalii, na uboczu reszty Europy, oraz nieliczne środki komunikacyjne. Głównie jednak odstrasza cudzoziemca zdzierstwo bezprzykładne, jakie się spotyka na każdym kroku.

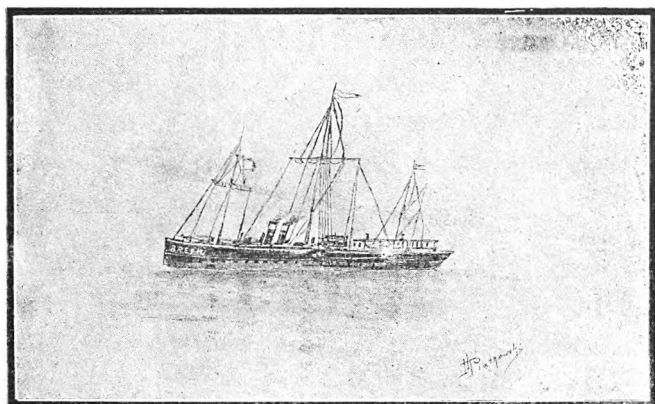
Oto np. spełniając życzenia administracji Mesageries Maritimes, posłaliśmy nasze paszporta do wizy policyjnej. Jakież było nasze zdumienie, kiedy za tę drobną formalność kazano nam zapłacić około 5 milrejsów, czyli przeszło 20 franków od osoby. Nadmieniam, że milrejs portugalski ma dwa razy taką wartość, jak brazylijski. Ceny hotelów są również bardzo wygórowane, rozpoczynają się one od czterech milrejsów dziennie. Nie pomyślano też nic o wygodzie i ułatwieniach dla przybyszów. Jako dowód posłużyć mogą nieznosne formalności kwarantannowe, które, jeśli ktoś nie jest zmuszony wysiąść w Lizbonie, zniewalają go do wylądowania w innem mieście. Przed kilkudziesięciu laty stolica Portugalii nawiedzona została istotnie żółtą febrą, od tego czasu jednakże, pomimo, iż żaden wypadek tej zarazy się nie powtórzył, środki ostrożności, zarządzane wówczas dla przybywających z południa okrętów, trwają dotąd. Municypalność onego czasu wybudowała wielkim kosztem na drugim brzegu Tagu olbrzymi szpital dla odbywających kwarantannę. Otóż bez względu na to, czy okręt ma chorych na pokładzie i czy ich miał podczas podróży, lub nie, każdy pasażer, przybywający z miejsc zagrożonych zarazą,

skazywany jest na 2, 4, 8 i więcej dni kwarantanny. Ostrożność ta jest poprostu niedorzeczną, gdyż tenże pasażer może wysiąść 18 godzin później w Vigo lub w 28 w Bordeaux i w 2 lub 3 dni znaleźć się lądem w Lizbonie. Jedyna więc racya utrzymywania tego uciążliwego środka ostrożności spoczywa w tem, że w przeciwnym razie szpital stałby pustkami i do kasy municypalnej nie wpływałoby dziennie po 20 franków od osoby, zniewolonej odbywać kwarantannę. Zapewniano mnie też, że względem pasażerów trzeciej klasy, których municypalność zmuszona jest żywić w danym razie na swój koszt, władze sanitarne nie są wcale surowe i coprędzej wypychają ich z okrętów na ląd. A jednak, jeżeli kto, to oni właśnie, skutkiem panującego na tej części okrętu niechlujstwa, najłatwiej mogą przewlec zarazę. Nic przeto dziwnego, że w tych warunkach, kto może, omija Lizbonę, nie chcąc się wystawić na zdzierstwo lub czekanie końca nudnego i kosztownego terminu kwarantanny. A szkoda, bo doprawdy Lizbona warta jest widzenia.

Mieliśmy kilka listów rekomendacyjnych do zamieszkałych w stolicy Portugalii osób. Czas jednak nie pozwolił nam z nich korzystać. Ograniczyliśmy się tylko do odwiedzenia pp. Jarosów, gdzie przyjęto nas z otwartemi ramionami. P. Jarosz był do niedawna konsulem niemieckim, pani zaś jest polką, posiadającą liczne stosunki rodzinne i przyjacielskie w Królestwie, Galicyi i Ks. Poznańskim. Oboje nad wyraz uprzejmi, a ponieważ, zamieszkując od lat 20-tu Lizbonę, znają

doskonale tamtejsze stosunki, przeto rozmowa z nimi jest nie tylko przyjemną, ale pożyteczną i pouczającą.

Wróciwszy do hotelu, ujrzelśmy już przez okna nasz „Brésil,” leżący na kotwicy. Otaczał go rój małych statków, które przypominały piskliwe kurczęta około gdakającej kwoki.



Brésil.

Nadeszła więc chwila, kiedy na długo mieliśmy pożegnać Europę, aby ujrzeć nową część świata, tajemniczą, nieznaną, pociągającą nas jedynie niedolą naszych lekkomyślnych i łatwowiernych rodaków. Stanąwszy przy oknie, mimowoli wybiegłem myślą do swoich, aby w pamięci i sercu zabrać ich z sobą za Ocean.

Dnia 8-go, o godzinie 12-stej w południe, miał okręt wyruszyć na pełne morze.

IV.

Dziennik z okrętu.

8 kwietnia.

 Jesteśmy już na okręcie!

Po skończeniu ostatnich przygotowań podróжных, około południa wsiedliśmy na barkę, która nas dowiozła do stojącego o kilometr od brzegu „Brésil“.

Na targu panuje ruch niezwykły, odpływ bowiem statku „Messagéries Maritimes“ stanowi wypadek nielada. Nietylko podróżni sami, ich rodziny i przyjaciele, ale liczni kupcy, agenci, komisarze i t. d. są nim wysoce interesowani. Z różnych stron zdążają łodzie, wioząc jużto pasażerów z ich bagażami, już licznych interesantów, a wszystko to spieszy do olbrzymia, który ciężko oddycha parą, jakby próbował swoich sił do długich zapasów z oceanem.

Małe parowce ciągną gabary, naładowane węglem lub towarami, które „Brésil“ w swoim wnętrzu ma przewieźć na drugą półkulę. Silny wiatr dmie od północy, skutkiem czego wzburzone fale rzeki rzucają niemilosiernie naszą drobną łupiną.

Jedzie z nami na barce agent wędrujący jakiegoś towarzystwa angielskiego. Spieszy on do Buenos-Ayres, aby z krachu argentyńskiego uratować, co się jeszcze da. Zwiedził cały świat. Zawadził nawet o Rosyą, na dowód czego popisuje się znajomością kilku wyrazów ruskich. Zanim dopłynęliśmy do okrętu, zdążył nam opowiedzieć niemal całą historią swego życia.

Ale oto i u celu.

„Brésil“ przedstawia się imponująco. Ponad wodą, na dwa przeszło piętra, sterczy jego potężny, 155 metrów długi, kadłub, którego reszta na 27 stóp, jak nas objaśniają liczby przy sterze, zanurzona w falach, muskających jego potężne czarne boki. Z dwóch wielkich kominów buchają kłęby czarnego dymu, a z trzech bocznych otworów szerokim strumieniem tryska zużytkowana przez maszynę woda. Olbrzym długim rzędem okrągłych okienek, świecących w blasku jaskrawego słońca, niby ślepie bazylistyka, zapatrzył się gdzieś daleko w niedoścignione przestworze, pozwalając cierpliwie na swój grzbiet ładować ludzi i towary. Wrzawa i krzątanie na pokładzie głuchem echem spada do nas na dół i miesza się z pluskiem bijącej o boki statków wody.

Spostrzeżono nas.

Krótki świst piszczałki i w okamgnieniu winda porwała nasze pakunki, my zaś sami, niosąc podręczne kuferki, wchodzimy zwolna po schodach na pokład.

Na wstępie wita nas tłum ciekawych, mierzących

od stóp do głów nowych towarzyszków podróży. Odajemy nasze bilety miczmanowi, pełniącemu dyżur, który automatycznym ruchem ręki przekazuje nas nadstewartowi okrętu, dorzucając przez zęby: „sept et huit!“ „*Souvez, messieurs!*“ brzmi jakby komenda z ust wygolonego jegomościa. Więc idziemy! Przesunawszy się przez tłum pasażerów i majtków, zstępujemy po wąskich schodach do wnętrza okrętu; długim, kilkoma lampami elektrycznymi oświetlonym korytarzem posuwamy się naprzód. Po obu stronach widnieją numera dwoma rzędami ciągnących się kajut, podobnych kształtem do klatek. Kobierzec, wyściełający podłogę, głuży kroki, dodając niemiłej naszej wędrówce pewnej tajemniczości. Zbaczamy kilka kroków na lewo. Nasz przewodnik otwiera kluczem małe drzwi, odsuwa zieloną sukienną kotarę i rzuciwszy nam ze stereotypową uprzejmością: „*Voilà messieurs votre cabine!*“ oddala się, zostawiając nas samych.

Znajdujemy się u siebie. Tu, w tej małej, 3 i pół łokcia długiej i tyleż szerokiej i wysokiej klatce, mamy spędzić 14 nocy.

Rozglądamy się po onej miniaturowej siedzibie.

Po obu stronach umieszczono dwa wąskie łóżka, między zaś nimi niewielka umywalnia, wraz z lustrem. Ściany pomalowane na biało. Okrągłe okno, osadzone w dużej ruchomej tafli żelaznej, otwiera nam widok na morze. W środku u sufitu znajduje się mlecznym szkłem osłonięta lampa elektryczna, która za poruszeniem guzika, umieszczonego przy jednym z łó-

żek, oblewa naszą kajutę łagodnem światłem. Porządek i czystość panują wszędzie wzorowe.

Ułożywszy jako tako nasze manatki, powracamy na pokład. Tym razem przechodzimy przez salon jadalny, do którego z korytarza prowadzą szerokie, o mahoniowych poręczach, schody. Zajmuje on $\frac{1}{4}$ całego pokładu; urządzony z przepychem. Naokoło ścian obitych materyą ciągną się wygodne kanapy. Między oknami zawieszane różne widoki; — mają one zapewne w ciągu podróży morskiej przypominać ląd, który się straciło na długo z oczu. W środku salonu mieści się duży kredens mahoniowy, resztę zaś wypełniają rzędami rozstawione stoły, na 6, 8 i 12 osób, otoczone przyśrubowanemi fotelami. Z sufitu zwieszają się żyrandole elektryczne. Widocznie morze będzie niespokojne, albowiem na stołach rozpięto t. z. skrzypce, t. j. sznurami przymocowane deseczki, do utrzymywania, w czasie kołysania się okrętu, szklanek i butelek.

Jest właśnie pora „lunchu“.

Tu i owdzie zasiadły grupki pasażerów, którym podają bulion, wędliny, bakalie i wino. Przybiega do nas w kurtkę granatową przybrany garson i zaprasza do stołu. Dziękujemy, przekładając widok ceremonii odjazdu.

Olbrzymia syrena jęknęła raz i drugi. Jestto pierwszy sygnał. Barki z maruderami przybywają ciągle. Nie spieszo im widocznie opuścić lądu. Za chwilę spostrzegamy parowiec, ciągnący duży gabar, a na nim około 100 ludzi, różnej płci, wśród nich zaś istne

stosy pakunków. Są to emigranci portugalscy, zmierzający do Brazylii, aby wśród pokrewnych warunków znaleźć zarobek, którego im rodzona ojczyzna poskapiała. Na twarzach ich widać jeszcze ślady rzeźnego pożegnania. Kobiety zawodzą płaczem, mężczyźni stoją zrezygnowani i smutni. „Mój Boże! — pomyślałem — więc i tym ciężko opuścić swój kraj, a jednak udają się niemal do swoich! Cóż się dzieć musi w sercach naszych biedaków, jeżeli, oszołomieni niedorzecznymi nadziejami, w podobnej chwili mają choć trochę samowiedzy kroku, jaki czynią?” Wszystko ze zwieszonymi głowami, ociężałe, wchodzi na pokład.

Wreszcie zbliża się chwila stanowcza. Winda przestała dźwigać ciężary i ospale zawisła nad otwartą czeluścią pokładu, przez którą przed chwilą zanurzała się we wnętrzu okrętu. Majtkowie biegają w różne strony. Komendant daje sygnał, któremu odpowiada przeciągły ryk maszyny, ginący echem jakiegoś jęku po okolicznych górach. Oficerowie i cała załoga, wszystko, znajduje się już na stanowiskach. Trzej majtkowie z wysiłkiem windują schody okrętowe, które skrzypiąc żałośnie, radeby jeszcze przez chwilę utrzymać łączność między okrętem a ziemią. Sześć silnych ramion łamie jednak ich opór i oto zawisły już prostopadle u boku statku.

Wtem drgnął olbrzym a fale, jakby przerażone jego ocknieniem, zakotłowały się. Ruszyliśmy! Za nami wyciąga się powoli szeroka wstęga białej, spienionej wody, którą skrzydła śruby w miljardy lśniących kropel rozbiły.

Przesuwamy się około uroczej panoramy miasta. Forteca Świętego Sebastyana spogląda na nas groźnem okiem, wysunawszy otwarte paszcze swoich dział. Mijamy fantastyczny zamek Belem, żegnani po raz ostatni przez powiewającą z jego wieżycy flagę portugalską. Pozostały już tylko piaszczyste z obu stron brzegi, lecz i te rozszerzająca się coraz bardziej rzeka usuwa zprzed naszego wzroku. Zdala dolatuje jakiś głuchy łoskot, echo rzucanych silnym wiatrem bałwanów morza.

Schodzimy do sali jadalnej, oświeconej „al giorno“, gdzie nas odgłos dzwonka wezwał na obiad. Około stołów rażno i gwarno; wsuwają się zaraz różne postacie. Wszyscy nasi towarzysze podróży znaleźli się w komplecie, jest ich około 200 osób. Istna wieża Babel. Słyszysz się niemal wszystkie języki, przeważnie jednak francuski i portugalski. Maitre d'hôtel, z uroczystą miną, wskazuje nam miejsce. Siadamy, powitawszy lekkim skinieniem głowy czterech nowych współbiesiadników. Są oni portugalczykami, jeden z nich wszakże, niejaki p. Leonardo, nauczyciel muzyki z Rio, mówi trochę po francusku; zresztą trzeba się porozumiewać „z kiepska po portugalsku“, co wszakże nie przeszkadza, że rozmowa płynie żwawo.

Tymczasem zaczynamy uczuwać jakiś ruch do-
tąd nieznany, jakieś wolne przelewanie się z boku na bok. Spoglądam przez okno i widzę falę tuż, tuż blisko: to znowu, jak ginie mi zprzed oczów i otwiera, jak wzrokiem sięgnąć, daleką przestrzeń wody. Okręt zaczyna się kołysać. Im dalej się posuwamy, tem hu-

stawka staje się nieznosniejszą. Po chwili ktoś zrywa się od stołu i nerwowo zbiega na dół. To nieszczęsna ofiara choroby morskiej. Trzeszczą ściany okrętu, bałwany z łoskotem biją o jego boki, śruba tylko, jakby urągając tej grozie oceanu, pracuje jednostajnie i potęgą swoich skrzydeł popycha olbrzyma naprzód. Z naiwnością nowicyusza pytam, czy okręt zawsze się podobnie buja? „Mniej więcej, odpowiadają mi, zawsze, tylko obecnie, skutkiem bliskości brzegów i wiatrów, kołysanie jest trochę silniejsze.“

Ładna perspektywa!

Tymczasem otoczyła nas ciemna noc. Z pokładu widać zaledwie na kilka kroków przelewające się bałwany. Chłodny wiatr nie pozwala nam pozostać tu dłużej, zresztą czuję nieprzepartą potrzebę łóżka. Choć więc jeszcze nie wybiła ósma, schodzę do kajuty i udaję się na spoczynek.

9 kwietnia.

Dzisiejszy dzień był fatalny.

Nie jestem chory, ale czuję, że byłoby mi daleko lepiej, gdybym wreszcie zachorował. Głowa cięży, jakby była z ołowiu. Szum obsłizgującej się o ściany okrętu wody i miarowy, ustawiczny turkot śruby, budziły mnie kilkakrotnie.

Wstałem wreszcie. Nowa bieda. Niepodobna, ubierając się, ustać na nogach. Zmuszony byłem wykonywać najcudaczniejsze ewolucye gimnastyczne. Wychodzę wreszcie na korytarz, aż tu zataczam się

i padam na ścianę. Z trudem, trzymając się poręczy, pełzam na pokład. Jeszcze gorzej! Kołysanie okrętu daje się tu daleko bardziej we znaki. Są chwile, w których zdaje się, że ciężar pochylonego statku zwali nas z nim razem w morze. Jakaś tajemnicza siła dźwiga nas znowu do góry, lecz po to, aby rzuścić znowu na drugą stronę. Niema rady, upadam na pierwszy lepszy fotel. Niestety, i tutaj utrzymywać muszę nogami równowagę. Probuję czytać — po chwili znudzony, rzucam książkę. Przyglądam się morzu. Dziwne wrażenie! Woda, koloru ciemno-granatowego, stała się jakaś gęsta, ołowiana. Wydyma się tylko w różnych miejscach i toczy, połyskującą w blasku słońca górą, ku nam. Często góra owa nie zdążyła nas doścignąć, pęka w drodze i pokrywa się u wierzchołka białym grzebieniem piany, poczem, jakby za karę tej niecierpliwości, zapada się w otchłań wodną i tworzy głęboką przepaść. Często spotykają się dwie takie góry i wówczas z głuchym pomrukiem staczają się w głębie, albo sycząc, rozpryskują się na różne strony. Życie i walka wrą na lśniącej powierzchni oceanu. Wiatr dmie silny od północy, skutkiem czego rozpięto żagle. Płyniemy z szybkością 16-tu mil angielskich na godzinę, czyli około 27 kilometrów. Mniej więcej jest to szybkość pociągu towarowego. Powiadają, że jeżeli dalej tak pójdzie, będziemy o jeden dzień wcześniej w Dakarze. Mała to pociecha, gdyż tymczasem każda godzina jest nieznośną. Schodzę do salonu z zamiarem przelania moich wrażeń na papier. Okręt tak się jednak trzęsie, że z pod pióra wycho-

dzą jakieś koszlawe gzygzaki, których chyba nawet ja sam nie przeczytam.

Nie poznałem dotąd nikogo, na wszystkich bowiem ciąży jakieś przygnębienie. P. Mikołaj nie wychodzi z kajuty, ja powracam do niej peryodycznie, aby spocząć na łóżku. O jedzeniu niema mowy. Sam głos dzwonka, wzywającego do stołu, budzi odrazę.

Na ustawicznym pasowaniu się z chorobą zeszedł mi dzień dzisiejszy.

10 kwietnia.

Okręt, to w całym znaczeniu tego wyrazu, małe miasteczko, ze wszystkimi jego przywarami. Wystarczy poznać jedną lub drugą osobę, aby o każdej wiedzieć, z kąd jest, co robi, dokąd jedzie i t. d. Przekonałem się o tem właśnie dzisiaj, kiedy, wyszedłszy na pokład o wiele rzeświejszy, zrobiłem znajomość z parą urugwajską, która, po kilkomiesięcznym pobycie w Europie, wracała do Montevideo. W przeciągu kwadransa znałem już niemal cały okręt, jeżeli nie osobiście, to z drobiazgowych informacji, których mi moi nowi znajomi skwapliwie udzielali.

Ten pan np., mówią mi, to bogaty fazender z San-Paulo. Stracił w przeciągu niespełna 6 miesięcy około 600,000 fr. w Paryżu.

Tamtę nigdy, nigdy krezus w Buenos-Ayres, obecnie, skutkiem krachu, goły, jak turecki święty, ale mina butna, nieprawda? Ale oni wszyscy tacy, ci Argentyńczycy!

Albo np. ta para, z liczną gromadką dzieci, nie mogliby to siedzieć w domu i pilnować interesów, które doprawdy nieszczególnie idą.

Widzisz pan tę panią, która dopieroco koło nas przeszła; żadna porządna kobieta nie poda jej ręki.

W ten sposób miałem szczegółowe relacje niemal o wszystkich. W głowę zachodzę, z kąd ci ludzie, którzy przedtem się nie znali i prawdopodobnie drugi raz nie spotkają w życiu, tyle o sobie wiedzą. Są to tajniki stosunków ludzkich, które, niestety, spotyka się nietylko na okręcie.

Naturalnie, nie kwapię się w tych warunkach o rozszerzenie koła moich znajomych. Wystarcza mi tymczasem mój towarzysz przy stole, p. Leonardo, z którym, ze względu na jego doskonałą znajomość stosunków brazylijskich, rozmowa jest pożyteczną. Możemy swobodnie chodzić i nadawaniem korpusu w tę, lub ową stronę, jako tako równowagę utrzymać.

Na statku panuje rygor wojskowy. Komendant, p. Meunier, siwy, wielce ujmującej powierzchowności marynarz, trzyma wszystko w żelaznym ręku. Opowiadano nam, że w jednej z podróży trzech niesfornych Portugalczyków osadził na 5 dni w kozie, t. j. nie pozwolił im przez ten czas opuszczać kajuty. Wogóle władza komendanta na okręcie jest autokratyczną i różne o niej między podróżnymi krążą legendy. Jest to ze wszechmiar dobre, gdyż przy rozmaitych żywiołach, jakie znajdują się na statku, nie obyłyby się, w przeciwnym razie, bez wielce nieprzyjemnych zajść lub wybryków.

Porządek dnia jest następujący: Wstajemy między godziną 7 a 8-mą. W tym czasie stuartowie przynoszą do kajuty kawę lub herbatę. O godzinie 9 $\frac{1}{2}$ śniadanie, złożone z 4-ch potraw, o 1-ej lunch, o 5 $\frac{1}{2}$ obiad bardzo obfity, o 9-ej herbata, o 11-ej światło na pokładzie gaśnie. Punktem kulminacyjnym dnia jest godzina 12, kiedy wywieszają kartę z ilością przebytych mil w ciągu ostatnich 24 godzin. Rozmaite z tego powodu robią się zakłady, które naturalnie ciekawość ogólną podnoszą. Skutkiem pomyślnego wiatru robimy około 380 mil angielskich na dobę. Mały, na długiej lince, w wodzie zanurzony, mosiężny wiatraczek, połączony z zegarowym przyrządem, wskazuje szybkość biegu.

Czas wypełniają sobie pasażerowie, jak mogą. Tworzą się różne grupki na pokładzie, zajęte już to grą w loteryjkę, już to zabawami towarzyskimi, już wreszcie rozmową, w której „bliźni“ stanowi zazwyczaj ulubiony temat. Panie mają robótki, inne krzątają się około dziatwy, która ustawicznie rozbiega się po różnych kątach okrętu, ku wielkiemu utrapieniu matek. Panowie grają w karty, szachy i arcaby. Od czasu do czasu ktoś zasiądzie do fortepianu, a wnet otacza go koło melomanów i melomanek. Dwie panie peryodycznie popisują się ze śpiewem, ale niestety, nawet na okręcie talent ich niemałą uszom krzywdę czyni.

Na jutro młodzież organizuje wieczór tańczący, nb. jeżeli morze na to pozwoli.

P. Glinka czuje się dziś już znacznie lepiej

i większą część dnia spędził na pokładzie, czasami tylko schodząc do kajuty. Wogóle choroba morska niewiele obecnie pochłania ofiar.

Czy kiedykolwiek się spodziewałem oglądać własnymi oczyma wybrzeża Sahary? Otóż patrzyłem na nie przez kilka godzin. W nocy płynęliśmy wzdłuż wysp Kanaryjskich, obecnie zaś przesuwamy się tuż około zachodniego brzegu Afryki. Zdaleka widać ocean piasku. Przestrzeń jest płaska i pusta, gdzieniegdzie tylko czernieje coś nakształt chaty; są to siedziby czarnych rybaków. Dochodzą nas prądy ciepłego powietrza, które jednak wnet szybkość biegu okrętu rozprasza. Wszyscy, przytuleni do poręczy pokładu, wpatrujemy się w te bezmierne przestrzenie, śledząc, czy oko jakiego znaku życia nie dostrzeże. Niestety! martwota zalega wszędzie; podnoszą się tylko tumany kurzu, które wiatr roznosi hen, daleko. Smutny kraj-obraz, a jednak i ten ponury widok lądu napęnia nas pewną otuchą. Mimowoli przypomina się, że tylko tam szukać można ratunku przed morzem.

Zaszedłem dzisiaj na przód okrętu. Inne tam zgoła panuje życie. W różnych kątach i zaułkach schroniły się przed prażącymi promieniami słońca grupki pasażerów. Jedni śpią, inni gwarzą, inni leżą zapatrzeni w odległe wód fale. Ci z pewnością myślą o tych, których może na zawsze opuścili.

Wieziemy ze sobą oddział żołnierzy francuskich, którzy jadą do Senegalu. Czekają ich tam straszne dwa lata śmiertelnej walki z klimatem i choroba. Iluż

z nich nie ujrzy już więcej Francyi?! Na twarzach ich wyryty smutek i przygnębienie.

Jakiś Portugalczyk gra na mandolinie, mała zaś dziewczynka, ujawszy drobnemi rączkami rąbek sukni, usiłuje tańczyć. Okręt pochylił się silniej i biedactwo potoczyło się. Gdyby nie bacność matki, która ją w sam czas pochwyciła w objęcia, byłaby upadła. Nie zraża jej to jednak i dalej drepcze małemi nożynami.

Nieco dalej, po obu stronach okrętu, znajdują się klatki, w których wieziemy żywe woły, cielęta, barany i drób, dzięki czemu, mamy ustawicznie świeże mięso. Tuż obok jest rzeźnia i piekarnia, z kądem co chwila wynoszą stopy mięsiwa i upieczonego chleba. Sam cypel statku przeznaczony został na pomieszczenie załogi i służby okrętowej. Dusznio tam i gorąco. Wąskie łóżka, po trzy i cztery, jedno nad drugimi, służą do spoczynku.

Powracając na nasz pokład, zwiedzałem kuchnię. Umieszczono ją w samym środku okrętu. Ośmiu kucharzy i kilkunastu kuchcików krząta się około stołów i ognisk, przygotowując właśnie obiad. Porządek i czystość wszędzie wzorowa. Obok kuchni na stołkach, kilkunastu żołnierzy, podkasawszy granatowych szyneli, lub w płóciennych kurtkach, z kepi zsuniętemi na tył głowy, skrobie kartofle i jarzyny. Widośnie z nudów chwytają się i tej rozrywki.

Po raz pierwszy oglądałem zachód słońca na morzu. Nie mam w sobie ani szczypty poetyckiej fantazyi, a jednak oka od tego imponującego widoku

oderwać nie mogłem. Powietrze jest tak czyste, że zdaje się, iż wzrok setki mil przeniknąć zdoła. Od strony zachodu niebo przybrało kolor pomarańczowy, który na reszcie firmamentu przechodzi w ton coraz łagodniejszy, aż ku wschodowi gubi się w blado-złocistym, co na tle granatowej wody stanowi kontrast czarujący. Rozsiane tu i owdzie chmurki tworzą fantastyczne kolorowane obrazy. Tu widać jakiegoś potwora, buchającego czerwonym ogniem. Owdzie w dali ginie w różowym świetle miasto, które rozsiało się na wydętych bałwanach oceanu. Tam las widocznie się pali, bo oto kłęby ognistego dymu otuliły drzewa, z pośród którego zaledwie kształty ich rozpoznać można. Oto i olbrzymi wielbłąd kroczy po pustyni; na grzbiecie wyrosły mu dwie góry, a zgięta w pałaski zaledwie dzwiga strudzony leś. Opuścił widocznie piaski Sahary i odbywa wędrówkę po nieboskłonie. Gdzie okiem rzucić, coraz nowy widok, w którym rozbudzona nieznany dotąd widokiem fantazya, dopatruje się kształtów.

Spoglądasz wreszcie na tę potężną kulę ognistą, która, wychyliwszy się z chmury, zawisła nad wodami. Blask jej i im nadał dziwnego połysku; lśnią się, jak stal. Ona tymczasem chwieje się i drży, topiąc swe promienne płomienie w nurtach falistego oceanu. Zawrzała walka między ogniem i wodą. Morze chce wchłonąć kulę słoneczną i rzuca ku niej całe zastępy bałwanów. Nie tak łatwo jednak pokonać słońce. Odwaga śmiałków srodze zostaje ukarana, bo oto cofają się, krwią oblane i giną w odmętach. Ocean

nowe wysła hufce, ale i one, porażone olśniewającym blaskiem słońca, dzielą los swych poprzedników.

Straszna jest jednak potęga wód, gdyż widocznie słońce traci już siły. Kula zaczyna się od dołu wydłużać. Rąbek jej chwytają w oka mgnieniu bałwany i milionami ramion ciągną w swoje odmęty. Słońce się broni, ale daremnie. Tonie coraz głębiej, a tryumfujący ocean pogrąża je w swojej paszczy. Chwilę tylko jeszcze ostatni pasek ognisty utrzymuje się na powierzchni wód, ale i on ginie, żegnając dzień potężnym snopem światła, które całe niebo oblewa krwią i szkarłatem!

Długo stałem jeszcze na pokładzie, zatopiony w niemem uwielbieniu dla Tego, który przed okiem ludzkim rozpościera takie cuda, a wszechpotężną Wolą swoją rządzi morzem, słońcem, całą przyrodą i korzącym się przed Jego Mądrością i Wszechmocą człowiekiem!

Wieczór mieliśmy dziś bardzo ożywiony i wesóły. Młodzież, w salonie do muzyki, znajdującym się nad salą jadalną, rozpoczęła płasy. Zabawnie wygląda taniec przy kołysaniu się okrętu. Co chwila jakaś para traci równowagę i pada z impetem na pierwszą lepszą ścianę, fotel, kanapę, lub stół. Nie psuje to jednak zabawy i taniec idzie dalej.

Tuż obok steru zebrała się dziatwa. Utworzyła ona wielkie koło, w którym, śpiewając, obraca się. Mamy towarzyszą z boku tej zabawie, co chwila bowiem ich interwencya okazuje się potrzebną.

Przy wielkim maszcie zgromadziło się również

liczne towarzystwo. Tam p. P., współpracownik paryskiego „Tempsa“, udający się na studia dziennikarskie do Ameryki południowej, wywołuje wśród zebranych co chwila frenetyczny śmiech swoim humorystycznym monologiem.

Ale i w sali do palenia, tuż obok kajuty komendanta, również gwarno. Panowie grają w karty, popijając szampanem. Gry hazardowe są na okręcie wzbronione, więc kwitnie wist, ecarté, pikiet i t. p., któremi niejeden nudę zabija.

Wogóle dzień dzisiejszy przeszedł nam szybko i zaledwie gaszenie świateł na pokładzie zapędziło nas do kajut.

11 kwietnia.

Wszystkie nasze nadzieje o prędszem przybyciu do Dakaru spełzły na niczem. Coś popsuło się w naszej maszynie; powiadają, że oś się zagrzała, skutkiem czego stoimy od rana, rzuceni na igraszkę bałwanów. Nie znam dotąd, Bogu dzięki, dolegliwości burzy, ale czy może być coś nieznośniejszego, jak to bezsilne huśtanie się oddanego na pastwę fali okrętu? Siła biegu dodaje przynajmniej statkowi pewnego oporu przy kołysaniu. Nadchodzi moment, kiedy zbiera on całą energię, aby wyrwać swój bok z wód przepaści a przechylić się na drugą stronę. I ta to mechaniczna energia udziela się poniekąd człowiekowi, który tym sposobem czuje, że ów olbrzym falom pokonać się nie da. Inaczej zgoła, gdy maszyna spoczywa bez-

czynnie, a morze rzuca okrętem, jak łupiną. Niknie wówczas wszelki opór, a przynajmniej nie czuje się go. Statek zapada w jakiś sen, z którego przebudzić go nie można i pozwala falom bawić się sobą. Ach, jak ta zabawka drogo kosztuje! Połowa towarzyszków leży chora w kajutach, reszta włości się po pokładzie oswiała i przygnębiona. Każdy oficer, każdy majtek, każdy stuart obsypywany bywa z dziesiątek ust jednym jedynym pytaniem: czy już maszyna naprawiona? — na co z flegmą odpowiada zawsze to samo: jeszcze nie!

Ogarnia mnie okropne zniechęcenie. Smutek, tęsknota, nuda wreszcie, podają sobie rękę, aby trapić niemiłosiernie. Radbym, żeby szalała burza, żeby wreszcie okręt poszedł na dno, byleby przestał się kołysać i pozwolił zażyć choć jednej chwili spokojnej równowagi.

Tymczasem dochodzi nas tylko stuk młotków około maszyny. Gdy on ustaje na chwilę, wstępuje nadzieja: może już skończono? Gdzietam; stukają dalej! Szukam we wszystkich zaułkach okrętu spokojniejszego miejsca. Zbiegam do kajuty, próbując czy na łóżku nie będzie mi lepiej. Daremnie! Wszędzie ta sama wolna, bezodporna huśtawka. Ustał wiatr, nawet żagli rozpiąć nie można. Ocean w tej chwili jest gładki, jak lustro, wydyma się tylko po to jedynie, aby z nami urządzać sobie dokuczliwą igraszkę.

W porze obiadowej salon prawie pusty. Ktoby chciał jeść w podobnem usposobieniu. Na pokładzie,

jak niedobitki, leżą w fotelach towarzysze podróży, utyskując na komendanta, na maszynistę, na okręt, na morze, na wszystko!

Zaledwie zmrok zapadł, chronimy się do kajut; może sen ulgę przyniesie?!

12 kwietnia.

Dopiero o godz. 3-ej w nocy ruszyliśmy w dalszą drogę. Płyniemy, ale żal się Boże, jak! Krąży pogłoska, że to tak będzie przez całą drogę do Rio, gdyż tam dopiero maszynę gruntownie naprawić można. Mniejsza o to, przynajmniej nieznośna huśtawka ustała, a okręt kołysze się podawnemu, do czego widocznie już zupełnie przywykliśmy, gdyż nie sprawia to już na nas wrażenia. Natomiast upał daje się nam srodze we znaki. Nie czuć najlżejszego powiewu wiatru, a chociaż nad całym pokładem rozpięto płótno, które szczelnie osłania przed promieniami słońca, gorąco i duszność panują wszędzie. Woda zmieniła swój kolor i z granatowej stała się siną, a okręt rozsłusza zaledwie jej fale, które przelewają się, jakby były z oliwy. Cała powierzchnia oceanu wygląda chropowato i przypomina świeżo zabronowane pole. Co chwila z wody porywa się stado ryb latających, które płyną przez czas jakiś w powietrzu nad wodą, połykując w blasku słońca swoją łuską, i o kilkadziesiąt kroków dalej wpadają w morze. Podobno jestto jedyny sposób ucieczki przed czyhającym na te małeństwa rabusiem morskim. Zdarza się czasami, że

niektóre z nich w trwodze i popłochu wpadają aż na okręt, lub przez otwarte okna do kajut.

Poznałem dziś bardzo interesującą osobistość: d-ra Gada, duńczyka, który piętnaście lat mieszkał w Brazylii i zna ją na wylot. Spędziliśmy kilka godzin na pożytecznej pogawędce. Nie obcą mu jest także dola emigrantów, gdyż przed kilku laty przybyło do St. Paulo kilkuset duńczyków, również zwabionych kłamliwymi obietnicami agentów. Miał on z nimi niemało kłopotu. Część ich zmarła, część powróciła do kraju, a zaledwie niektórzy po ciężkiej walce i niedoli z konieczności osiedlili się w Brazylii. Dr. Gad przyrzekł zapoznać mnie z jednym fazenderem, który wraca z żoną i synkiem z Europy do domu. Od niego mam się dowiedzieć o warunkach pracy w plantacjach kawy. Wszedłem również w stosunki z dwoma brazylijczykami, którzy chętnie udzielają mi wszelkich informacji.

Mam nadzieję, że łącząc to, co dowiaduję się z książek i czego mi dostarczają uprzejmi towarzysze podróży, nie stanę na brazylijskim gruncie z zawiązanemi oczyma.

13 kwietnia.

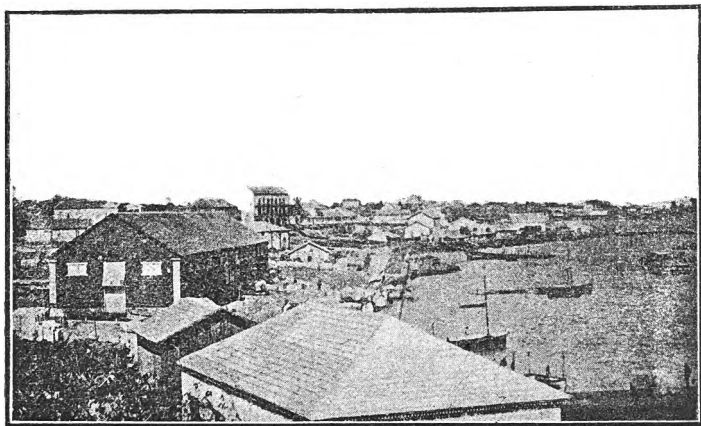
(Dakar).

Z głębokiego snu zbudziły mnie cisza i spokój. Tak, skoro już raz ucho przyzwyczai się do turkotu śruby i szumu rozpieranej bokami okrętu wody, cisza i spokój stają się czemś niezwykłym i budzą ze snu.

Pierwsza myśl moja była: znowu coś się popsuło w maszynie! Narzuciwszy więc na siebie płaszcz, wybiegłem na pokład. Nie! moje obawy nie ziściły się!

Jesteśmy w Dakarze.

Słońce nie zdążyło jeszcze wychylić się zpoza horyzontu, a szary brzask oblewał zaledwie sinem pół światłem osadę i okoliczne góry. Tak, w istocie, Dakar zasługuje tylko na miano osady. Kilka białych



Widok Dakaru.

domów, rozrzuconych bez żadnej symetrii, tu i owdzie; długie, ciemne składy węgla; gdzieś wystrzelająca ku niebu palma, lub rozłożysty kokos, a w dali czerniejące dachy szalasów murzyńskich, oto i wszystko, co wzrok w pierwszej chwili objąć potrafi.

Jeszcze okręt nie zarzucił kotwicy, kiedy zewsząd pomknął ku nam istny rój kajaków murzyńskich. Są to małe, wysmukłe czółna, zazwyczaj z je-

dnej wyciosane kłody. Jedne z nich wiozą ryby, inne jarzyny, inne wreszcie małemi, spiczastemi łopatkami popycha żwawo trzech czarnych niedorostków. Ci ostatni nie mają na sobie żadnego odzienia, niewielka przepaska zakrywa im zaledwie biodra. Głowy bez nakrycia, zazwyczaj do połowy wygolone, równie jak czarna skóra czoła, połyskują w świetle wschodzącego słońca. Sądząc po ich nerwowych ruchach, z jakimi zmuszają kajak do pośpiechu, sądzićby można, że mają jakąś ważną powinność do spełnienia przy okręcie. Zagadka jednak wnet się rozwiązuje. Łamaną francuzczyzną żebrzą oni o wrzucenie do wody pół franka. W chwili gdy mała srebrna moneta spada do morza, z szybkością piskorza rzuca się ich kilku, czasami kilkunastu w wodę. Na powierzchni fal błysnęły tylko ich białe stopy, poczem widać w przezroczystej wodzie, jak skłębione ciała wykonują żabie ruchy i wszystko ginie w odmęcie. Po upływie kilku sekund wychyla się z zielonej toni jedna głowa, potem druga, trzecia, dziesiąta, aż wreszcie wypływa zwycięzca, trzymający monetę w białych zębach. Z nosa płyną mu dwa strumienie wody i otrząsa się jeszcze po słonym jej smaku, ale szczęśliwy, tryumfujący, pokazuje zdobyecz i wnet, widocznie z obawy grabieży ze strony chciwych towarzyszków, chowa ją do ust — i żebrze dalej. Robi to wstrętne wrażenie, a jednak coraz to nowa półfrankówka spada do morza, o którą powtarza się ta sama walka.

Spostrzegam może ośmioletniego malca, który nie mogąc dorównać starszym zapaśnikom, odpłynął

na stronę i płaczliwym głosem błaga, by i jemu także dać sposobność do ohydneho popisu. Z wody widać tylko jego kędzierzawą głowę i białe wylupione oczy. Fala zalewa mu usta, więc się krztusi biedactwo, a jednak nawoływać nie przestaje. Nie wiem, czy z miłosierdzia, czy ze swawoli, rzucił mu ktoś pieniądz, ale oto znalazł się starszy i w mgnieniu oka wydobyl z morza błyszczącą monetę. Malec rozplakał się na dobre, ku wielkiej ucieście reszty. Nie daje jednak za wygraną i otarłszy mokrą piąstką łzy, próbuje dalej szczęścia.

Nie rozumiem, jak policja wodna może pozwolić na równie oburzającą zebranię. Pomijając już stronę moralną, upadającą, to połączony jest ów połów z wielkiem niebezpieczeństwem, gdyż brzegi Dakaru osławione są z ilości rekinów, które corocznie podobno kilka i kilkanaście czasami porywają ofiar. Jako jedyną obronę przeciwko tym żarłocznym potworom, nosi każdy murzyn na piersiach „cri-cri,” rodzaj skórzanego skaplerza, w który znachor zaszywa zamówiony rąb rekina, małe muszle, lub kamyki. Cri-cri owe dochodzą niekiedy do wysokiej ceny. Często ojciec przekazuje je w spadku synowi, który z religijną czcią strzeże cnego talizmanu, jak oka w głowie.

Podziwiam siłę płuc tych niedorostków, niektórzy z nich za umówioną cenę przepływają pod okrętem. Niebezpieczna ta przeprawa trwa, według zegarka, około 40 sekund.

Opowiadano mi, że kilkakrotnie władze miej-

scowe zabraniały tych popisów, murzyni jednak umieją zawsze obejść ich czujność, więc obecnie patrzy się na to przez szpary.

Powoli przybywają i większe barki z różnymi przekupniami. Przybrani oni są w fantastyczne stroje, najczęściej w rodzaj wielkiej, do ornata podobnej opończy, z różnokolorowego perkalu. Na głowach noszą zazwyczaj fezy, lub turbany. Każdy z nich zachwala swój towar: laski z grzbietu rekina, papugi, małpy, miski z orzecha kokosowego, pałasze, włócznie i tym podobne przedmioty. Inni ofiarują się jako przewodnicy po Dakarze. Korzystamy z tej sposobności i postanawiamy wyjść na senegalski ląd, aby zwiedzić Dakar.

Senegal od dawien dawna stanowi kolonię francuską. Jeszcze w wieku XVI zwiedzili go kupcy z Dieppe, od roku zaś 1664 stał on się urzędową posiadłością Francyi. Do zeszłego stulecia nie spotykamy prawie wzmianki w historii o Senegalu. Dopiero pod koniec XVIII wieku współzawodnictwo Anglii wywołuje szereg starć, które w r. 1817 kończą się utrzymaniem Francyi przy tej kolonii. Od r. 1855 generał Faidhérbe objął zarząd Senegalu i roztropnemi rządami swemi przyczynił się do istotnego jego rozwoju.

Cały Senegal rozpada się na dwa okręgi: St. Louis i Gorée. Do pierwszego prowadzi obecnie kolej z Dakaru, Gorée zaś rzucone jest na skałach naprzeciwko Dakaru i stanowi niewielką warownię francuską, a zarazem główną siedzibę garnizonu.

Sam Dakar liczy około 500 białych, wraz z za-

łogą i 6000 murzynów. Osada rozsiadła się na piaskach i dlatego robi wrażenie smutne. Domy europejskie są wzniesione z drzewa, lub kamieni, z dużemi werandami i oknami szczelnie zasłoniętymi zielonemi żaluzjami. Znajduje się tutaj kościół katolicki bardzo schludny, poczta wraz ze stacją podmorskiego kabylu, komendantura, koszary spahisów, szpital, oraz dwie przez Francuzów utrzymywane restauracye. Nadto kompanie *Messageries Maritimes* i *Chargours reunies* założyły w Dakarze wielką stację węglową, z której zasilają swoje statki podczas zaatlantycznej przeprawy.

Zaledwie zdążyliśmy wysiąść na ląd, kiedy otoczył nas tłum czarnych żebraków. Nie wiem, jaka jest historia cywilizacyi, którą tutaj szczepili Francuzi, ale że ona nie wydała ponętnych owoców, o tem przekonać się mogłem dosadnie. Cała ludność Dakaru zamieniła się w zgraję upodlonych próżniaków, którzy wygrzewają się na słońcu, łowią ryby czasami, a najczęściej natrętnie żebrzą. Istotnie trzeba się formalnie opędząć ich nieznośnej natarczywości. Za każdym europejczykiem bieży ta zgraja, popychając się wzajemnie i krzykiem przeraźliwym usiłuje na siebie zwrócić uwagę. Widziałem między innemi kilkomiesięczne zaledwie dzieciaki, zawieszzone w płachtach na plecach matek, i te już wyciągają ręce, a pochwyciwszy ruchem małpki podawaną im monetę, oglądają na wszystkie strony, a następnie oddają swoim karmicielkom. Osiedli w Dakarze Francuzi nie robią sobie z murzynami ceremonii, i jeżeli inaczej ich natręstwa pozbyć się nie mogą, używają pięści, lub kija. Murzyn zwija

się wówczas jak smagnięte batem zwierzę, odbiega kilka kroków, lecz nie ustępuje, tylko w pewnem oddaleniu idąc, głośniejsz doprasza się o jałmużnę.

Z trudnością posuwamy się dalej, brocząc po czerwonym piasku, którego tumany, wzniesione nogami uwijających się murzynów, osiadają na naszym odzieniu, twarzy, oczach, a nawet wdzierają się do ust, trzeszcząc niemiłosiernie w zębach.

Celem naszej wędrówki jest wizyta u króla Dakaru. Tytuł królewski nic niema wspólnego z władzą, którą spełnia gubernator francuski z St. Louis. Jestto spuścizna z dawnych czasów, kiedy kacyk Dakaru miał istotnie poddanych. Czy dzisiejszy król już odziedziczył królewską godność *in partibus infidelium*, czy też jeszcze sprawował jakie takie rządy, nie mogłem się dowiedzieć. Dosyć, że jest on punktem kulminacyjnym ciekawości pasażerów, którzy na kilka godzin wysiadają na ląd senegalski.

Nasz przewodnik uprzedza nas, że królewska mość *Dial-Diop* jest jego osobistym przyjacielem, co sądząc z powierzchowności, niezbyt dobrze świadczy o wybredności byłego władcy Dakaru w wyborze przyjaciół. Ale mniejsza o to, przecież nie suknia — w tym wypadku zaś dobrze podarty spencerek i zaledwie do kolan sięgające spodnie — stanowi o wartości człowieka. Idziemy więc, a chociaż piasek sięga nam za kostki i słońce dopieka niemiłosiernie, ciekawość zniewala nas do przyspieszenia kroków. Przechodzimy przez całą dzielnicę europejską, co nam zabiera z pół godziny czasu.

Wkraczamy wreszcie do osady murzyńskiej.

Przed nami rozpościera się nieprzeliczona ilość szałasów niskich, pokrytych liśćmi palmowymi, przypominających swemi kształtami małe stożki siana. Drogi niema żadnej; musimy przeciskać się wśród



Szałas murzyński w Dakarze Dial-Diop.

szałasów, bacząc pilnie na nogi, pojęcie bowiem o asenizacyi nie doszło jeszcze do Dakaru, na czem i nasze nosy wiele cierpią.

Po kwadransie tej uciążliwej wędrówki stajemy wreszcie przed nieco większym szałasem, lecz ani kształtami, ani niechlujnem otoczeniem, nie różniącym się od reszty.

— Oto pałac króla Dakaru — odzywa się z pewnością dumą nasz przewodnik.

Zatrzymujemy się w przekonaniu, że zapewne jaki szambelan jej królewskiej mości zawiedzie nas przed dostojne oblicze monarsze, lecz nasz cicerone nie pozwala nam długo się namyślać i sam włazi przez niski otwór do wnętrza, kiwając na nas palcem, abyśmy szli za jego przykładem. Utwierdza to nas w przekonaniu, że istotnie muszą go z królem łączyć wielce poufale stosunki. Zginamy więc nasze grzbiety i wchodzimy. To samo czyni kilku towarzyszków podróży, którzy się do nas przyłączyli po drodze.

Na wstępie uderza nas ciemność, która w pierwszej chwili nie pozwala rozróżnić przedmiotów. Światło wpada jedynie do wnętrza przez otwór, którym dopieroco przecisnęliśmy się, a który niestety zasłaniają plecy naszych towarzyszków. Powoli oko oswaja się i zaczyna ciekawie błędzić po tej oryginalnej sali recepcyjnej. Za podłogę służy jej szczerą ziemią, po której kilka dzieciaków murzyńskich na czworakach pełza, uciekając, widocznie przed przybyłymi, w ciemniejsze kąty. Sprzętów nie widać żadnych, natomiast z barłogu poczyną ociężałe podnosić się kilka czarnych postaci, na wpół nagich, lub okrytych podartymi oponami. Jakaś murzynka gorączkowo śpieszy do jednego zaułka i wynosi olbrzymi kapelusz ryżowy, poobwieszany różnemi przedmiotami, który wkłada na głowę dźwigającego się z barłogu starca. Jestto symbol godności królewskiej. Nasz przewodnik zbliża się do niego, potrząsa silnie ramieniem, chcąc widocznie

do reszty rozbudzić na wpół jeszcze drzemiącego i z tryumfującym głosem oznajmia:

— *Voilà! le roi de Dacar!* Jego królewska mość



Król Dakaru.

jest chory na febrę — dodaje — niemniej jednak wita serdecznie panów.

Jakoż widzimy wyciągającą się ku nam suchą, kościstą rękę. Stałem najbliżej, więc pierwszy chwytam ją i uczuwam jakieś chorobliwe ciepło, które się udziela mojej dłoni. Chcę cofnąć rękę, ale jego kró-

lewska mość trzyma ją silnie i jednocześnie wyciąga drugą, którą w powietrzu trzyma prostopadle otwartą.

— Co to ma znaczyć? — pytam zdziwiony przewodnika.

— Nie to — objaśnia mnie — król Dakaru prosi o datek.

— Co? — wyrwało mi się mimowoli z ust.

— Daj mu pan kilka susów — szepcze mi do ucha jeden z obecnych Francuzów.

— Królowi Dakaru! kilka susów! — odparłem zdziwiony — nigdy!

Wyjąłem natomiast błyszczącego franka i położyłem go na białej skórze wyciągniętej dłoni.

Król obejrzał bacznie monetę, uśmiechnął się, kiwnął głową na znak zadowolenia i schował franka w zanadrze.

Ta sama ceremonia powtórzyła się z p. Glinką.

Nasza hojność zrobiła wrażenie w czarnem otoczeniu.

Wtem zbliża się jakaś stara murzynka, którą przewodnik przedstawia jako królowę Dakaru, *Mal-Diop*. I ona wita się jedną ręką, a drugą wyciąga po jałmużnę. Nie chcemy siać niezgody w stadle monarszem, więc każdy z nas obdarza ją również frankiem. Ale otosuną się księżniczki, z małemi książątkami na plecach i żebrzą już bez wszelkiej ceremonii. Matki otrzymują po pół franka, ich szlachetne potomki po dwa susy. Teraz otacza nas zgraja wrzekomych ministrów i dygnitarzy, którzy wrzeszczą niemiłosiernie. Rzucamy im na pastwę kilkanaście sztuk drobnej monety i ucie-

kamy coprędzej z pałacu królewskiego, ścigani przez niższych stopni pretendentów do jałmużny.

Taka była nasza wizyta u króla Dakaru, któremu podobno wspaniałomyślna Francya przeznacza 600 fr. rocznie na utrzymanie własne, żon, dzieci, dworu itd.

Cóż więc dziwnego, że żebrze? Niegdyś prawdopodobnie przodkowie jego tysiące niewolników sprzedawali białym, dziś on, ich potomek, za nędzne parę susów sprzedaje im już tylko... swoją własną godność.

Tempora mutantur!...

Jestto jeden z tych wstrętnych owoców dorywczej cywilizacyi na afrykańskim gruncie.

Wracamy do dzielnicy europejskiej, aby na pocztę złożyć listy i wysłać telegramy do Warszawy. Biuro pocztowe zamknięte, a jak nas objaśnił czarny urzędnik, otworzą je dopiero około drugiej. Brakuje jeszcze pół godziny, więc postanowiliśmy czekać.

Tymczasem ściągają z różnych stron pasażerowie „Brésil,” z tym samym, co i my zamiarem. Czas wyczekiwania zapelniamy sobie opowiadaniem wzajemnych wrażeń.

Zbliża się między innymi ów wesoły monologista z pokładu i dziennikarz paryski, p. P., który w jaskrawej pochwie dżwiga zawieszony przez ramię pałasz murzyński. Oglądamy z ciekawością ten nabytek i zapytujemy, gdzie go kupić można. Proponuję wtedy p. Glince, abyśmy się udali na wskazane miejsce. Za ledwie jednak zdołałem wymówić pierwsze słowa, gdy wysuwa się jakiś murzyn i wcale czystą polszczyzną oświadcza:

— Jeżeli panowie pozwolą, to ja doprowadzę.

— Bój się Boga! — woła zdumiony p. Mikołaj — a tyś co za jeden? Zkąd się tu wziąłeś?

— A niby to ja nie byłem przez dziesięć lat w Warszawie — odpowiada, uchylając kapelusza i przytacza nam długi szereg znanych osób, u których pełnił obowiązki służącego.

Spotkanie murzyna, mówiącego po polsku, i to w Senegalu, zaliczyć chyba wypada do rzędu oryginalnych niespodzianek.

Armand, tyle tylko dowiedziałem się o nazwisku murzyna, z Warszawy poszedł do Petersburga. Ztamtąd przez kilka lat włóczył się po całej niemal Europie. Świeżo ów pan dziennikarz spotkał go w nędzy i opuszczeniu w Lizbonie i wziął ze sobą, jako służącego, na pokład „Brésil.“ Włada on następującymi językami: francuskim, niemieckim, włoskim, portugalskim, hiszpańskim, ruskim i polskim. Istotnie ciekawa osobistość. Podejrzujemy go, że musiał coś przeskrobać i dlatego szukał schronienia w ustawicznej tułaczce po świecie.

Załatwiwszy się na poczcie, uczuwamy, że nasz żołądek zaczyna dopominać się swoich praw. Prowadzą nas tedy do restauracyi francuskiej, która znajduje się nieopodal brzegu. Zastaliśmy tam tłum cały naszych towarzyszków podróży i oficerów francuskich, którzy pospieszyli zasiągnąć języka z Europy. Gwar, hałas i gorąco panuje tu straszne. Humory podniecone, o czem świadczy spora bateria wypróżnionych butelek szampana.

Przedsiębiorczy gospodarz, chcąc przynęcić gości swoich, zebrał na dużym tarasie tłum murzynów i murzynek, którzy rozpoczynają swój narodowy taniec. Dwóch czarnych stoi na uboczu i uderza w podługowate bębny. Przed nimi utworzyło się wielkie koło z kobiet, które jakby nad słuchują tej monotonnej muzyki. Nagle jedna z nich wypada na środek, zaczyna dreptać w miejscu nogami i wywijać rękami. Bębny uderzają coraz głośniejsze i szybciej, tłum krzyczy i wyje formalnie, czem zachęcona tancerka wpada w szalone tempo, aż zziębnięta usuwa się na bok, zostawiając miejsce drugiej. Taniec niema w sobie nic malowniczego, jest dziki i mechaniczny. Największy entuzjazm wzbudzała kulawa tancerka, którą krótsza noga zmuszała do różnych, niezbyt estetycznych ewolucyj korpusu.

Czas jednak wracać na okręt, gdyż odjazd zapowiedziany został na czwartą. Uspakajają nas wprowadzając, że statek nie odpłynie przed wieczorem. Wolimy jednak być punktualni, zresztą wędrówka kilkogodzinna zmęczyła nas rzetelnie i daje uczuć potrzebę spoczynku.

Po drodze kupujemy jeszcze różne miejscowe bagatele, opędzamy się żebrakom i o czwartej jesteśmy już na pokładzie. Murzyni, pod różnemi pozorami, niepokoją nas i tutaj jeszcze, a naokoło statku pływają ciągle owe kajaki niedorostków, którzy od czasu do czasu nurzają się w morzu, aby wyciągnąć wrzuconą monetę.

Tymczasem, z ośmiu olbrzymich gabarów, ładują
w Brazylii.

węgiel na okręt. Potrzebuje go on spory zapas, bo aż na dziewięć dni, z których w każdym potężne piece jego maszyny spożywają, ni mniej, ni więcej, tylko 75.000 kilogramów. Czarny pył pokrywa cały pokład; wtargnął nawet do sali jadalnej i kajut, tak, że pobyt w nich jest niemożliwy. Chronimy się więc w zakątek około dużego masztu, oczekując z niecierpliwością na odjazd.

14 kwietnia.

Wyruszyliśmy dopiero o północy, do tego bowiem czasu naprawiano maszynę. Robi ono nam nadzieję, że popłyniemy szybciej i bez przerwy. Niestety, obietnice te nie ziściły się. Podczas śniadania zjawił się komendant i oświadczył, że okręt stanie.

I rzeczywiście stoimy, kołysani w ten sam niezdolny sposób, co onegdaj. W dodatku upał dokucza nam strasznie. Termometr wskazuje 30 stopni Réaumura w cieniu. Ci, którzy zdołali oprzeć się chorobie, usiłują na zaimprovizowanej naprędce wędce łowić ryby. Dotąd nie widziałem, aby komukolwiek udało się wyciągnąć zdobycz z toni morskiej. Za to mały chłopiec, który wychyliwszy się przez balustradę, zbyt ciekawie przypatrywał się bezskutecznemu połowowi, oniemał, że nie wpadł do wody. Ten niedoszły wypadek wyrwał na chwilę cały okręt z odrętwienia.

Co chwila ktoś zbiega na dół do maszyn i wraca zawsze z tą samą wiadomością: jeszcze reperują!

Nad wieczorem przepływa na kilkadziesiąt me-

trów od okrętu całe stado delfinów. Potężne te potwory jakby przewalają się swawolnie po oceanie. Co chwila nad powierzchnią wody wychyla się ich tłusty grzbiet, poczem znikają, aby o kilka kroków dalej w ten sam sposób ukazać się znowu. Wędrówka ta trwa z pół godziny, poczem jeszcze w dali połyskują od czasu do czasu ich grzbiety. Naturalnie, każdy ruch potwora śledzimy z wyteżoną ciekawością. Jeden z oficerów objaśnia mnie, że murzyni chętnie jedzą mięso delfinów, że jednak dla Europejczyków jest ono niesmaczne i czuć je tranem, który stanowi jedyny pożytek z połowu tych morskich zwierząt.

Gdy zmrok zapada, na pokładzie głucho i pusto. O zabawie niema mowy; kto jeszcze nie wyniósł się do kajuty, spieszy do niej, choć przeczuwa, że czeka go tam spiekota okropna. Trudno, ale może sen przyniesie jakąbądź ulgę, a przynajmniej pozwoli zabić kilka godzin ospale wlokącego się czasu.

15 kwietnia.

Dziś właśnie tydzień, jak jestem na morzu, a już zdaje mi się, że to wiek cały. Właściwie za tydzień powinniśmy już być w Rio, lecz przy opłakanym stanie naszej maszyny, nikt nie może stanowczego terminu oznaczyć.

Okolo południa dano znak do ruszenia. Wstępuje w nas pewna otucha, ale niestety wróżą, że lada chwila maszyna popsuć się może i będziemy znowu zmuszeni stanąć. Ta niepewność jest nieznośną. Zbie-

6*

ram resztki energii, aby wziąć się do książki, idzie mi to jednak z trudnością i litery leniwie przesuwają się przed oczyma.

Szczerściem, Dr Gad dotrzymuje słowa i zapoznaje mnie z owym fazenderem, p. Negreiros. Jestto człowiek jeszcze bardzo młody, liczy bowiem zaledwie lat 26, choć od ośmiu jest już żonaty. Posiada plantacye kawy w okolicy Rio Claro, w prowincyi St. Paulo. Rozmawia bardzo przyjemnie i chętnie udziela mi licznych objaśnień i szczegółów. Zasiadamy więc przy sterze, gdzie zazwyczaj najmniej osób i spędzamy ze dwie godziny, obiecując sobie przy sposobności powtórzyć interesującą gawędę. Pan Negreiros zaprasza mnie, abym go odwiedził w jego fazendzie, co z chęcią przyrzekam.

Dziś mamy pełnię.

Żałuję, że nie jestem malarzem, bo doprawdy widok oceanu, oświeconego światłem księżyca, to coś tak uroczego, że słowami dać wyobrażenia niepodobna. Niebo iskrzy się od gwiazd, a długi snop światła spada na ocean, srebrząc jego falistą powierzchnię. W tem oświetleniu przelewające się bałwany tryskają miliardem brylantów. Nieoświecona ciemna przestrzeń wysuwa coraz nowe fale, które pyszną się w blasku księżyca, lecz na chwilę tylko, bo wnet ustępują miejsca drugim i giną w ciemności. Zdaje się, że woda żyć poczyną, że księżyc rozbudził taniec bałwanów, które w jego świetle płasają ochoczo. Im dłużej wpatrywać się w połyskujące tonie, tem wspaniały ów kalejdoskop staje się ruchliwszym i zmienia coraz

szybciej swoje barwy. Można istotnie godzinami podziwiać uroczy obraz, a oko znajduje na nim zawsze nowe czary. Nawet sen ucieka z powiek, a z trudnością przychodzi oderwać się od widoku i zejść do dusznej, rozpalonej żarem dziennego słońca kajuty.

16 kwietnia.

Im więcej zbliżamy się do równika, tem atmosfera jest cięższą, a gorąco pali całe ciało, jak rozpalonem żelazem. Na rękach i twarzy czuje się jakby oliwę. Pot kroplisty ustawicznie spływa po czole. Na domiar złego, nasza kajuta jest od zachodu, więc przez znaczną część dnia oblewają ją promienie słoneczne istnym żarem. W nocy oka zmrużyć niepodobna. Znaczna część pasażerów śpi na pokładzie; jestto jednak, ze względu na nocne prądy chłodniejszego powietrza, bardzo niebezpiecznie.

Maszyna dotąd działa jakotako. Płyniemy z szybkością czterestu mil angielskich na godzinę, a komendant przyrzeka, że jutro, jeżeli nic złego nie zajdzie, przyspieszy biegu.

17 kwietnia.

Przepływamy obecnie tak zwaną strefę deszczową. Istotnie deszcze panują tu prawie ustawicznie. Nad wodą unosi się ciągła mgła; co chwila zaś strumienie gorącej wody spadają na nas. Ocean, który za Dakarem odzyskał swój granatowy kolor, obecnie

stał się prawie czarny, a woda robi wrażenie galarety. Duszność, przypominająca poniekąd zbliżającą się burzę u nas, nie pozwala prawie oddychać. Pomimo, że każdy przywdział o ile możności najlżejsze ubranie, gorąco panuje nie do zniesienia. W kajutach i salonach chwili pozostać nie można, robią bowiem wrażenie rzymskiej łaźni. W tych warunkach pisanie jest prawdziwą męczarnią.

18 kwietnia.

Nad ranem przepłynęliśmy równik. Pomimo, że słońce omal że nie ugotowało naszych mózgów, dowcipnisie łatwowiernym różne urządzały figle. Oto na przykład w jednego dobrodusznego pasażera wmówiono, że na równiku stoi z jednej strony żandarm francuski, z drugiej brazylijski, którzy salutują przepływający okręt. Dopytywał się on długo i szeroko, gdzie i w jaki sposób umieszczono onych mężów bezpieczeństwa. Naturalnie, objaśniano go w najkomiczniejszy sposób, wśród szczerej wesołości obecnych. Jakaś pani zaręczała, że ktoś, kto przepłynął przez równik, widział własnymi oczyma czarną linię, która stanowi jakby granicę między dwiema półkulami. Żalowała niezmiernie, że noc nie pozwoliła jej oglądać tego zjawiska. Krążą też rozmaite pogłoski o figlach i psotach, które wyrządzają majtkowie. Każdy, o ile możliwości, starał się zabezpieczyć od wszelkiej niespodzianki. Noc tymczasem sparaliżowała wszelkie projekty. Nawet zwykła przymusowa kąpiel nowicyuszów z trzeciej klasy tym razem nie miała miejsca.

Deszcz i tutaj nie ustaje, choć pada w większych odstępach i nie jest już tak ulewny. Mgła zalega zawsze jeszcze powierzchnię wody.

Powiadają, że można się do wszystkiego przyzwyczaić, widocznie i my przyzwyczailiśmy się do gorąca, przynajmniej nie dokucza już nam w tej chwili tak bardzo.

Wieczorem morze fosforyzuje. Zauważyłem to dzisiaj dopiero. Zdaje się czasami, że wierzchołki fal płoną bladym ogniem. Trwa to krótką chwilę, poczem zjawisko znika, pojawiając się w tysiącach innych punktów. Jest to jakby gra światła, które przerzucają sobie pluskające się bałwany.

Stojąc w nocy na pokładzie, uczuwam chłodne prądy coraz częściej. Łatwo się domysleć, że jest to chłód zupełnie względny, pewne chwilowe orzeźwienie, przypominające lekkie poruszenie wachlarza. Niebawem jednak strumienie ciepła ogarniają zewsząd i zalewają istnym żarem, w którym oddychać trudno. Wiele osób skutkiem tego dostało kataru i kaszlu. Są to naturalne następstwa gwałtownej, choć momentalnej tylko zmiany temperatury.

19 kwietnia.

Znajdujemy się obecnie naprzeciwko Pernambuko; od lądu wszakże dzieli nas jeszcze kilkasieć mil angielskich. Okręt nasz, jak i wszystkie statki, wypływające z Bordeaux 5-go każdego miesiąca, nie

zatrzymuje się ani w Pernambuko, ani w Bachii. Mi-
jemy oba te miasta w znacznej odległości.

Pierwszy raz w czasie całej podróży spostrze-
gamy dzisiaj okręt. Jest to zaledwie mały punkcik,
który zarysowyywa się na tie powierzchni wody i fir-
mamentu. Wszyscy, uzbrojeni w lunety, wybiegli na
pokład oglądać choć z oddali towarzysza morskiej
przeprawy. Zaledwie w godzinę poczynamy rozpo-
znawać pewne kształty. Widać już rozpięte żagle
i smugę ciemnego dymu, odległość wszakże jest tak
wielka, że statek nasz nie wywiesza nawet sygnałów.
Według wszelkiego prawdopodobieństwa, jak nam
zaręczają oficerowie, jest to okręt handlowy jednej
z kompanij angielskich. Przez długi czas jeszcze wi-
dzimy go, ale coraz słabiej, aż wreszcie, jakby zdmu-
chnięty powiewem wiatru, ginie zprzed naszych oczu.

Istnieje zwyczaj urządzania na pokładzie zabawy,
z której dochód idzie do kasy towarzystwa opieki
nad rozbitkami i ich rodzinami. Dzisiaj właśnie ko-
mendant zaprosił komitet zabawowy, do którego
wchodzą młodzi panowie i panie. Ma on zająć się
obmyśleniem programu.

Istnieją, jak fama niesie, różne projekty. Jedni
przemawiają za koncertem. Dreszcz mnie przejmuje
na samą myśl, że trzeba będzie zapewne wysłuchać
duetu dwóch pań, które i tak już codziennie pastwią
się nad naszymi uszami. Podobno jest także jakiś
amator skrzypek, lecz widocznie skromnie sądzi sam
o swoim talencie, wieczorami bowiem tylko, gdy mało
kto znajduje się na pokładzie, gra sobie przy sterze.

Ci, co go słyszeli, powiadają, że rzempoli niemilosiernie. Młodzież porusza niebo i ziemię, gardłując za tańcami. Są tacy, którzy uważają tombolę za najpraktyczniejszy sposób wylawiania pieniędzy z kieszeni pasażerów. Śledziennicy znowu twierdzą, że najwłaściwiej zostawić każdemu swobodę dania, co mu się podoba, bez wszelkiego rodzaju karoty. W samym komitecie panuje niezgoda, skutkiem której kilku członków i kilka „członkiń“ podało się do dymisji. Biedny komendant ma dużo kłopotu. Czy aby skórka opłaci za wyprawę? W każdym razie na okręcie panuje z tego powodu ruchliwe życie. Każdy ze skarbnicy swojej mądrości i doświadczenia niesie „komitetowym“ w dani różne rady i projekta. Wszystko się krząta, biega, szepcze, jakby istotnie wisiał nad nami jakiś niezwykle wypadek.

Nie brakuje i takich, którzy zagniewani, że ich nie powołano do rady, siedzą chmurni i ironiczni, w przeświadczeniu, że bez nich nic udać się nie może. *Tout comme chez nous!*

Ponieważ noc, jak mówi przysłowie, jest najlepszym doradcą, więc oczekujemy z niecierpliwością co nam jutrzejszy ranek przyniesie.

20 kwietnia.

Nie mamy ani koncertu, ani tomboli, ani płasów, ino zwykłą składkę. Śledziennicy zwyciężyli, a historia, a raczej powody tego zwycięstwa, są ciekawe i pouczające.

Na okręcie istnieją trzy stronnictwa: brazylijczyków, argentyńczyków i dzikich. Stronnictwo dzikich, złożone po większej części z francuzów, myśli tylko o zabiciu nudy. Mało się ono troszczy o to, z kim i jak bawić się można, byleby się bawić. Argentyńczyków tymczasem i brazylijczyków trawi wzajemna niechęć i zawiść. Czego jedni chcą, z pewnością temu oprą się drudzy; co tych bawi, tamtych nudzi. Chodzą koło siebie nadęci, patrząc z ukosa jedni na drugich.

— Czyś pan widział coś gminniejszego, jak ci brazylijczycy — szepcze mi do ucha jakiś argentyńczyk. — Na sto kroków czuć w nich handlarzy niewolników. Oni zatruwają każdą przyjemniejszą chwilę na okręcie. Dalibóg, jeździłbym chińskimi steamerami, gdybym tylko wiedział, że tam nie spotkam tych nieznośnych pół-murzynów.

— Nie! — zaręcza mi znowu brazylijczyk — z tymi argentyńczykami wytrzymać nie można. Nadeń to, nieznośne i głupie zazwyczaj. Nic dziwnego, przecież to parweniusze i dorobkiewiczze. Nawet krach niczego ich nie nauczył. Ręczę, że w kieszeni nie znajdzie pan ani jednej złotej monety, pełne za to nędznych papierków argentyńskich, które niedługo lepić będą ściany. A takie to dumne, jakby co najmniej byli Rotszyldami.

Słucham tego wszystkiego, mrużąc coś pod nosem w imię zasady, że P. Bóg po to dał dwoje uszów, aby drugim wychodziło, co pierwszym wchodzi.

W tem jednak położeniu rzeczy czyż mógł dojść

do skutku projekt jakiegokolwiek wspólnej zabawy? Panowie byliby się jeszcze może porozumieli, ale dwie rzeczypospolite babińskie nigdy! Wysyłano różnych parlamentarzy, aby zwaśnionych sprowadzić do jednego mianownika. Daremne usiłowania! Ogień i woda się pogodzą, ale panie brazylijskie z argentyńskimi nigdy! Więc wre walka cicha, skryta, lecz zaciepła i nieubłagana. Ponieważ w komitecie oba stronnictwa równe posiadały siły, każdy przeto projekt, w miarę jak wychodził od jednych, druzgotany był przez drugich. I oto dla czego zamiast jakiegokolwiek zabawy, mamy dzisiaj tylko składkę.

Nasz komendant umiał jednak wyzyskać położenie doskonale. Zbieranie składek powierzył najnadobniejszym przedstawicielkom dwóch walczących obozów, wyznaczwszy im wprzód ściśle rząd stolów, które miały obchodzić.

Jednocześnie, wśród nas bezstronnych, zyskał dla swej sprawy tajnych agentów, których zadaniem było przez cały dzień między zwaśnionych puszczać rozmaite pogłoski. Zaręczaliśmy przeto brazylijezykom, że argentyńczycy zgóry już ułożyli między sobą taką a taką złożyć kwotę. Wiadomość ta lotem błyskawicy wpadała do całego obozu, podniecając do skrytej licytacyi *in plus*. Te same tajemnice zdradaliśmy argentyńczykom, osiągając ten sam rezultat.

Zbliżyła się wreszcie stanowcza chwila.

Zaledwie rozniesiono zupeł, aliści z każdej strony sali jadalnej stanęła para nadobnych kwestarek, z tacami w ręku i twarzą, płonąca rumieńcem nadziei

zwycięstwa. Obie strony mierzą się płonącymi oczyma. Każdy papierek, każda sztuka złota zostaje w jednej chwili dostrzeżona przez przeciwniczki, które tak wdzięcznie i wymownie kołaczą do szczodroblowości swoich ofiar, iż niebawem tryumfującym wzrokiem oblewają swoje nieprzyjaciółki.

— Tam p. B. (brazylijczyk) dał 200 franków, woła ktoś z drugiego stołu.

— Otóż p. W., odpowiada nadobna argentyńska, złożył w tej chwili 300.

Im dalej posuwają się kwestarki, tem zapal ofiarności rośnie.

Ponieważ wszystko ma swój koniec, więc i nasze kwestarki wracają syte chwały i pewne zwycięstwa.

Obliczają tace. Okazuje się, że zebrano około 5.000 franków. Lecz, o zgrozo! po bliższem zbadaniu listy ofiarodawców przekonujemy się, że argentyńczycy akurat tyle dali, co brazylijczycy. Obie strony są wielce niezadowolone z tego rezultatu.

Taki był wynik walki stronnictw okrętowych. Bogu dzięki, tym przynajmniej razem zakończyła się ona korzyścią dla biednych i nieszczęśliwych.

Echa stronnicych zapasów późno jeszcze w noc rozbrzmiewały na pokładzie, jako przedmiot ożywionej rozmowy.

21 kwietnia.

Im więcej zbliżamy się do końca naszej podróży, tem bardziej ospale wlecze się czas. Jutro przyrzeka

nam komendant przybyć do Rio. Maszyna do tej pory nie zawiodła, więc jest nadzieja, że dowiezie nas szczęśliwie. Płyniemy już obecnie z normalną szybkością.

22 kwietnia.

Od 11-stej rano widzimy już ląd. Dotąd ukazuje się on jeszcze w postaci gołych skał, które na pierwszy rzut oka, i skutkiem znacznego oddalenia, podobne są do chmur, osiadłych na krańcu firmamentu. Wzrok, jakby stęskniony długą nieobecnością ziemi, wierzyć nie chce, że to ona przed nim się roztacza i powoli dopiero zaczyna rozpoznawać tę starą, pocziwą znajomą. Tak, rzeczywiście, to ona! Zębate wierzchołki skał wyzierają śmiało ku niebu, a ocean oplukuje ich podnóża, usiłując przerwać te kamienne zapory. Miejscami udało mu się wdrzeć między nie, ale ile go to kosztowało wysiłków? Dosyć spojrzeć na bałwany, które ustawicznie biją w skaliste ściany i pokryte pianą z jękiem zmęczenia odstepują miejsca drugim, aby zrozumieć, ile potęgi spożyła ta tytaniczna praca. Miejscami przerywa się skalisty łańcuch i ocean całą siłą wpada w otwartą przestrzeń. Zdawałoby się, iż rozigrane jego fale tym wyłomem zaleją na setki mil równiny; aliści z ziemi wyrasta im nowa zaporą, są to góry pokryte dziewiczemi lasami, które przytuliły się do skał, szukając pod ich osłoną bezpieczeństwa od grabierczych zapędów oceanu.

W miarę, jak się posuwamy dalej, giną skały, a góry występują na pierwszy plan.

Zbliżamy się do Capo Frio.

Jest to punkt najwyższy, długim językiem wysunięty w morze, na którego szczycie urządzono strażnicę wraz z latarnią morską. Okręt nasz wywiesza sygnały, zapytując o wolny wstęp do Rio. Po kilku chwilach ze strażnicy odpowiadają nam białą flagą w czerwone pasy. Znaczy to, że nas spostrzeżono, zrozumiano i telegrafem nasze zapytanie przesłano do stolicy. Strażnica na Capo Frio przypomina mimowoli latarnika Sienkiewicza, z tą różnicą, że, jak mnie objaśniono, latarnik tutejszy służbę swoją pełni tylko przez miesiąc, poczem zastępuje go inny. Po upływie miesiąca pierwszy wraca znowu na swoje stanowisko.

Od Capo Frio do stolicy jest jeszcze 100 mil angielskich. Tymczasem zegar okrętowy wskazywał godzinę 1-szą. O godz. 6-tej powinniśmy stanąć już w porcie, w przeciwnym razie otrzymamy pozwolenie wyjścia na ląd dopiero jutro. Należy więc robić około 18-tu mil na godzinę. Komendant każe płynąć pełną parą i nie traci nadziei, że przybędziemy w porę.

Płyniemy zaledwie kilometr od brzegu. Skały znikły zupełnie, a na górach widzimy w całym majestacie zwrotnikową roślinność. Rozłożyste palmy skłaniają ku nam, jakby na powitanie, swoje liściaste ramiona. Przerastają one inne drzewa, które przedstawiają się jakby jedna, ciemna, zielona, zbita masa.

Nad niemi wysoko wznosi się kilka leniwych czapli, obok okrętu zaś lotne mewy płasają w powietrzu.

Gdzieniedzie z pomiędzy drzew wiją się białe wstęgi dymu. To świeżo osiedli koloniści palą lasy, aby, oczyściwszy z drzew, ziemię, przygotować ją do uprawy. Klimat ma tu być bardzo niezdrowy i dlatego wielu z tych biedaków znajdzie śmierć, zanim zdążą zbierać owoce swojej ciężkiej pracy. Pozostali prowadzić będą żywot mozolny i mizerny. Wnosząc z odstępów, w jakich widzę smugi dymu, kilka, a czasem kilkadziesiąt mil, rozdzielać musi pojedynczych kolonistów.

Czas szybko bieży. Zajęci coraz to nowemi widokami, nie spostrzegliśmy nawet, kiedy zbliżyła się pora obiadowania. Idziemy tedy do stołu, ale z tem usposobieniem gorączkowem, które chwile, poświęcone jedzeniu każe uważać za stracone. Potrawy przynoszą nam za wolno, służba krząta się ospale, jednym słowem, siedzimy jak na rozżarzonych węglach.

— Już widać! — zawołał nagle jakiś głos z pokładu.

W jednej chwili sala jadalna została pusta. Jakby tknięci iskrą elektryczną, wstaliśmy od stołu i dalej na pokład.

— Gdzie widać? Co widać? — krzyżują się na wszystkie strony dławione niecierpliwością pytania.

— Tam! — odpowiada z flegmą głos bywalca i jednocześnie ręka wyciąga się w kierunku biegu okrętu.

Istotnie, dostrzegam wdali wyrastającą zza oceanu

skąłę, która wybiegając strzeliście ku niebu zdaje się jakby panować nad wodami. To *Pao d'assucar* (głowa cukrowa), stercząca u wejścia do zatoki Rio. Kształtami rzeczywiście przypomina głowę cukru. Tuż koło niej za pół godziny przepływać będziemy. Widać już nawet coraz wyraźniej ów wąski przesmyk, przez który wiedzie nasza droga. Około okrętu, bliżej lub dalej, przesuwały się różne statki i łodzie rybackie. Wszystko to wita „Brésil“ z pewnem uszanowaniem, i słusznie, wszak z drugiej przybywa półkuli, z kąd wciągu 15-stu dni przeniósł go na swoim grzbiecie potężny ocean.

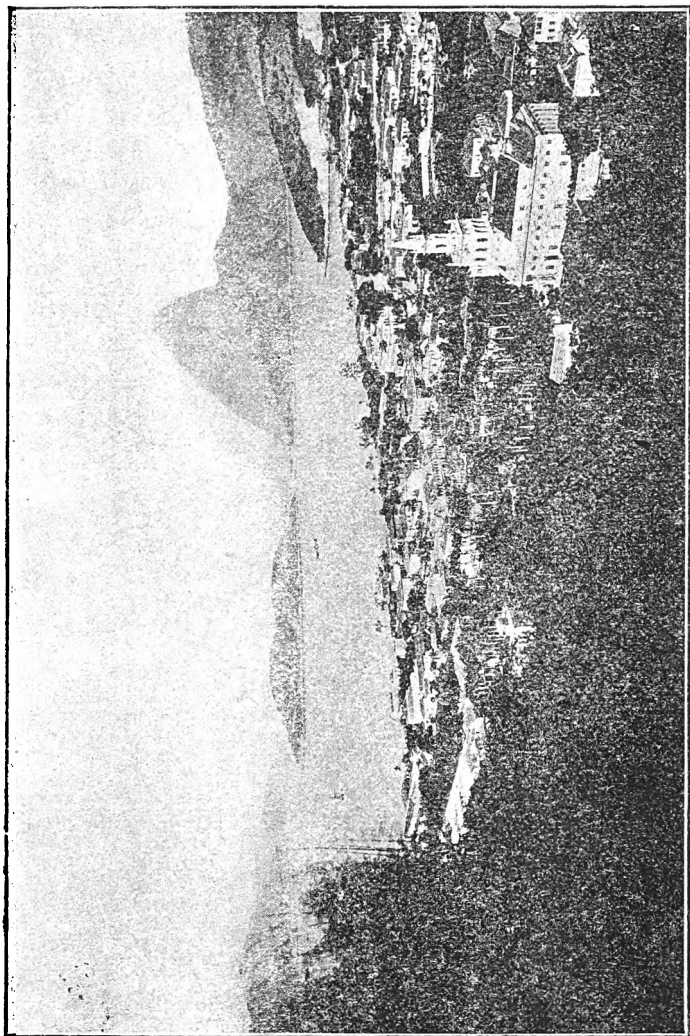
Zbaczamy na prawo w poczynającą się wyciągać szyję. Okręt zwolnił biegu, podwodne bowiem skały zmuszają go do ostrożności.

Nie widzimy jeszcze niczego, bo „głowa cukru“ zasłania nam jakby kotarą zatokę. Zpoza niej wychyla tylko swój szczyt dumny Corcovado, który w kształcie olbrzymiej kazalnicy panuje nad nieśmierzoną wód przestrzenią.

Ten sam ryk maszyny, który żegnał Lizbonę, wita obecnie niewidzialne jeszcze Rio. Wdarł się on do tajemniczego wnętrza i wraca do nas stłumiony, a może olśniony tem, co widział.

Teraz „Brésil“ bokiem swoim obciera się już niemal o „głowę cukru“. Nagle, jak gdyby niewidzialna ręka odrzucała zprzód oczu kotarę, odsłania się nam w całym majestacie zatoka Rio.

Wrażenie jest tak potężne i niespodziane, że mimowoli wyrywa się z piersi okrzyk zdumienia.



Rio Janeiro od strony zatoki.

Na olbrzymiej przestrzeni rozpościera się przed nami gładka, jak lustro, toń zatoki. Ze wszystkich stron otoczył ją owalem grzebień gór, oblanych w tej chwili czerwonym światłem zachodzącego słońca. Ten to właśnie owal zmylił pierwszych podróżników, którzy wzięli zatokę za wspaniałą rzekę i ztąd spostrzegłszy ją po raz pierwszy w dzień Nowego Roku, nadali jej, a następnie i miastu, miano *Rio Janeiro*, (rzeka styczniowa). Nie widziałem Bosforu, ale powiadają, że tylko on porównać się daje z czarującą panoramą Rio. Szmaragdowa zieloność drzew, pokrywających szczelnie góry, mieni się w blasku słonecznym, a tysiące palm z obu brzegów zatoki, poruszanych lekkim powiewem wiatru, wita wdzięcznie nowo przybyłych. Na wszystkie strony uwijają się żwawo statki, które wśród spoczywających na kotwicy olbrzymów, wyglądają jak jaskółki, kręcące się około drzemiących sępów. Na prawo wygląda ku nam bawczowo forteca *Santa Cruz*. Inne jej jednak zgola przeznaczenie, niż zajmować się niewinnymi okrętami, które wiozą podróżnych lub towar. Ona strzeże bezpieczeństwa stolicy Brazylii. Więc przepływamy około niej spokojnie.

Oko, upojone pierwszym wrażeniem widoku zatoki, zaczyna szukać miasta. Niestety, zasłaniają je opary wodne; gdzieniegdzie tylko widać wyzierającą zpośród nich wieżycę, lub dachy, na wyżynach wzniesionych, domów i gmachów. Domysleć się tylko można, że miasto przytuliło się do gór podnóżka i tam, na zębatej płaszczyźnie, znalazło gościnne przyjęcie.

Zmrok zapada powoli i osłania swoim ciemnym całunem uroczy krajobraz. W miarę tego, niby rozbaczki świętojańskie, poczynają w różnych punktach błyszczeć światełka. Widać je wszędzie, tuż po obu stronach zatoki i dalej na płaszczyźnie; płoną po wzgórzach, wreszcie migoczą hen wysoko, niemal u szczytu gór. Niekiedy widać je całemi setkami razem, jakby zebrane w jedną grupę dla nocnego rozhoworu; to znowu błyszczą pojedynczo, samotne, osierocone. To latarnie i światełka domów. Teraz można odgadnąć jak olbrzymią przestrzeń zajmuje miasto. Zamało mu było płaszczyzny, więc wybiegło na góry i tam oddycha świeższem powietrzem wśród zieleni.

Od strony placu Dom Pedra wywieszono czerwona latarnię. Musimy więc zarzucić kotwicę i jutro dopiero wolno nam wylądować. Nikogo jednak ta zwłoka nie gniewa, bo urok doznawanego wrażenia przykuwa go do pokładu. Wtula się tylko w odludny kącik, rad, aby mu nikt w tem napawaniu swego wzroku nie przeszkadzał.

Z miasta przynosi echo po falach gwar i turkot i jakby brzęczenie much, co na tle ciszy nocnej, która zaległa zatokę, stanowi kontrast wrącego życia i sennego spokoju. W stolicy, widać, jakaś uroczystość, bo setki rakiet wzbija się z różnych punktów w powietrze, zostawiając za sobą długą wstęgę iskier. Objaśniają mnie, że to ulubiona zabawa brazylijczyków, dla których ognie sztuczne są tem, czem dla włocho muzyka, dla hiszpana taniec, a dla Niemca piwo.

Wszystko to podnosi fantazję, rozbudza wrażliwość, upaja i zachwyca. Od czasu do czasu jednak przymykają się oczy i myśl, oderwana od czarujących obrazów, bieży nad szare fale drogiej rzeki i tęskna błąka się wśród swoich.

V.

Wylądowanie i pierwsze wrażenia. — Żółta febra. — Powitanie dzienników. — Artykuł „Journal do Comerço“. — Moje refleksye. — Inne dzienniki. — Uprzejmość pp. Alvarez Franklina i Syna, oraz senatora Gomenzoro.

aledwie brzask dzienny srebrzystem światłem oblał zatokę, a zpośród oparów wodnych poczęło wylaniać się fantastyczne Rio, gdy, jakby na dane hasło, z różnych stron pomknęły ku nam barki i małe statki parowe. Gwarno i rojno zrobiło się naokoło „Brésil“. Przerażliwy świst syren, nawoływania wiosłarzy, mieszały się z wrzawą na pokładzie. Kto żyw, opuszczał kajuty, niosąc w ręku małe tłumoczeki. Skutkiem żółtej febry, tylko pasażerowie do Rio wysiadali na ląd, reszta musiała pozostać na okręcie, chcąc uniknąć arcynieprzyjemnej kwarantanny w Montevideo i Buenos Ayres. Nie przeszkadzało to jednak, że i oni jeszcze przed świtem zerwali się ze snu. Wylądowywanie tyle ma w sobie uroku, a nadto wy-

padalo przeciez po raz ostatni ucisnac dloni roznych przyjaciol i znajomych 15-sto dniowej podrózy, z którymi prawdopodobnie nie spotka się już więcej w życiu. Więc wszędzie ruch, głośnie nawoływania, śmiechy, ostatnie rozporządzenia wydawane służbie, serdeczne „do widzenia!” lub „szczęśliwej podróży!” — rzucane na różne strony; jednym słowem, nerwowe i gorączkowe życie, któremu z pewną ciekawością przypatrywały się tylko pływające w powietrzu mewy.

O godzinie 7-mej przybyła wreszcie policya wodna i komisya sanitarna. Za chwilę z dziesiątek piersi wydarło się radosne „Na ląd!”

Korzystając z uprzejmości Dra Gada, po którego zamieszkały w Rio brat przybył parowcem, nie potrzebowaliśmy brać niewygodnej i wątlej barki. Pilno nam było uczuć wreszcie pod nogami stały grunt, a nadto każda chwila stracona wobec oczekujących obowiązków, które tu dopiero rozpocząć się miały, wydała się nam niepowetowaną. Z gorączkowym więc pośpiechem, przecisnąwszy się z trudnością wśród tłumu oczekujących, zbiegliśmy po schodach na statek, gdzie już oczekiwali urzędnicy komory, aby zrewidować nasze drobne manatki. Resztę rzeczy mieliśmy odebrać już w mieście na komorze głównej.

Jeszcze jedno głośnie *adieu!* któremu odpowiedziało powiewanie chustek z okrętu i nasz mały statek z szybkością strzały począł próć fale zatoki. „Brésil” ginał powoli z naszych oczu, a natomiast w coraz wyraźniejszych konturach zarysował się plac Dom

Pedro, gdzie w pół godziny później wysiedliśmy na ląd.

A więc przybyliśmy na miejsce!

Ustało nieznosne bujanie, a nogi, jakby jeszcze nie wierząc, iż stapać mogą po twardym bruku miasta, chwiały się pod nami. Po tylu dniach spokoju, ruch i wrzawa dużego miasta wydawały się nam czemś dziwnem, odurzającym, ale jednocześnie uczuwać się dawała nieprzewyciężona potrzeba jakiego przytulku.

Niestety, pogłoski o panującej w Rio żółtej febrze sprawdziły się. W tym roku była ona zjadliwszą i sezon epidemiczny przeciągnął się niezwykle długo. Ponieważ jest ona szczególnie niegościnną dla cudzoziemców, przeto nie pozostało nam, jak usłuchać rady doświadczonych i osiaść poza miastem, w Tijuca, gdzie pobyt bywa znacznie bezpieczniejszy. Nie tak to jednak łatwo było wykonać. Wszystko, co tylko posiada jakietakie środki, uciekło z miasta na przedmieścia. Wszystkie hotele, wille, były skutkiem tego przepelnione. Daremnie kołataliśmy od bramy do bramy; nigdzie kawałka miejsca. Wreszcie po kilku godzinach, gdy już zmrok na dobre zapadł, udało się nam przebojem zdobyć jeden mały pokój w hotelu Moreau, z kądem codziennie rano postanowiłem udawać się do miasta i wracać wieczorem.

Upał, mianowicie w mieście, panuje ogromny. Powietrze duszne, przesiąknięte przytem wyziewami, wydobywającymi się z kanałów, co przy panującym na ulicach nieporządku czyni istotnie pobyt niezno-

śnym. Okolice bliższe portu są jeszcze okropniejsze. Poprostu przejść tamtędy niepodobna. Wspominam o tem, aby dać pojęcie, w jakim położeniu znajdują się emigranci w Rio.

Znużeni tedy i zbici podróżą i trudami dnia udaliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz, z samego rana, mieliśmy odrazu przedsmak usposobienia dla naszej misyi. Oto, bawiący tutaj inżynier, polak, p. Rymkiewicz (kuzyn nieboszczki Sienkiewiczowej i towarzysz Henryka z Barcelony), przyniósł nam dziennik tutejszy „Journal do Comerço“, który nas powitał w sposób następujący.

Artykuł ten podaję w dosłownem tłumaczeniu, ponieważ daje on najwymowniejsze wyobrażenie, jakie tutaj muszą być stosunki wobec sprawy emigracyi, skoro w ten sposób witano ludzi, przybywających dla podania ręki nieszczęśliwym.

Artykuł nosi tytuł: „Ruscy w Brazylii.“

„Czytamy w „Nordzie“ brukselskim z dnia 28-go marca. Z Warszawy piszą nam, co następuje: Wkrótce urzeczywistni się zamiar zwrócenia z Brazylii kilku setek wieśniaków, aby ci nieszczęśni, opowiadając rodakom swoim o smutnym losie, jaki ich spotkał w Brazylii, położyli tamę nieopatrznemu i lekkomyślnemu prądowi emigracyi z Królestwa Polskiego. Za kilka dni odpływają z Bremy ks. Z. Chelmiecki, współpracownik warszawskiego „Słowa“ i pan Mikołaj Glinka, obywatel ziemski, aby przez kilka tygodni studyować położenie polskich emigrantów i zwrócić do kraju 700 lub 800 wybranych między tymi, którzyby

sobie tego życzyli. Koła tutejsze pokładają wielką nadzieję w misyi p. Glinki i ks. Chełmickiego.

„Nord“, dziennik półurzędowy — pisze dalej od siebie najpoczytniejszy i najbardziej wpływowy organ brazylijski — nie ogłosiłby lekkomyślnie tak doniosłej dla nas wiadomości. Nie chcemy przesądzać szczerości i czystości zamiarów tych dwóch filantropów, którzy przybywają do Brazylii, muszą być oni ożywieni wielkim zapalem, boć chyba u siebie znaleźliby dosyć sposobności do ulżenia niejednej nędzy i potrzebie.

„Misya wszakże, którą podjęli pp. Chełmicki i Glinka, nie jest czysto reporterską, tak jak p. Dygasieńskiego, który dla zainteresowania swych czytelników musiał mieć bujną imaginację i fantazyę. Nowi emisaryusze mają posłannictwo, które bardzo zbliżka obchodzi kredyt, dobrobyt i porządek publiczny w Brazylii, na co zwracamy szczególną uwagę rządu. Ci wysłańcy, o których przybyciu się dowiemy, mają posłannictwo szkodliwe dla Brazylii, a zatem tem samem prawem, jakim władze ruskie ścigają agentów emigracyjnych, zdaje się nam, że i nasz rząd powinien poprosić pp. Chełmickiego i Glinkę o opuszczenie naszego terytorium, skoro tylko tu przybędą. To samo powinno się uczynić z każdym cudzoziemcem, któryby wywraçał u nas porządek!“

Przyznaję się, że dawno nie ucieszyło mnie coś równie, jak powyższy artykuł.

Najpierw, rzucił on jasne światło na warunki, wśród których spełniać będziemy nasze posłannictwo.

Powtórę, pozwalał mi on stworzyć sobie dosadne wyobrażenie o pojęciach liberalnych republikańów brazylijskich; następnie, co ważniejsze, nastęrczał doskonałego dowodu dla tych w naszym kraju, coby mieli jakiegolwiek iluzye co do stosunków emigracyjnych w Brazylii, skoro sama wiadomość o przybyciu dwóch ludzi z pomocą dla emigrantów, z którymi dotąd jeszcze z Rio nikt słowa nie mówił o ich rzeczywistych zamiarach i posłannictwie, posłużyła za dostateczny powód do zamiaru wyrzucenia ich z kraju, zanim zdołali czemkolwiek usprawiedliwić podejrzenie o szkodliwej swej działalności.

Domyśleć się łatwo, że m sobie tej satysfakcyi nie odmówił, aby szanownemu koledze po piórze, p. Rodriguez, moich refleksyj nie zakomunikować. Można sobie wyobrazić minę pana redaktora, któremu na zapytanie, jak długo zabawić zamierzamy, odpowiedziałem, że pierwotnie mieliśmy zamiar pozostać kilka tygodni, obecnie jednak oczekujemy, kiedy, zgodnie z radą jego organu, będziemy wsadzeni na pierwszy lepszy okręt, odjeżdżający do Europy.

Dodałem, że nie mieliśmy wprawdzie tej zarozumiałości, żeby skromnem naszym posłannictwem sparaliżować emigracyę; chcieliśmy jedynie opamiętać obłąkanych przez agentów — wszakże artykuły podobne, jak „Journal do Comerço“, pozwolą nam zapewne nasze zamiary daleko dalej posunąć.

Stała się przytem rzecz zabawna. Oto, jak wspomniałem, tym samym okrętem nadeszła korespondencya p. Santa Anna Nerry, zredagowana przy-

zwoicie, którą pan redaktor dopiero przy mnie otworzył. Na drugi tedy dzień „Journ. do Comerço“ pomieścił rzeczoną korespondencję, a jednocześnie i mój list zaprzeczający, jakobyśmy mieli misję urzędową i wyluszczający rzeczywisty cel naszego przybycia.

Inny dziennik, również wpływowy, „Do Bresil“, zgromił wprawdzie swego kolegę za pohopność do wydalenia nas, niemniej jednak w sposób zjadliwy i sarkastyczny omówił filantropijno-humanitarną stronę naszego posłannictwa. „Gazeta do Noticias“ i „Paiz“ poprzestały na suchem zaznaczeniu naszego przybycia.

Naturalnie, w Rio mówiono tylko o tem. Pokazywano nas palcami na ulicy. Niektórzy oburzali się na nieprzyzwoitość dzienników, ale sądzę, że w gruncie rzeczy byli z tego zadowoleni; obrażało to bowiem ich próżność, żeśmy śmieli przybyć dla poratowania nieszczęśliwych u nich.

Pomimo tej drastycznej niegościnnosci pewnej części prasy stołecznej na samym zaraz wstępie pobytu naszego w Rio, nie mogę nie wypowiedzieć szczerego uznania i wdzięczności dla tamtejszego konsula ruskiego, p. Alvares Franklina i jego syna. Obaj ci panowie wyprzedzali się w uprzejmości i usłużności dla nas. A czynili to z taką galanterią, że doprawdy niekiedy byliśmy zażenowani. Również wielce uprzejmy był dla nas senator Gomenzoro, posiadający w Rio wielkie znaczenie, który chętnie ofiarował nam swoje wpływy i usługi.

VI.

Emigrant w Rio. — Co go tu przypędza? — Klimat. — Oplakana wędrówka. — Ojciec i dziecko. — Zarobki. — Cena żywności i utrzymania. — Niechybna zagłada. — Energia rządu brazylijskiego. — W kościele.

eżeli, idąc ulicą miasta, w okolicy nadmorskiej, lub cuchnących zaułkach, spotkasz istotę podobną do człowieka, z piętnem choroby na twarzy, z zapadłemi policzkami, przymglonemi oczyma, przygnębioną, z trudnością wlokącą za sobą nogi, w odzieniu podartem i z wytartą czapką na głowie, nie pytaj: kto jest? z kąd pochodzi? Możesz być pewien, że to polski emigrant.

Taką wskazówkę dają każdemu, kogo zapędzą losy do Rio, a współczucie każe szukać nieszczęsnych ofiar niedoli.

W chwili mego pobytu znajdowało się w Rio około 1700 naszych wychodźców.

Większa ich część, to uciekinierzy z odległych kolonij, przygnani tu przez widmo śmierci głodowej,

która ich czeka w dziewiczych lasach, lub niedostatku i biedy w plantacyach. Zdawało się każdemu z nich, że tu każdy przybywający statek przywiezie mu choć trochę powietrza z opuszczonej lekkomyślnie ziemi,



Typ emigranta.

a wraz z niem i nadziei łatwiejszego powrotu. Nie znałem wówczas jeszcze osobiście, a raczej przeczuwałem tylko z opowiadań tych biedaków, losy kolonistów po różnych prowincjach, ale zdawało mi się, iż jakieby one nie były, przybycie ich do Rio było czynem wielkiej rozpacz.

Najpierw stanowczo twierdzę, że klimat w Rio jest dla Europejczyka, a szczególnie mieszkańca wysuniętych na północ krajów, poprostu zabójczy. Nie tylko bowiem żółta febra, zabierająca z pomiędzy nich najliczniejsze ofiary, stanowi już dostateczną grozę, ale i bez niej ta atmosfera duszna, cuchnąca, to ciepło wpijające się do szpiku kości, stanowi ustawiczną niewypowiedzianą męczarnię. To też z 500 emigrantów, których w sześciu pierwszych dniach pobytu w Rio widziałem, nie spotkałem ani jednego, powtarzam ani jednego, któryby przynajmniej jednokrotnie dłuższej nie uległ chorobie. Wielu natomiast peryodycznie co kilka dni zapadało. Bóle głowy, biegunka, niemoc, rany, wyrzuty na całym ciele, oto zwykłe i najczęstsze dolegliwości.

Nie mówię o dzieciach, bo te z góry skazane są na śmierć.

Nie! nie radzę nikomu spojrzeć w te wynędzniałe twarzyczki, pomarszczone, wyżółkłe, na których anioł śmierci wyrył już swoje znamię. Nie spotkałem rodziny, któraby nie opłakiwała śmierci jednego, kilku, lub wszystkich dzieci.

Lecz na tem niedosyć. Bardzo wielu przybywa do stolicy już z wyczerpanemi do szczytu siłami. Spotkałem kilkunastu, którzy z Rio Grande do Sul, a więc przestrzeń dłuższą, niż z Neapolu do Warszawy, przebyli piechotą w przeciągu trzech miesięcy, o zebranych po większej części chlebie. Szli oni, trzymając się po większej części brzegów morskich. Przedzierali się przez dziewicze lasy, wdrapywali na góry. Łatwo

wyobrazić sobie, jak oni wyglądają i o ile zdolni są do mozolnej pracy, jakiej tu potrzeba dla zarobienia choćby na najędźniejsze życie.

Jaki ich w podróży spotykał los, niech przekona następujące opowiadanie, które tu powtórzę niemal dosłownie:

— Szliśmy — opowiadał Mateusz, włościanin z pod Rypina — dniem i nocą, póki sił starczyło. Po całych tygodniach nie mieliśmy w ustach cieplej strawy. Po lasach rwaliśmy owoce, nie wiedząc, czy nie są trucizną. Co kilka tygodni natrafialiśmy na kolonię. Nie prosiliśmy, bo nas nie rozumiano, ale z głodu płakaliśmy tak straszliwie, że ludziska litowali się i dawali, co mogli. W Porto-Alegre pochowałem żonę i synka czteroletniego. Prowadziłem córkę, Marysię, sześciolletnią. Biedactwo zemdlało mi i iść nie mogło. Niosłem ją i byłbym niósł na koniec świata, ale było takie biedne i z głodu chude że m lada chwila patrzył, kiedy zamrze. Wtedy jakiś Brazylianie, któremu Pan Bóg nie dał dzieci, naparł się, bym mu moje odstąpił. Myślałem, że mi życie uleci z żalu, ale miało umrzeć, więc oddałem. Chciał mi dać pieniędzy, alem nie wziął, boby to znaczyło, że m krew moją sprzedał. Wołałem iść dalej i żebrać, lub umrzeć z głodu.

Opowiadanie to trwało długo, bo je przerywał płacz tak straszny, że go nie zapomnę w życiu. Takich przykładów, w których — niech mi Bóg będzie świadkiem — niema słowa przesady, mógłbym przytoczyć bez liku.

Ci, dla których los był mniej srogi, są widokiem

doli swoich towarzyszków i ich opowiadaniem tak przynębiani i zrozpaczeni, że słusznie co do zasobu sił moralnych i fizycznych stawiam ich na równi. Wszyscy są oszołomieni i jakby pijani nieszczęściem.

A teraz, choćby w krótkości, radbym przedstawić warunki pracy i życia w Rio.

Otóż najpierw z rzemiosł jedynie mularstwo, ciesielstwo i stolarstwo najłatwiej nastreczają zarobek. Zatrudnieni tutaj otrzymują 3, 4, czasami nawet 5 milrejsów dziennie (milrejs, według obecnego kursu, przedstawia około 75 kop.). Tłómaczy się to tem, że Rio ostatnimi laty ogromnie wzrasta w ludność i buduje się. Następnie idą kowale i ślusarze. Tych wszakże zarobek jest gorszy i trudniejszy. Krawcy i szewcy nie znajdują wcale zajęcia. Tłómaczyli mi to tem, że tutaj jakoby inny zupełnie sposób roboty, a nadto głównie te rzemiosła wykonują Francuzi i Niemcy, oraz sposobem fabrycznym liczni przedsiębiorcy i spekulanci. Ci więc ostatni, jak również wszyscy inni emigranci, mają jeden jedyny sposób zarobkowania, jako wyrobnicy przy budowlach do noszenia kamieni, wapna i piasku. Zarobek ich rozpoczyna się od 1½ milrejsa, a dochodzi maximum do 2½. Dla nich przedsiębiorcy wybudowali baraki, gdzie za opłatą 200 rej-sów od osoby (15 kop.) znajdują nocleg.

Zarobki powyższe, na pierwszy rzut oka, wydać się mogą znośnemi. Inaczej jednak wyglądają one wobec artykułów żywności i wogóle kosztów utrzymania. Wymienię tutaj ceny niektórych najgłówniejszych artykułów; i tak: 1 kilo mięsa kosztuje 500 rej-sów,

1 kilo fasoli 300 rejsów, 1 litr manjoki 200 rejsów, bułka chleba z kukurydzy, arcyniepożywnego, 100 rej. O kartoflach niema co mówić, bo te, jako artykuł sprowadzany z Europy, są rzeczą zbytku. Jednem słowem, według cen tutejszych, najkonieczniejsze i najskromniejsze wyżywienie jednej osoby kosztuje 1½ milrejsa. Dodać należy do tego 200 rejsów na nocleg.

Powie mi kto, że pojedynczy człowiek miałby tym sposobem egzystencję jako tako zapewnioną. Bynajmniej! Najpierw pracują często ludzie zupełnie nie przywykli do równie ciężkiej i wyczerpującej roboty. Ci mogą zaledwie trzy lub cztery dni w tygodniu znieść ten straszny trud, z reszty bierze swój haracz choroba. Silniejsi, przywykli do znoju, wytrzymują dłużej, ale żaden pomimoto nie oparł się kilkotygodniowej, a nawet kilkomiesięcznej, jednej, lub kilku z wyżej wymienionych chorób. Nadto panuje między emigrantami uprzedzenie, że każdy w szpitalu tutejszym umrzeć musi. Chorują więc oni w barakach lub po domach. Taka choroba nietylko zjada siły i wszystkie możliwe oszczędności, ale wpędza z konieczności w długi.

To, co powiedziałem, dotyczy wszakże tylko pojedynków, co zaś powiedzieć o żonatych i obarczonych rodziną? Tu niedostatek panuje straszny, a za tem idzie i powolny upadek sił, a więc i niemożność zarobkowania. Życie ich nazwać też muszę powolnem konaniem. Jestto konieczność nieubłagana!

Doprawdy, w głowę zachodzę, jak rząd brazylijski mógł dopuścić, aby ci ludzie przybyli do Rio, gdzie wszystko sprzysięgło się na ich zagładę! To też

przed kilkoma tygodniami, widząc tłumy obdartych polskich nędzarzy, włóczące się po ulicach miasta, opinia publiczna zaczęła się oburzać na obojętność rządu, temwięcej, że skutkiem panującej na „wyspie kwiatów,” gdzie się znajduje dom emigrantów, żółtej febry, nie można ich było tam pomieścić i byli zmuszeni spać pod gołym niebem, na placach. Rząd zdobył się na krok stanowczy, ale jaki? Oto wojskiem i policją otoczono biedaków, przymusowo wpędzono na okręta i rozesłano po różnych koloniach. Nie obyło się przytem bez płazów i takich nadużyć, jak rozłączenie żon od mężów, rozdzielenie rodzin itp.

Gorąco leżało mi na sercu, aby tym biedakom pospieszyć z religijną pociechą. Po kilku dniach udało mi się uzyskać pozwolenie i znaleźć mały kościółek „Du Partu” przy ulicy San José, gdzie odprawiłem dla nich Mszę świętą i słuchałem spowiedzi.

Powołanie moje, z natury swojej, dało mi wiele oglądać scen rozdzierających, tej jednak, kiedym po raz pierwszy znalazł się w kościele, otoczony emigrantami, nie zapomnę nigdy. Słyszałem nie płacz, ale jakiś jęk straszliwy. Zdawało mi się, że nie tylko z oczu ludzkich, lecz z zimnych murów, płynęły krwawe łzy żalu i bólu. Uczułem się tak przygnębiony i bezsilny, że mi nawet słowa pociechy zamarły na ustach.

VII.

Ciepło w Rio. — Względy higieniczne. — Willa Izabel. — Barak. — Opowieść Morawczyka. — Dekret policyi. — Dwaj inżynierowie. — Zabawa tutejszych Milusińskich. — Ostatnia posługa. — Ponte do Caju. — Nieopisana nędza. — Sam Pajo. — Baraki. — Warszawiacy. — Moja nieudolność.

eżeli Sienkiewicz o słońcu hiszpańskiem powiedział, że kąsa, o cieple tutejszem powiedziećby należało, że ssie. Tak, wistocie czułem, że ono wpija się w ciało, nerwy, mózg, kości i powoli wysysa energię, siłę i życie. Niema sposobu go uniknąć; dokucza zarówno w pokoju, jak na dworze, w pełnem słońcu i w cieniu. Jak olów cięży na głowie, ściska niby kleszczami skronie, a skórę całą pokrywa jakąś tłustością.

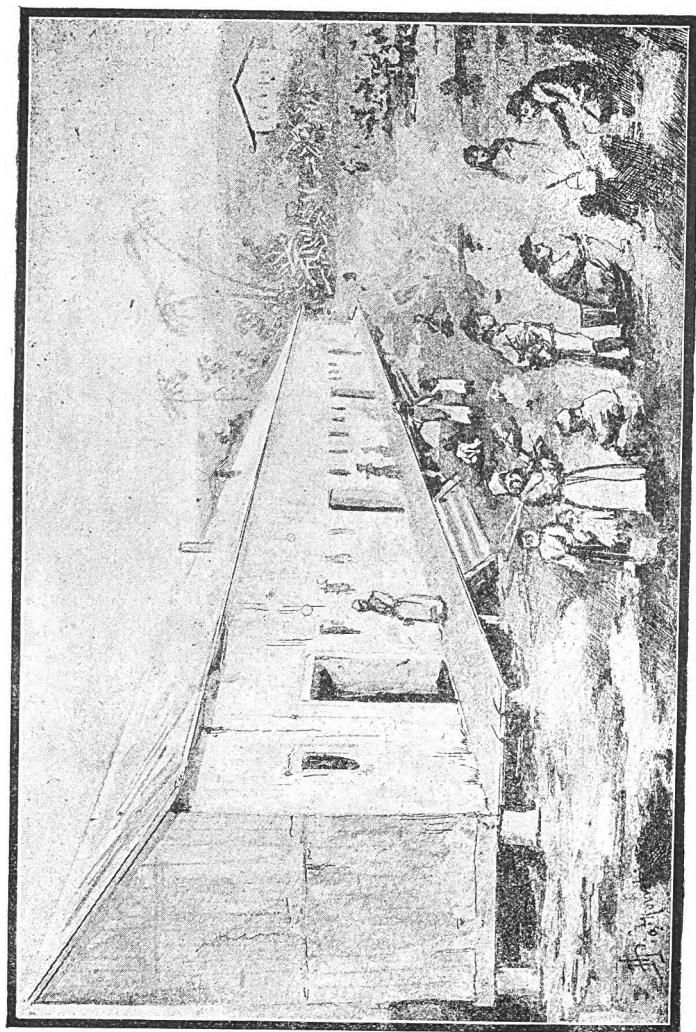
Te właściwości ciepła w Rio odczułem szczególnie, odbywając w różnych zaułkach przedmieść wędrówkę po barakach, w których emigranci znaleźli pomieszczenie, a wspominam o tem dlatego, ponieważ tworząc sobie wyobrażenie o higienicznych warunkach

owych *sui generis* przytułków, należy względy klimatyczne mieć na uwadze. To, co w naszych warunkach byłoby jeszcze znośne, tutaj jest poprostu zabójcze.

Jak wspomniałem poprzednio, główne zajęcie znalazła większość emigrantów, jako robotnicy do rozbijania kamieni i noszenia ich przy budowlach, które w tej chwili wyrastają w Rio z ziemi, jak grzyby po deszczu. Różne kompanie budowlane werbują tułających się po mieście emigrantów i po cenach już wymienionych dają im zatrudnienie i zarazem za 200 rejsów od osoby dziennie pomieszkanie, jeżeli tego rodzaju legowisko na nazwę mieszkania zasługuje.

Rano udałem się tedy do willi „Izabel“, położonej o kilka kilometrów za miastem. Wysiadłszy z tramwaju, po źle brukowanej ulicy dotarłem do miejsca. Ponieważ padał rześisty deszcz, więc roboty były zawieszono, a wszystkich emigrantów zastałem w baraku.

Tameczny barak jestto budynek, zбитy naprędce z desek, wąski i długi, wzniesiony na miejscu wilgotnem, tak, że po dużych kałużach błota zaledwie dostać się doń można. Wprawdzie dlatego, aby biedni ludziska literalnie nie leżeli w wodzie, wzniesiono go o łokieć nad ziemią, ale dosyć wejść do wnętrza, aby z właściwego zaduchu stęchlizny przekonać się o fatalnym wpływie wilgoci. Barak mieści w sobie 120 ludzi, dla których roztawione są dwoma rzędami, jedno przy drugich, łóżka żelazne, a na nich coś w kształcie sienników, właściwie zaś jestto kłęb zbitej trawy morskiej, osłoniętej jakimś podziurawionym lachmanem.



Barak „Izabel“ w Rio.

Na pytanie moje, czy kiedykolwiek sienniki się zmieniają, odpowiedziano mi:

— Tak, ale tylko wtedy, gdy którego odwiozą do szpitala, lub gdy zamrze; wtedy, o ile siennik jego mniej podarty, coprędzej podsuwamy nasz gorszy, a zabieramy tamten.

Zmiana ta nie bywa rzadkością, albowiem codziennie prawie odwożą kogoś do szpitala, z kąd zazwyczaj już nie wraca.

Kobiety, mężczyźni, dzieci, chłopcy i dziewczęta, wszystko śpi razem. Przestrzeń między łózkami tak wąska i korytarz poprzeczny tak szczupły, że z trudnością przecisnąć się można. Tutaj dowiedziałem się, że oprócz 200 rejsów za pomieszczenie w tej cuchnącej i przesiąkniętej wilgocią norze, każdy obowiązany jest płacić 1600 rejsów miesięcznie na stróża. Za dni świąteczne, o ile kto nie pracuje, lub inne, w których robota jest zawieszona, jak w tym dniu skutkiem deszczu, nie otrzymują robotnicy żadnej zapłaty. Kompania jest tak skrupulatną co do wypłat, że potraça nawet 400 rejsów miesięcznie za czas potrzebny na obrachunek. Kuchni niema, zastępują ją dwie cegielki, ustawione przez każdą rodzinę na dworze, gdzie w garnku gotuje się czarna fasola z tłuszczem lub z kawałkiem mięsa, o ile zarobek na to pozwala.

Nie będę opisywał rozdzierającej sceny powitania. Każdy ze łzami się cisnął, każdy swą niedolę wśród łkania opowiadał. Spotkałem tu sierotę, 12-letnią dziewczynkę, którą oboje rodzice odumarli. Żywi ją cała kolonia.

Z pomiędzy wszystkich zwróciła moją uwagę wyniosła postać, uosobienie siły fizycznej. Był to jedyny nie-polak, morawczyk, Franciszek Niederle, zpod Brna. Wszcząłem z nim rozmowę po niemiecku, a poznawszy po pierwszych słowach, że mówi trzeźwo i zwięźle, prosiłem, by mi szczegółowo opowiedział swoje losy w Brazylii. Nie była to prosta ciekawość, ale, ponieważ chciałem się przekonać, czy nasi w opowieściach swej niedoli nie przesadzają, a nadto skoro miałem przed sobą typ silnego i sprytnego kolonisty, więc jego wyznania przedstawiały dla mnie szczególny interes.

— Przybyłem — opowiadał mi — do Brazylii wraz z żoną i czworgiem dzieci, z zamiarem ciężkiej wprawdzie, ale zyskowniejszej, niż w moim kraju, pracy. Udałem się do prowincyi Minas Geraes, gdzie u „fazendera,” br. Geraldo, znalazłem pomieszczenie. Widocznie podobałem się temu panu, bo zaproponował mi, abym się udał do Rio dla sprowadzenia ośmnastu rodzin morawskich, obiecując za to zapłatę 5 milrejsów dziennie. Był to pierwszy mój zawód. Kiedy bowiem powróciłem z Rio, wykonawszy polecenie, pan baron zapłacił mi tylko po 2 milrejsy, tak, iż z własnej kieszeni dołożyć musiałem do kosztów utrzymania w stolicy. Dano mi wreszcie plantacyę do obrobienia, lecz zamiast 6000 drzewek kawowych, które są zwykłą miarą na jedną rodzinę, otrzymałem 11.000. Nic to, rzekłem sobie, będę miał więcej do pracy, ale za to i więcej zarobię. Żona, ja i dwoje dzieci wzięliśmy się do roboty strasznej. Pracowaliśmy

za sześcioro. Czekałem zbioru. Cóż się okazało? Po 3½ miesiącach takiej nadludzkiej roboty, po potraceniu życia, wypłacono mi 36 milrejsów. Nadto dozorca zaczął mi robić różne przykrości. Nie było rady, opuściłem kolonię i przybyłem tutaj.

— Patrz, ojcie — ciągnął — mieszkam w tem legowisku i zarabiam 3 milrejsy dziennie. Wszystkie zasoby wyczerpały się. Czy podobna mi utrzymać się za to z rodziną? Zamierzałem i ztąd odejść i próbować szczęścia w okolicach Bachii.

Na przedstawienie moje, że tam klimat jeszcze gorszy, a warunki nieznośniejsze:

— Ano, stara — rzekł do zanoszącej się od płaczu żony — więc trzeba nam tu umrzeć!

To powiedziawszy, ujął obiema rękoma za głowę najmniejsze dziecko i dwa strumienie łez stoczyły się po jego twarzy...

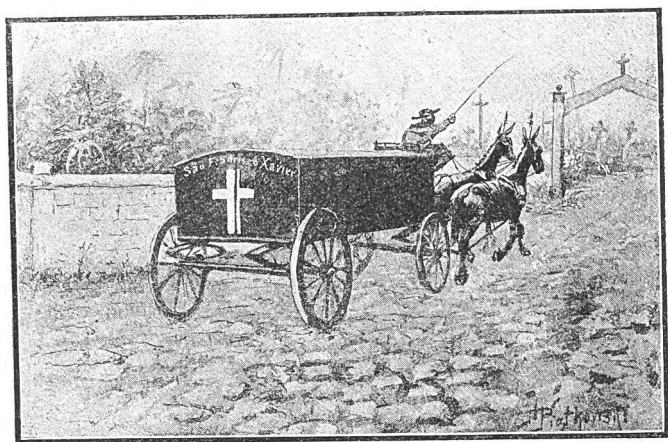
Wracając do baraku, najlepiej jego opłakany stan stwierdzi ten fakt, że przed kilkoma dniami nawet policja miejscowa uznała go za nieodpowiedni warunkom higienicznym i poleciła niektóre zmiany. Kompania jednak założyła protest i prawdopodobnie barak pozostanie nietknięty.

Wspominali mi ludzie o dwóch inżynierach polskich. Jeden, p. R., ma być człowiekiem ludzkim i wyrozumiałym, natomiast drugi, jakiś szlżak, znajduje przyjemność nietylko w znęcaniu się nad ludźmi, ale i w natrząsaniu się z ich niedoli. Szczególną czuje on odrazę do praktyk religijnych. Obrazy świętych, szkaplerze, medaliki, wywołują jego szyderstwa. Nie podaje

nazwiska tego pana, w nadziei, że może słowa te dojdą go i że wówczas, wniknąwszy w sumienie, zmieni swoje niegodne postępowanie.

Z willi „Izabel“ podążyłem w drugą stronę przedmieścia, do Ponte do Caju, odległego o pięć kwadransów drogi tramwajem.

Na jednej ulicy przedstawił mi się widok, który uważam za właściwe tutaj zanotować. Do małego



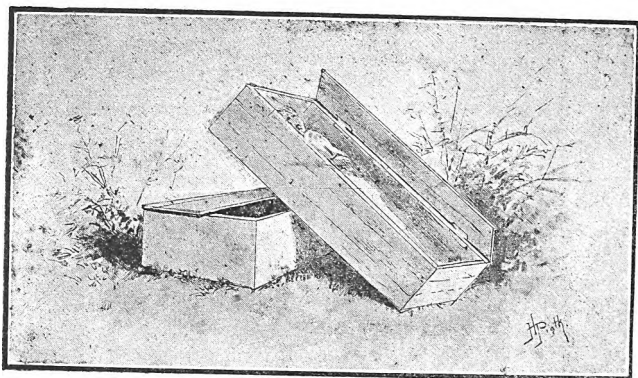
Karawan dla zmarłych na żółtą febrę.

wózka trzech chłopców zaprzęгло jednoroczną owcę. Czwarty rozsiadł się w tym oryginalnym ekwipażu. Biedne zwierzę z trudnością wlokło ciężar. Żeby zaś je zmusić do pośpiechu, jeden większy chłopiec okładał je dużym kijem, dwaj zaś mniejsi, uzbrojeni w spiczaste patyki, z całych sił kłóli po bokach. Nieszczęśliwe stworzenie, brocząc krwią i upadając co chwilę, wlokło się.

Niema co mówić, pięknie kształcą się charaktery tutejszych Milusińskich! Wyrosną z nich zapewne dzielni opiekunowie emigrantów!

Droga nasza ciągnęła się wzdłuż cmentarzy.

Wzrok mój uderzył oryginalnych kształtów wóz, w formie czarnej paki, z namalowanym dużym żółtym krzyżem na wierzchu i napisem: „Szpital św. Fran-



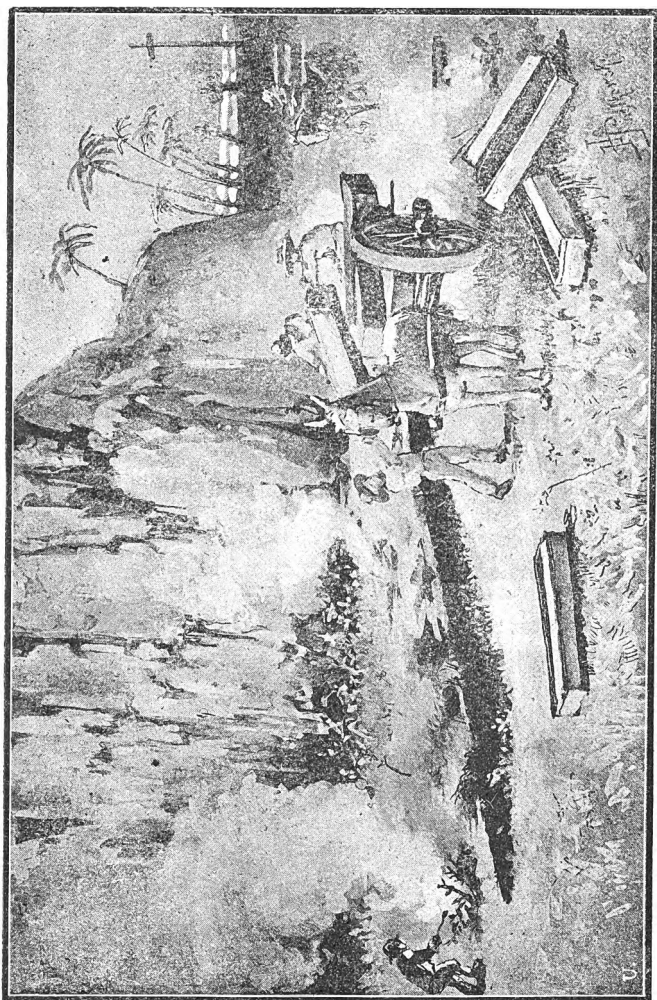
Trumny prowizoryczne dla umarłych na żółtą febrę.

ciszka Ksawerego.“ Zainteresowany, zapytałem sąsiada, co by to było?

— A to umarłych na żółtą febrę wywożą na cmentarz — odparł mi krótko.

Wóz właśnie wjeżdżał w bramę cmentarną. Wyszedłem z tramwaju i podążyłem za nim. Pragnąłem zobaczyć, jak też tutaj tym nieszczęsnym ostatnią oddają posługę, jednocześnie zaś chciałem zmówić pacierz. Kto wie, może ci, co by tu rzucili do grobu grudkę ziemi, byli gdzieś, hen, daleko za morzem.

Wóz przystanął przy kancelaryi. Wyszedł urzę-



Grzebanie zmarłych na zółtą febrę w Rio.

dnik, otworzył drzwi, sprawdził zawartość, kiwnął ręką, i wóz, ciągniony przez dwa muły, truchtem pociął się dalej.

Szedłem, kierując się jego drogą.

Po kilku minutach znalazłem się na dużym, rozkopanym placu, u podnóżka skalistej góry. Na bokach paliły się ognie. Czterech ludzi w koszulach, z zakaszanymi rękawami, krzątało się. Wnet do przybyłego wozu nadjechał drugi, na dwóch kołach, jakiego tutaj używają do przewożenia desek, zaprzężnięty w jednego muła. Ludzie przystąpili do pierwszego, wyciągnęli dwie skrzynie niskie, wąskie, podługowate, z jedną połową drzwi na zawiasach, drugiej nie było wcale. W każdej skrzyni leżało ciało.

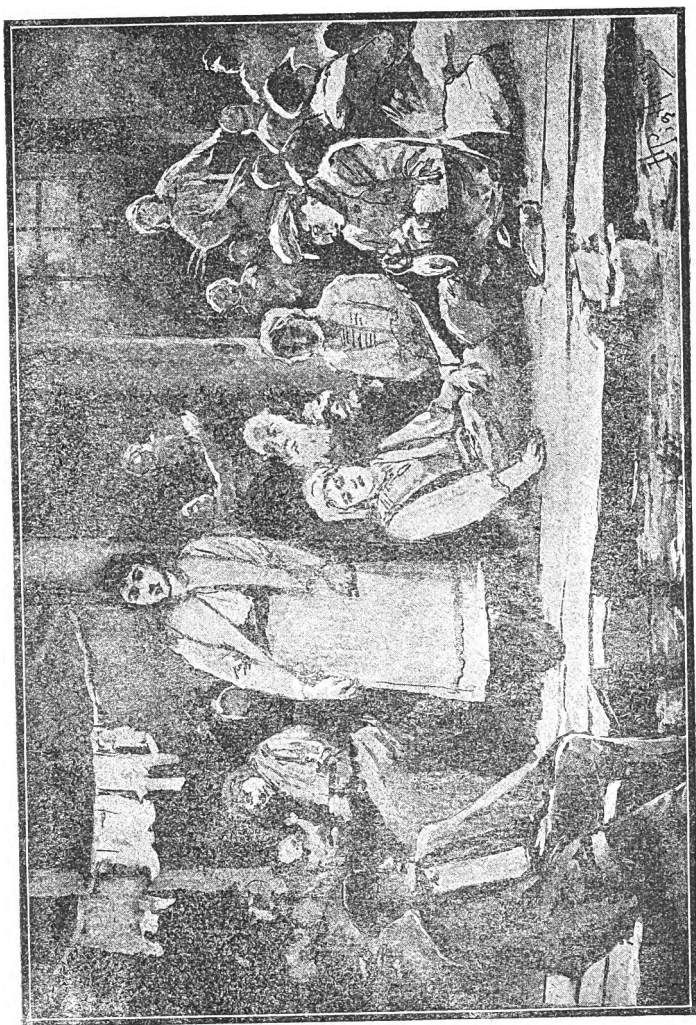
Zrozumiałem teraz, co znaczyło kilkanaście podobnych skrzyń, porzuconych w różnych stronach placu. Były to prowizoryczne trumny.

Tymczasem dwie skrzynie wrzucono na jednokonny wóz, ten zaś dowiózł je do dużego dołu, do którego wysypano oba ciała i pokryto warstwą wapna i ziemi. Skrzynie odrzucono na bok, boć służyć będą jeszcze setkom innych, którym municypalność miejscowa poskapiła nawet czterech własnych desek.

Zapewniono mnie później, że tak samo grzebią i innych, niekoniecznie na żółtą febrę zmarłych w szpitalu, po których nie zgłosiła się rodzina.

Mój Boże, iluż naszych biedaków legło tutaj w ten nieludzki sposób pod ziemią!

W dziesięć minut później stanąłem w Ponte do Cajú. Jestto miejscowość brudna, cuchnąca, którą w do-



Legowisko w Ponte do Cajú.

datku bliskość cmentarza, szpitala i garbarni, czyni niemożliwą. Przebrnąwszy po błocie różne zaułki, znalazłem się wreszcie u celu.

Nad wodą buduje się tu jakaś fabryka, zatrudniająca około dwunastu rodzin emigrantów naszych, złożonych z 36 osób, z tych zaś ośm kobiet i dwanaścioro dzieci. Do niedawna biedacy ci sypiali pod murem. Następnie zlitowano się nad nimi i pozwolono przenieść się do szopy. Ponieważ jednak spływała tu woda, więc poznosili sobie stare deski. O sienniku i słomie nie było i mowy. Nie otrzymywali oni jeszcze żadnej zapłaty, dawano im tylko w dzień pracy żywność i to jedynie na dorosłych. Na zapytanie, co pobierać będą, odpowiedzieli:

— Nie wiema, boć ich nie rozumiema.

Są to wszystko rodziny chłopskie z gubernii kaliskiej. Gdybym powiedział, że przedstawiają obraz nędzy i rozpacz, byłoby to zamało. Jestto niedola i nędza, o której się niema wyobrażenia. Wszystko obdarte, wynędzniałe. Dzieci płaczą od głodu. Niepodobna nie oddać im ostatniego szeląga z kieszeni. Wszyscy oni wrócili do kraju. Wszak niemożliwe było ich tutaj zostawić.

Chociaż była już trzecia popołudniu, postanowiłem dotrzeć do Sampajo, dokąd dojeżdża się koleją żelazną w ciągu trzech kwadransów.

Znalazłem tam położenie nieco znośniejsze, niż w willi „Izabel.“ Baraków jest kilka i nie były one tak wilgotne. Dla małżeństw porobiono przynajmniej przegrody. Ciasnota za to większa, a przytem skutkiem

niskości budynków, bardzo w nich duszno. Pracowało tam około 200 emigrantów, po większej części Warszawiaków, najróżniejszych profesyj. Zatrzymali oni swoje właściwe cechy: skłonność do mędrkowania i przewodniczenia innym. Chociaż zarobki wypłacali tu regularnie, wielu obarczonych rodziną cierpiało nędzę. W każdym razie, Sampajo zrobiło na mnie mniej wstrząsające od innych legowisk wrażenie. Choroby panują wszakże i tutaj. Zadowolonego nie spotkałem ani jednego, wszyscy zaś od ust sobie odejmowali, aby zebrać na koszt powrotu. Szczególnie litość budzą dzieci, których otoczyło mnie tutaj ze sześćdziesiąt, cisnąć się do rąk i nóg.

Na tem skończyłem wędrówkę po barakach. Chyba ono „szczęście brazylijskie,” którem agenci nęcili łatwowiernych, nie mogło mi się przedstawić w potworniejszej formie. Pióro jest zasłabe, aby realną prawdę odmalować, ale w mojej pamięci żyje ciągle żywy obraz tej strasznej niedoli i zapewne nie stracę go z przed oczu nigdy.

VIII.

Emigracya i agenci. — Niewolnictwo i emigracya. — Szlachetne zamiary i charakterystyka Dom Pedra II. — Ciężkie walki. — Pierwsza forma werbunku. — Wzrost emigracyi. — Prawo z 1871 i 1885 r. — Zmniejszenie się liczby niewolników. — Dobre przykłady. — Zupełne zniesienie niewolnictwa. — Wrzawa fazenderów. — Druga forma werbunku. — Głośni przedsiębiorcy werbunkowi Santos i Fioritta. — Olbrzymie środki i zyski. — Upadek cesarstwa. — Gospodarka rządu. — Niesłychane darowizny i koncesye. — Prawo emigracyjne z 28-go marca 1890 r. — Widoki na przyszłość. — Sowita nagroda.

Mówiąc o emigracyi, każdemu mimowolnie staje na myśli cała tłuszcza emigrantów, którzy, jak zgłodniałe szakale, rozbiegają się po kraju i dla osobistego zysku, kłamliwemi obietnicami werbują łatwowiernych, obalamucają, a w rezultacie rzucają na pastwę najstraszniejszej niedoli. Wstrętny ten werbunek, nawet w Brazylii, wśród ludzi uczciwych, bezstronnych, a szczególnie nie interesowanych napływem *à tout prix* rąk do pracy z Europy, zyskał miano

„handlu białem mięsem“, który w gruncie rzeczy mało się różni od dawniejszego handlu niewolnikami.

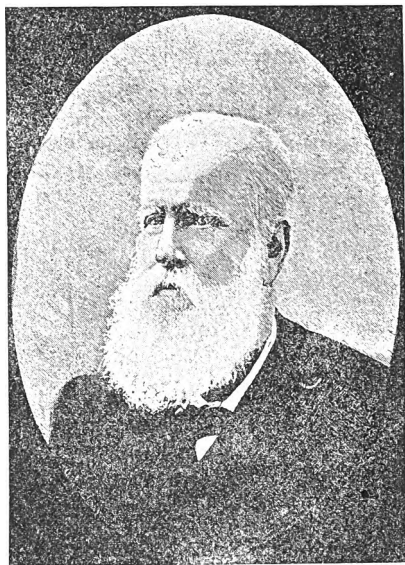
O ile mi wiadomo, cała ta, wielce skomplikowana maszynerya werbunku emigrantów, nie jest u nas dokładnie znana. Wiemy, że ona istnieje, bo widzimy oplakane jej rezultaty, ale kto ją porusza, z kąd czerpie swoje siły, z jakich źródeł wreszcie otrzymuje krwawą zapłatę, do mego przynajmniej wyjazdu było rzeczą niejasną i więcej opartą na przypuszczeniach, niż na faktach. Zdaje mi się przeto, że rozjaśnienie tej smutnej sprawy powinno być ze wszech miar interesującym i pożytecznem.

Niestety, chcąc być jasnym, nie mogę odrazu wejść *in medias res*, ale muszę się cofnąć i choć po-bieżnie potrącić o kwestyę zniesienia niewolnictwa, która ściśle się łączy ze sprawą emigracyjną wogóle, a z agencjami i agentami w najróżnorodniejszej formie w szczególności.

Nie ulega wątpliwości, że złotą kartę w historii Brazylii stanowić będzie panowanie zdetronizowanego w d. 15-tym listopada 1889 r. cesarza Dom Pedra II. Monarcha ten, ożywiony najszlachetniejszymi i naj-liberalniejszymi, choć częstokroć może zbyt doktry-nerstwem liberalnem zaprawionemi ideami, pragnął istotnie pchnąć Brazylię na nowe tory. Całe jego niemal 50-letnie panowanie odznaczało się prawie bez-ustanną walką z żywiołami, stawiającymi zaporę jego podniosłym zamiarom. Z pomiędzy zaś tych zamia-rów, pierwsze miejsce należy się sprawie zniesienia

niewolnictwa, którą Dom Pedro II od r. 1866 postawił na porządku dziennym.

Historia walki, jaką szlachetny ten monarcha o wolność człowieka staczać musiał, należy do najbardziej interesujących, ale zarazem i najsmutniejszych kart dziejów Brazylii.



Dom Pedro II.

Niestety, nie mogę jej tutaj przedstawić wyczerpująco, skreślę ją tylko w ogólnych zazyskach.

Od roku 1866 ministerya zmieniały się jedno po drugim. Wielkie hasła wolności i ludzkości rozbrzmiewały zarówno wśród liberałów, jak zachowawców. Jeden projekt zniesienia niewolnictwa po drugim stawał na porządku dziennym, ale gdy już był bliskim

urzeczywistnienia, zazwyczaj gabinet, popierający go, upadał, nowy zaś pokrywał dzieło poprzedników głuchem milczeniem, aż zmuszony głosem opinii, sam wstępował znowu w jego ślady, ale zarazem i niedługo był zmuszony podzielić jego losy.

Z tych to powodów obecnie oba stronnictwa, zachowawcze i liberalne, przypisują sobie zasługę zniesienia niewolnictwa, chociaż w rzeczywistości zasługa ta jedynie i wyłącznie przypada cesarzowi.

Główną przeszkodę w zniesieniu niewolnictwa stanowił wzgląd na ekonomiczne interesa kraju. Obawiano się, że tym sposobem zabraknie rąk do pracy i rozległe „fazendy“ (plantacje kawy) legną odłogiem, że, jednym słowem, kraj zostanie zrujnowany. Każdy przeto rząd, jednocześnie z projektem zniesienia niewolnictwa, obmyślał najróżnorodniejsze środki zachęcenia emigracyi. Przyrzekano tedy emigrantom różnorodne korzyści, wyznaczano poważne sumy na agencye i agentów w Europie, aby tym sposobem ściągnąć tłumy przybyszów. Czynili też to zamożniejsi fazenderzy na własną rękę, przewidując, że prędzej czy później zabraknąć im może czarnych rąk do pracy.

Była to pierwsza forma agentów, opłacanych bezpośrednio.

Istotnie, emigracya poczęła się zwiększać. Szczególnie zaś napływali włosi i portugalczycy.

Aby dać miarę, jak podobne środki popchnęły emigracyę, przytoczę kilka cyfr. Od r. 1864 do 1872, głównie przez porty Rio Janeiro i Santos, przybyło 88.823 wychodźców, czyli 9.869 przecięciowo rocznie.

Od chwili zastosowania wyżej wzmiankowanych środków agencyjnych, od r. 1873 do 1886 ogólna liczba przybyszów wyniosła również tylko przez porty Rio i Santos 304.796, czyli 21.771 przecięciowo rocznie. Wedle narodowości przybyło: 110.891 portugalczyków, 112.279 włochów, 23.469 Niemców, 15.684 Hiszpanów i t. d.

Z Rosji w tym czasie napłynęło tylko 417 przybyszów. Tłumna emigracja z Królestwa Polskiego przypada dopiero na r. 1889 i dalsze, już po zastosowaniu innych środków agitacyjnych, o których niżej pomówię.

Tymczasem cesarz nie dał za wygraną. W roku 1870 szczególnie wrzało w gabinecie. U steru stanął przewodca zachowawców, margr. Sao Vincente i wypracował nowy projekt stopniowego zniesienia niewolnictwa. Niestety, nie zdołał go jednak w Izbie przeprowadzić i był zmuszony sam ustąpić. Po długich pertraktacjach, utworzył dnia 7-go marca 1871 r. nowe ministeryum Vicomte de Rio-Branco. Cesarz udał się wówczas w pierwszą podróż po Europie, a regencyę objęła następczyni tronu, Donna Izabela. We wrześniu gabinet rozpoczął w Izbie walkę niemal na noże i po długich debatach zdołał wreszcie d. 28-go września przeprowadzić prawo, mocą którego wszystkie, w Brazylii od tej daty urodzone, dzieci z matek murzyńskich, zostały ogłoszone wolnemi.

Pierwszy przełom został więc uczyniony. Drugi dopełniono w r. 1885, uchwalając za gabinetu Saraivy, w dniu 6-tym maja, dalsze prawo, które uwalniało

wszystkich murzynów, liczących więcej jak lat 60 wieku, z warunkiem, aby jeszcze przez lat 3 służyli swoim panom, za opłatą wyłuszczoną.

Oba powyższe prawa czyniły faktyczne usamowolnienie murzynów już tylko kwestyą czasu. Jakoż rzeczywiście od r. 1872 liczba niewolników z każdym rokiem zaczęła się zmniejszać, tak, że kiedy w roku 1870 liczono ich jeszcze 1,800.000, w r. 1873 było 1,584.000, w r. 1885 — 1,050.000, a w r. 1887 tylko 743.419.

Tym sposobem monarcha przygotowywał powoli kraj do wielkiego dzieła emancypacji, którą nakazywały Brazylii wszelkie uczucia i względy, właściwe krajowi, mającemu pretensyę do cywilizacji.

Ciągle jednak nad szlachetnemi intencjami Dom Pedra wisiała, niby miecz Damoklesa, groza przesilenia ekonomicznego, które fazenderzy w zwiększonych jeszcze przedstawiali rozmiarach. Poważniejsi wprawdzie i głębiej patrzący odczuwali konieczność zniesienia niewolnictwa i sami na własną rękę przedsiębrali środki, celem zastąpienia czarnych rąk białymi. Dotyczy to przedewszystkiem niektórych bardzo bogatych fazenderów z prowincyi San Paulo. Wielu z nich usiłowało przyciągnąć szczególnie emigrantów włoskich i portugalskich. Niektórym powiodły się tak dalece te usiłowania, że jeszcze przed ogłoszeniem zupełnego usamowolnienia, uczynili to z własnej inicjatywy. Mianowicie też uczynili to senatorowie i zarazem bogatsi fazenderzy, pp. Correa

de Oliviera i Antonio Prado. Ostatni był dwukrotnie ministrem, obecnie zaś zamieszkuje w Paryżu.

Przyszła wreszcie chwila stanowcza.

Zastępująca cesarza podczas trzeciej jego podróży do Europy następczyni tronu Donna Izabela, postanowiła ostatecznie załatwić się ze sprawą usamowolnie-



Donna Izabela, regentka.

nia niewolników. Jakoż po upadku d. 10 marca 1888 r. gabinetu Cotegipe, regentka powołała do rządów ministerium Correa de Oliviera, które po czterodniowych rozprawach w Izbie, w dniu 13 maja tegoż roku, prawie jednomyślnością głosów przeprowadziło zupełne zniesienie niewolnictwa.

Ostateczny więc krok został uczyniony.

Nie przesądzam bynajmniej, czy tak ważny przełom nie dokonał się zbyt gwałtownie, czy nie lepiejby było jeszcze jakiś czas poczekać, lub też w odpowiedni sposób odszkodować fazenderów, którzy, jak oblicza p. Santa Anna Nery, tracili około 485.225 kontosów, czyli 1 miliard 213 milionów franków. Ostatecznie fakt został dokonany i opinia publiczna całej Brazylii przyjęła go z niesłychanym zapalem. Po różnych miastach zarządzono wielkie festyny narodowe: wielbiono i przyklaskiwano dekretni regentki powszechnie. Prawo usamowalniające nazywano „ustawą złotą“.

Kto jednak bliżej i głębiej znał stosunki miejscowe, czuł, że burza zbiera się skrycie i powoli, że niebawem uderzy piorun w tych, którzy odważyli się z Brazylii zmyć ohydłą plamę niewolnictwa.

Pozostała znaczna większość fazenderów, która poruszała niebo i ziemię, aby pomścić swoje straty, głosząc na wszystkie strony niechybną ruinę kraju, opustoszenie skutkiem braku rąk, głównego źródła bogactwa plantacyj kawy. Wówczas to, że tak powiem, dla zamknięcia ust krzykaczom, w orędiu cesarskiem postanowiono forsownie poprzeć emigrację i w tym celu chwycono się, zdaniem mojem, środka najfatalniejszego, zawierania kontraktów z pojedynczymi osobami, lub towarzystwami, o dostarczenie pewnej określonej liczby wychodźców z Europy.

Otóż tym sposobem, już na schyłku niemal cesarstwa, zawarte zostały kontrakty o dostarczenie

750.000 ludzi z następującymi agentami, z pp. Vicomte Figueredo i Joachim Gaetano Pinto na 250.000 emigrantów, z pp. Angelo Fioritta i Jose do Santos również na 250.000, resztę rozdzielono między sześciu innych, po liczbie od 100.000 do 25.000 emigrantów.

Zobaczmy teraz, jak wyglądał finansowy rachunek tych panów.

Oto za każdego dostarczonego emigranta skarb zobowiązał się płacić posiadającym kontrakt 168 fr. (według innej wersji 75 milrejsów w zlocie, co byłoby jeszcze więcej.) Ponieważ zaś z tego towarzystwo przewozowe, za kosztu transportu, pobierało 125 franków, przeto w kieszeni przedsiębiorcy pozostawało 43 fr.

Zrozumiemy chyba obecnie, jak olbrzymie panowie Santos i Fioritta posiadali fundusze dla rozpostarcia sieci na połów naszych łatwowiernych biedaków. Fundusze te, ni mniej, ni więcej, wynosiły $43 \times 250.000 = 10,750.000$ fr. Jeżeli prawdą jest, że panowie ci, każdemu agentowi, trudniącemu się bezpośrednim namawianiem, płacili po rs. 5, czyli po 16 fr. od głowy, przeto pozostawał im jeszcze zysk 27 fr. na każdym złowionym emigrancie, czyli po dostarczeniu całej cyfry: 6,750.000 fr. na czysto.

Taki sam zysk uśmiecha się pp. Figueredo i Gaetano, oraz grupie 6-ciu mniejszych przedsiębiorców, czyli innemi słowy, wszyscy oni razem dysponują na cele agitacyjne sumą 32,250.000 fr., a mają w nadziei ewentualnego zysku 20,250.000 fr.

Oto jest cena onego ohydneho handlu „białem mięsem“.

Nadmieniam tutaj, że całkowita liczba skontrowanych w ten sposób emigrantów nie została jeszcze dostarczona i że panowie ci w dalszym ciągu prowadzą i prowadzić będą swoje zyskowne i zaprawdę krwawe rzemiosło w Europie.

Jest to więc druga forma agentury. Nadmieniam jeszcze, że kontrakty powyższe zawarte zostały 1889 roku.

Wstrzymuję się od szerszych uwag, wystarczy chyba sam sposób oddania przedsiębiorcom, którzy przedewszystkiem własny tylko zysk mogą mieć na uwadze, losu 750.000 ludzi, aby z całym wstrętem potępić podobny środek i zrozumieć całą przerażającą stronę tej werbunkowej maszyneryi.

Jeżeli jednak rządy cesarskie mniemały, że krokiem, tak potępienia godnym, zdołają zażegnać wiążącą nad nimi burzę, wnet same wypadki miały je przekonać, jak ich rachuby były płonne.

Nieprzejednani fazenderzy, pomimo że należeli do obozu zachowawców, podali rękę republikanom. W znacznej części dzięki temu związkowi, zupełnie niespodzianie, w d. 15 listopada 1889 r. dokonany został zamach stanu. Cesarstwo upadło, a na jego miejsce ogłoszona została republika z rządem prowizorycznym, na którego czele stanął gen. Deodoro da Fonseca.

Wistocie, nigdy w historii republika nie powstała w bardziej dziwacznych warunkach. Przygotowała ją po

części zemsta i odwet za najwyższy akt ludzkości i cywilizacji, jak to będę miał sposobność wykazać w następnym rozdziale, a stworzył wypadek. Cofnąć zniesienie niewolnictwa stało się niepodobieństwem, byłoby to bowiem samobójstwem teoretycznem, a w następstwie zapewne i praktycznem republiki. Pozostała więc jedyna droga rozszerzenia, o ile możności, przywilejów emigracyjnych i wzbudzenia nadziei tłumnej emigracji, która, według mniemania wszystkich brazylijczyków, jest podstawą rozwoju, pomyślności i przyszłości ich kraju.

Sześć miesięcy gospodarki republikańskiej za t. zw. rządu prowizorycznego, należeć będzie do najbardziej karykaturalnych kart w dziejach świata, o tem jednak rozpiszę się szerzej przy stosunkach politycznych; tutaj zaś wystarczy nadmienić, że żaden brazylijczyk o onej epoce przejściowej nie mówi bez srogiego oburzenia.

Wpśród tych warunków i wśród takiej atmosfery powstało nowe prawo emigracyjne, zatwierdzone przez naczelnika rządu prowizorycznego, gen. Deodoro da Fonseca, w d. 28-mym czerwca 1890 roku. Nosi ono wprawdzie wszystkie cechy szerokiego rozmachu emigracyjnego, w rzeczywistości wszakże otwiera narozcież drzwi wszelkiego rodzaju spekulacji i, jak zobaczymy, faktyczną kontrolę nad maszyną emigracyjną czyni niemożliwą.

Dokument ten zmuszony jestem streścić dlatego, że stanowi on całą podstawę ruchu emigracyjnego, a jednocześnie odkrywa jego słabe strony. O ile wiem,

piszący u nas o emigracyi dekret ów przemilczeli zupełnie, a jednak znajomość jego jest, zdaniem mojem, niezbędną, aby wiedzieć: kogo i za co stawiać należy pod pręgierzem opinii publicznej. Zresztą znaczna część nadużyć i krzywd, wyrządzonych naszym wychodźcom, wypływa z jego wadliwego lub niedołężnego wykonania.

Na wstępie generał Manuel Deodoro da Fonseca, jako naczelnik rządu, oświadcza, że wobec potrzeby napływu obcych pracowników do Brazylii, uważa za konieczne warunki emigracyjne ustalić i w pewne, ściśle określone, prawa ująć. Ten cel zamierza osiągnąć przez wspomniany dekret, którego główne punkta są następujące.

Do Brazylii może być tylko przyjęty emigrant zdrowszy, zdolny do pracy i nie dotknięty wyrokiem karnym. Towarzystwa przewozowe, wysadzające na ląd emigrantów nieodpowiednich, ulegną karze pieniężnej.

Do bezpłatnego lub zniżonego kosztu przewozu mają prawa:

- a) Rodziny rolnicze, wraz z dziećmi i rodzicami, nie starszymi nad lat 50;
- b) bezzemni w wieku od lat 18-tu do 50-ciu;
- c) rzemieślnicy, słudzy etc., z zachowaniem wyżej wskazanych zastrzeżeń.

Rząd gotów jest towarzystwom przewozowym przyznać 120 fr. premii za każdego dorosłego, na ląd wysadzonego emigranta, jeżeli zachowają objęte dekretem warunki i zobowiązują się nie pobierać od emi-

grantów większej opłaty nad zbywającą po za 120 frankami resztę ceny za zwykły przewóz. Wszelkie sprawy emigracyjne załatwia osobna inspekcya dla kolonizacyi. Do tej inspekcji winni się zgłaszać zarówno pojedynczy właściciele, jak i towarzystwa kolonizacyjne, wskazując ilość emigrantów, jakiej potrzebują. Wobec inspekcji zawarty winien być kontrakt z emigrantem, nad którego ścisłem wykonaniem czuwać ona powinna.

W przeciągu 6-ciu pierwszych miesięcy emigranci mają prawo żądać zmiany pierwotnie wybranego miejsca. Właściciele lub towarzystwa, nie wypełniające warunków kontraktu, mogą być do tego zniewoleni na drodze prawnej. Każde towarzystwo lub agencya, wprowadzająca do Brazylii 10.000 emigrantów, otrzyma 100.000 franków premii w razie, jeżeli żadne przeciwko niej nie będą podniesione reklamacye.

Do powrotu na koszt rządu do kraju mają prawo:

1) wdowy i sieroty, które utraciły męża lub ojca w ciągu roku od daty przybycia do Brazylii;

2) emigranci, którzy skutkiem przyczyn od nich niezależnych stali się niezdolnymi do pracy, również w ciągu pierwszego roku swego pobytu. Obie te kategorie mają nadto od rządu otrzymać tytułem indemnizacyi od 50—150 milrejsów.

Koloniści otrzymują fermę wraz z domem mieszkalnym, płacąc po 25 milrejsów za hektar, jeżeli ziemia jest nieuprawiona, po 50, jeżeli znajduje się w pewnej już kulturze. Przypadającą za fermę na-

leżność obowiązani są, wraz z procentem rocznym 9%, spłacić w ciągu lat 10-ciu. W razie chybienia raty w ciągu lat dwóch, obowiązani są zajmowaną fermę opuścić, a obejmuje ją napowrót właściciel lub towarzystwo. Kolonie winny się znajdować nie dalej jak 13.000 metrów od arteryj komunikacyjnych i obejmować grupy najmniej po 10 rodzin.

Dekret przyznaje właścicielom i towarzystwom kolonizacyjnym znaczne premie, rozdzielając ich na trzy kategorie, a mianowicie:

a) Kolonizujący przynajmniej 30 rodzin otrzymuje 200 milrejsów za rodzinę i 250 za dom dla niej;

b) kolonizujący najmniej 200 rodzin, oprócz powyższych zapłat, otrzymuje jeszcze 1.500 milrejsów za każdy kilometr drogi komunikacyjnej;

c) kolonizujący nie mniej jak 500 rodzin, oprócz dwóch powyższych korzyści, otrzymuje jeszcze 800 milrejsów za kilometr drogi wewnętrznej. Wreszcie każdy koncesyonaryusz, kolonizujący na nadanych mu przez rząd ziemiach przynajmniej 100 rodzin, otrzymuje premii 5.000 milrejsów. Nie wspominam już o udzielonych koncesjach na budowę kolei żelaznych, z gwarantowanym dochodem 6% i t. d.

Wyjąłem z dekretu najgłośniejsze punkta, dające wyobrażenie, jak w teorii rząd brazylijski warunki emigracyjne pojmuje i stanowi. Dosyć wreszcie przeczytać je, aby dojść do przekonania, jak kłamliwe wieści i obietnice rozpuszczają agenci o bezpłatnie rozdawanej ziemi, o rozmaitych korzyściach, które czekają przybywających do Brazylii.

Przyjrzyjmy się teraz, jak to prawo wygląda w rzeczywistości.

Jeżeli rząd za czasów cesarstwa mógł, o ile chciał, jako tako rozpościerać kontrolę nad działalnością płatnych przez siebie agentów (pierwsza forma), a skontraktowani w r. 1889 przedsiębiorcy, pp. Santos, Fioritta etc., również mogli być w danej chwili opamiętani w swoich werbunkowych zapędach, to obecna, trzecia forma agencyjnej maszyneryi, usuwa się z pod wszelkiego nadzoru. Któż bowiem rozsyłać będzie w tych warunkach agentów?

1) Towarzystwa przewozowe, którym *à tout prix* chodzi o zebranie 10.000 żywego towaru, za który nie tylko otrzymają po 120 fr. od głowy, ale i premii 100.000 milrejsów. Te więc werbować nie omieszkają na wszystkie strony i na wszelkie sposoby;

2) towarzystwa lub osoby, obdarowane ziemią i posiadające koncesye na sprowadzenie określonej liczby rodzin. Ta kategoria werbunku rozpada się znowu na dwa gatunki:

a) takich, którzy mając złoty interes w rękę, zechcą z niego ciągnąć trwałe korzyści i dlatego kolonizować będą racjonalnie, zapewniając kolonistom dolę znośną;

b) spekulantów i aferzystów, którzy jedynie dbać będą o doraźne i sztuczne wyśrubowanie akcji na giełdzie, aby osiągnąć prędki zysk, nie troszcząc się bynajmniej o losy kolonistów.

Nie chcę przesądzać, która kategoria kolonizatorów weźmie górę. Miałem wprowadzić sposobność

spotkać się z przedstawicielami dwóch wielkich towarzystw w Parana i Minas Geraes, którzy są żywieni dobrami i poważnemi intencjami. Nie mam prawa wątpić, aby je mieli porzucić. Ale to pewna, że z emigrantów, jakich spotkałem, każdy był prawie uciekinierem z kolonii i opowiadał o swoich losach przerażające rzeczy.

Że rząd prowizoryczny tych humanitarnych względów nie miał na myśli, przekonują mnie cyfry i fakta, zaczerpnięte z urzędowych danych „Journal do Comercio“. Rozdano n. b. w prowincjach północnych Amazonas 1.460.000 hektarów kwadratowych i koncesyj na sprowadzenie 36.000 rodzin, Maranhão 360.000 hek. kw. i 21.000 rodzin, Piauí 650.000 hek. kw. i 21.500 rodzin i t. d., w których klimat dla Europejczyków jest nieznośny, a na dłuższy czas po prostu zabójczy.

W tych zarysach przedstawia się dawna, dzisiejsza i przyszła emigracya i agenci w Brazylii. Pisząc powyższe uwagi, starałem się o ile możności być obiektywnym, a nawet stłumić w sobie wrażenie widzianej niedoli i nędzy, aby nie sądzić rzeczy stronnie i pod wpływem pesymizmu. Cytowałem fakta i liczby, jużto zasięgnięte ze źródeł i od osób najzupełniej wiarygodnych, już osobiście przezemnie widziane i sprawdzone, już wreszcie zaczerpnięte ze źródeł, nie podlegających żadnej wątpliwości.

Czy wobec tego może być mowa o racjonalnej emigracyi, każdy z łatwością znajdzie odpowiedź. Losy setek tysięcy osób spoczywają tedy w ręku agentów,

którymi nie powoduje żaden inny wzgląd, prócz o ile możliwości największego zysku. Nikt się nie troszczy, czy przybywający wychodźcy nadają się do warunków miejscowych, czy podolają czekającej ich pracy i klimatowi. Jest to w całym znaczeniu tego wyrazu towar i to towar nabyty, jak u nas przynajmniej, podstępem i kłamstwem, za który chciwy agent ściąga swoją należność, nie troszcząc się zgoła ani o jego dołę, ani o pożytek kraju, któremu go dostarczył. Agenci więc, to podwójna plaga, która tyle niedoli gotuje łatwowiernym wychodźcom, Brazylii zaś pochłania miliony, a wzamian za to przynosi nader wątpliwy pożytek.

IX.

Ze stosunków politycznych.

Co przygotowało zamach stanu. — Niespodzianka d. 15-go listopada 1889 r. — Główni działacze. — Sprzyjające okoliczności. — Przebieg zamachu. — Deodoro da Fonseca. — Uczniowie akademii wojskowej. — Wstrętna polityka. — Lojalność p. P..... — Wywiezienie cesarza. — Rząd prowizoryczny, jego gospodarka i reformy. — P. Glicerio i Ruiz Barboza. — Konstytucja brazylijska. — Wybór Fonseci na prezydenta. — Powołanie nowego gabinetu. — Br. Lucena. — Skarb i handel. — Widoki na przyszłość.

Wspominałem już w rozdziale poprzednim, że wywołane, skutkiem zniesienia niewolnictwa, niezadowolenie i obawa o przyszłość wśród plantatorów kawy, przygotowały grunt do obalenia cesarstwa i ogłoszenia republiki. Jeżeli jednak ktoś myśli, że sprawcami zamachu stanu z 15-go listopada 1889-go roku byli fazenderzy, lub wogóle, że był to krok należycie przygotowany i zorganizowany, ten w grubym po zostaje błędzie. Wprawdzie idee republikańskie kołatały się po głowach brazylijczyków, ale o wprowa-

dzeniu ich w życie, o realnem urzeczywistnieniu republikańskiego ideału, mało kto myślał. Humanitarne i aż do przesady posunięte liberalne rządy Dom Pedra II-go, olbrzymie przestrzenie, równające się niemal obszarowi całej Europy wraz z Rosyą europejską, nierówność zaludnienia i zdolności wytwórczej pojedynczych prowincyj, brak środków komunikacyjnych, zresztą wypływająca z wrodzonej brazylijskiej inercji gnuśność polityczna — wszystko to razem odbierało przejawiającym się sporadycznie aspiracyom republikańskim wszelkie prawdopodobieństwo rzeczywistej siły i grozy.

Wprawdzie w Brazylii, jak we wszystkich niedojrzałych państwach, istnieje skłonność do zapożyczania od cywilizacji tego, co najbardziej krańcowe i z tego powodu republikańska Francya, oraz Stany Zjednoczone, stanowiły wymarzony ideał dla niektórych krótkowidzących polityków brazylijskich. Nurtoowało ich również, że Brazylia jest jedynym monarchicznym krajem Ameryki południowej. Któżby jednak tego rodzaju luźne czynniki brał w rachubę i liczył się z nimi?

Otóż śmiało rzec można, że zamach z d. 15-go listopada 1889-go roku spadł na Brazylię, jak piorun z pogodnego nieba, że zaskoczył on znienacka wszystkich, nie wyjmując nawet tych, którzy się uważali za republikańców. Wprawdzie dzisiaj republikanie mówią wiele o przygotowawczej pracy swojej, o rozgążonej organizacji i t. p. usiłowaniach, są to jednak puste przechwałki, gdyż rzeczywiście republika po-

wstała bez nich i była dziełem, jeżeli nie zupełnego przypadku, to przynajmniej nieobliczonego i niemal jednostkowego przedsięwzięcia.

Dwóch właściwie ludzi pracowało nad sprawą republikańską i im to jedynie przypada smutna i zgoła nie zaszczytna zasługa detronizacyi szlachetnego Dom



Gen. Benjamin Constant.

Pedra II-go, a byli nimi: gen. Benjamin Constant Botelho de Magalhães i Quintinio Bocayuva.

Gen. Benjamin Constant pełnił obowiązki dyrektora szkoły wojskowej i cieszył się szczególnem zaufaniem swego monarchy, tak przynajmniej głoszą jego wielbiciele. Powodem onego zaufania był jakoby

prawy i otwarty charakter generała. Opowiadają, iż kiedy Dom Pedro powołał go na wysokie i ważne stanowisko kierownika szkoły wojskowej, miał on otwarcie wypowiedzieć swoje republikańskie przekonania.

— Jestem spokojny — odparł na to cesarz — że jako generał i prawy człowiek spełnisz należycie swój obowiązek względem mnie i kraju.

Niestety, szlachetny monarcha gorzko się zawiódł na swoim zaufaniu.

Bocayuwa był redaktorem naczelnym dziennika republikańskiego „O Paiz“ i uchodził za jednego z najzdolniejszych pisarzy brazylijskich. Cięte jego pióro i odwaga przekonań zjednały mu wielki rozgłos i rozgałęzione wpływy. Obaj stanowili później ozdobę prowizorycznych rządów, a dopiero śmierć ich otworzyła na oścież wrota potwornej gospodarcze, jaką się one na zawsze upamiętniły.

Lecz nie uprzedzajmy wypadków.

Otóż jest rzeczą prawie pewną, że między Constantem a Bocayuwą istniało oddawna porozumienie i że obaj, z bardzo małym kółkiem zaufanych przyjaciół, w cichości prowadzili republikańskie knowania. O rychłym jednak urzeczywistnieniu swych zamiarów żaden z nich nie myślał, plany ich odnosiły się do chwili śmierci Dom Pedra, jego bowiem popularność i powszechna miłość w całym kraju, zdawała się im niepokonaną zaporą. Wogóle, należy to przyznać, nie było w Brazylii nikogo, ktoby miał odwagę pomyśleć, że sędziwy monarcha, prawdziwy ojciec swych pod-

danych i największy dobrodziej kraju, stać się kiedykolwiek może wygnańcem. Dosyć było wspomnieć na nieopisany entuzjazm, z jakim przed kilkoma miesiącami witano go powracającego do kraju, po długiej bytności i ciężkiej chorobie w Europie, aby podobny zwrot uważać za zupełnie niemożliwy.



Quintinio Bocayuva.

Stało się jednak inaczej.

Okoliczności sprzyjały zamachowi.

Zachowawcy, uważający się dotąd za podpórę tronu, rozpadli się na dwa, wrogie cesarstwu stronnictwa: jedno, mające na czele p. Joao Alfredo, nie mogące przeboleć utraty steru rządów; drugie, zło-

żone z fazenderów, dotkniętych do żywego zniesieniem niewolnictwa. Nadto aktualny naczelnik rządu, Vicomte Uro-Preto, doskonały, nawiasem mówiąc, administrator i finansista, miał nieszczęśliwą myśl urzędywistnienia projektu, który trafiał w najdrażliwsze uczucia armii.

Oddawna w kołach bliskich cesarza zaczęło utrzymywać się przekonanie, że armia, wystawiona na ustawiczne podszepty republikańskie, nie mająca przytem pojęcia o karności w europejskiem znaczeniu tego wyrazu, nie była należyłą podporą tronu. Nadto wojsko regularne kosztowało kraj wiele pieniędzy, a ponieważ Brazylia i tak nie wiedziała, co robić z bezludnemi swemi posiadłościami, reszta zaś krajów Ameryki południowej zbyt zajęta była sobą, aby o zaczepianiu sąsiadów myśleć, przeto ani do wojny zaczepnej, ani odpornej, nie było ono potrzebne. Zamierzano więc powoli armię do minimum zredukować, a zastąpić ją gwardyą narodową, na wskrós cesarstwu oddaną. Plan ten, obrażający dumę wojskową, a przytem podkopujący egzystencję oficerów i żołnierzy, którzy w wojsku znajdowali bez pracy i wysiłków wygodne utrzymanie, Vicomte Uro-Preto wziął bardzo do serca. Jakoż na początek nosił się z zamiarem wysłania z Rio kilku, od dawna konsystujących w stolicy batalionów, na prowincję. Wiadomość ta wywołała w garnizonie stołecznym wzburzenie ogromne. Potrzeba było tylko iskry, aby wybuch nastąpił.

Wreszcie, jako jeden z głównych powodów re-

wolucyi, przytaczano mi niejednokrotnie nienawiść powszechną ku córce cesarskiej, księżniczce Izabeli i jej małżonkowi, księciu D'Eu. Właściwie jednak nikt nie umiał przytoczyć rzeczywistych powodów owej nienawiści. Przyznawano na przykład, że była uczynną, uprzejmą i wielce miłosierną. Zniesienie niewolnictwa



Książe D'Eu.

przypisywano jej energii i stanowczości. Pogłoski, iż ulegała wpływom Jezuitów i duchowieństwu były poprostu niedorzeczne. Najpierw Jezuitów od dawien dawna w Brazylii nie było, co zaś do duchowieństwa, to wystarczy choć pobieżnie je poznać w Brazylii, aby jego wpływu nie uważać za niebezpieczny. Je-

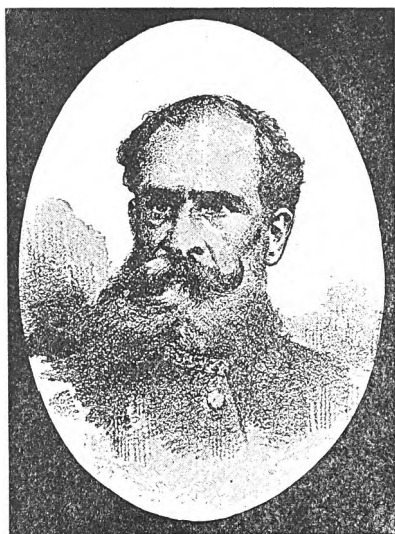
dyny poważniejszy zarzut stanowiło to, że była cudzoziemką, a w szczególności niemką, które nie cieszą się sympatją brazylijczyków. Książę D'Eu znowu złożył niezbite dowody męstwa i poświęcenia podczas wojny z Uruguajem. Nadto był on duszą i ciałem oddany armii. Zarzucano mu zaś, że był dumny i skąpy. Innych powodów nienawiści pary książęcej nie słyszałem.

Wszystkie te okoliczności sprzyjały wielce rewolucyjnym zamiarom Constanta i Bocayuy. Pomimo to, nie mieli oni jeszcze odwagi marzyć o ogłoszeniu republiki, a natomiast chcieli na cesarzu wymódz dymisyę nienawistnego gabinetu Vicomte'a Uro-Preto. W tym celu, w nocy z d. 15-go na 16-ty listopada, gen. Constant, uzbroiwszy wprzód uczniów szkoły wojskowej, podążył do pałacu cesarskiego. Podobno sędziwego monarchy nie było naonczas w Rio, a znajdował się w swojej ulubionej siedzibie, w Petropolis. Kłamliwy telegram sprowadzić go miał dopiero nad ranem do stolicy. Na widok tego, co się dzieje, jak mi opowiadano, szlachetny cesarz miał się rozplakać i oświadczyć, że jeżeli to jest wolą narodu, gotów jest w tej chwili opuścić Brazylię.

Postawiwszy strażę przy bramach i wszystkich wejściach do pałacu, Constant, wraz z resztą swojej drużyny, pośpieszył do koszar. Wystarczyło tutaj zaręczyć, że armia nie będzie zmniejszoną, że garnizony pozostaną w Rio, przyrzec wreszcie znaczną podwyżkę żołdu, aby wojsko przeciągnąć na swoją stronę.

Wówczas dopiero, jak powszechnie zaręczają,

ośmielony niespodzianem powodzeniem, Constant powziął myśl ogłoszenia republiki. Pośpieszył więc do marszałka Deodoro da Fonseca, o którym powszechnie wiadano, że znajduje się w zatargu z rządem. Podobno nagabnięty znienacka Deodoro, chwilowo wahał się, kiedy mu jednak przedstawiono, że wszystko jest już dokonane, że potrzeba tylko, aby stanął



Deodoro da Fonseca.

na czele republiki, w imię zasady: „nie będę ja, to znajdzie się kto inny“, przystał. Udano się jeszcze raz do koszar. Marszałek Deodoro kazał wystąpić wojsku na plac d'Aclamação i republika została ogłoszona.

Oryginalnemu temu aktowi, prócz wiarołomnego

wojska, przypatrywało się kilkudziesięciu gapiów, reszta miasta pogrążoną była w głębokim śnie i dopiero w kilka godzin później dowiedziała się ze zdumieniem, że republika brazylijska jest faktem dokonanym.

Nie mogę ręczyć za to, czy przytoczone tutaj szczegóły zamachu z dnia 15-go listopada 1889 r. są zupełnie ściśle, słyszałem je jednak z tyłu i tak poważnych ust, że o ich wiarygodności wątpić nie mogę.

A teraz kilka charakterystycznych rysów z onej chwili.

Uczniowie szkoły wojskowej byli tedy główną sprężyną zamachu stanu. Ci sami jednak uczniowie szkoły wojskowej, przed sześciu miesiącami, na wieść o powrocie cesarza z Europy, z narażeniem życia wdrapali się na stromą, u wstępu do portu wychylającą się na 400 metrów z morza skałę, „Głową cukru“ zwaną, aby na jej szczycie umieścić olbrzymi sztandar z napisem „*Salve!*“ I pomyśleć sobie, że nie spalili się oni ze wstydu, służąc następnie za narzędzie do obalenia tronu tego cesarza, że z lekkim sercem pełnili rolę siepaczy, strzegących sędziwego więźnia cesarskiego. Na podobną uwagę moją, odpowiedział mi pewien brazylijczyk:

— Eh! tamto co innego; tutaj działała polityka!

— Dziękuję panom za taką politykę — odparłem z oburzeniem.

Drugi fakt. Niepośledniej sławy pisarskiej i poetyckiej zażywa w Rio niejaki p. P., mulat, ale w $\frac{3}{4}$ murzyn, zachował on bowiem nie tylko kolor skóry

prawie czarny, ale i charakterystyczne rysy. P. P. był republikaninem, przynajmniej w swoich pismach i utworach wygłaszał republikańskie idee. Kiedy nastąpiło zniesienie niewolnictwa, p. P., do głębi wzruszony tym aktem ludzkości, pośpieszył do regentki, księżniczki Izabeli, aby oznajmić swoje uwielbienie, a za-



Admirał br. de Ladario.

razem uroczyście zapisać się pod cesarski sztandar. Za rękę przywiódł ze sobą jedyną córeczkę i jak o największą łaskę błagał, aby księżniczka zechciała ją pobłogosławić. Do łez wzruszona tem szczerem nawróceniem się zagorzałego republikanina, Donna Izabela, spełniwszy jego prośbę, serdecznie ucałowała dziecko. Otóż tenże p. P. w d. 16 listopada pierwszy

zatknał republikański sztandar na ratuszu w Rio i w radosnem upojeniu wygłosił w radzie miejskiej piorunującą na cesarstwo, a wielbiącą republikę mowę.

Wreszcie — to już chyba najwymowniejsze — ów Dom Pedro II, którego panowanie złotemi literami zapisane zostało w dziejach Brazylii, który żyć nie przestaje w wdzięcznem wspomnieniu całego ludu, znalazł w onym dniu jedyne go człowieka, admirała i ministra marynarki, barona de Ladario, który padł, ugodzony 11-tu kulami, w obronie zaprzysiężonej swemu monarsze wiary.

Nie wiem, ale zdaje mi się, że szczycąc się mianem „bezkrwawej rewolucyi“ republika brazylijska, wspominając na owe dni przewrotu, nieraz od wstydu spuszczać musi oczy.

W trwodze i niepokoju przeżyli bohaterowie republiki dwa dni, zdawało im się bowiem, że nad ich czynami wisiało złowrogie „Mane, Tekel, Fares“ i że lada chwila podniesie się przeciwko nim ręka mściciela, która skruszy ich wątłe dzieło. Inercya brazylijska jednak i tym razem wzięła górę. Nawet najżarliwsi zwolennicy cesarstwa popadli w bezradne odrętwienie.

Dnia 17-go listopada, przed świtem, zamknięte karety, otoczone silną eskortą, wiozły szlachetnego cesarza wraz z rodziną do portu, gdzie oczekiwał już w pogotowiu statek wojenny, strzeżony przez dwa pancerniki.

Gdy kula słoneczna poczęła wychylać się z oceanu, oblewając jaskrawym blaskiem skały i pogrą-

żoną w śnie stolicę, Dom Pedro żegnał niewdzięczną Brazylię.

Rząd prowizoryczny odetchnął swobodniejszą pierśią.

Pierwszy skład „*rządu prowizorycznego w imię narodu, ustanowionego przez armię i marynarkę*,” był następujący: Marszałek Deodoro da Fonseca, naczelnik rządu; Ruiz Barboza, minister finansów; Quintinio Bocayuva, minister spraw zagranicznych; Campos Sales, minister sprawiedliwości; Demetrio Ribeiro, minister rolnictwa, robót publicznych i handlu; Aristides Lobo, minister spraw wewnętrznych; gen. Benjamin Constant, minister wojny; kontr-admirał Eduardo Vandekolk, minister marynarki.

Bezwzględnie wysłano zawiadomienie do pojedynczych gubernatorów prowincyj o ogłoszeniu republiki. Przy niedołężnej komunikacji, jaka panuje w Brazylii, nie wszędzie wiadomość ta doszła prędko. W niektórych prowincjach otrzymano ją wtenczas, gdy cesarz Dom Pedro II-gi, wraz z rodziną, znajdował się blisko Europy.

I oto znowu fakt charakterystyczny. Na doniosłe stanowiska gubernatorów posyłano dostojników nieposzlakowanej prawowierności monarchicznej, zazwyczaj osoby, posiadające szczególne zaufanie cesarza. Otóż żadnemu z tych panów nie przyszło nawet do głowy jakkolwiek założyć opozycję, a każdy z milczącą rezygnacją przyjął obalenie cesarstwa, jako fakt dokonany. To samo czynili i głównodowodzący wojskami na prowincyi. O jednym z tych osta-

tnich opowiadano mi, że wprawdzie w pierwszej chwili złożył szpadę i oświadczył, iż republice służyć nie może, w kilka dni jednak później rozmyślił się i przyjął nominację prowizorycznego gubernatora i głównodowodzącego wojskami tejże samej prowincyi.

Jednem słowem, za przykładem Rio poszła i prowincya i stał się fakt, w historyi zapewne jedyny, że w kraju w znacznej większości monarchicznym, republika w ciągu niespełna tygodnia bez najmniejszego oporu święciła swój tryumf.

W prasie stołecznej dwa tylko dzienniki, organ Vicomte'a Uro-Preto „Tribuna Liberal“ i inny dziennik „Journal do Brasil“ odważyły się zamach stanu surowej poddać krytyce i zająć stanowisko republice nieprzyjemne. Rząd prowizoryczny postanowił jednak wszelkiej opozycji odrazu położyć koniec i oto w tej samej Brazylii, gdzie istniała najzupełniejsza wolność słowa i prasy, posunięta aż do najhaniebniejszego szkalowania osoby samego monarchy, regentki i rodziny cesarskiej, jeden z pierwszych dekrétów rządu prowizorycznego, wydany d. 23-go grudnia, obwieszczał, że: „Ktokolwiek okazałby się winnym spiskowania przeciwko republice i jej rządowi; wywoływania przez słowa, pisma lub czyny, rokoszu cywilnego, lub niekarności wojskowej; rozsiewania między wojskiem wiadomości nieprzychylnych republice — będzie oddany pod sąd wojenny.“ Wobec tego „Tribuna“ zaprzestała wychodzić, tem więcej, że kilku młokosów, z rewolwerami wpadłszy do redakcyi, zburzyli ją, „Journal do Brasil“ zaś zajął stanowisko bezbarwne.

Z mocy powyższego dekretu Vicomte Uro-Preto, jego brat Carlos Alfonso, senator Gaspar da Silveira Martins i b. minister sprawiedliwości Candido Oliveira, jako podejrzani o sprzyjanie cesarstwu, poszli na wygnanie. Teroryzm zakwitł na dobre. Ludzie, o których dotąd nikt nie słyszał, wydostawszy się zupełnie niespodzianie, drogą republikańskiej hypokryzyi, protekeyi lub nepotyzmu, na wybitne stanowiska, objawili swoją władzę przez szerzenie grozy i postrachu. Biura i urzędy zapełniły się nowicyuszami, niemającymi pojęcia o służbie państwowej. Nawet do armii zakradła się protekeya, dzięki której faworyzowani z jakichkolwiek powodów porucznicy awansowali na majorów i pułkowników. Przewrót dokonywał się wszędzie.

Śpieszno też było rządowi prowizorycznemu zabrać się do reform wewnętrznych, rozpoczął je zaś od rozwiązania izby deputowanych, zniesienia senatu i rady państwa, rozpędzenia prowincjonalnych ciał prawodawczych, przyrzekając wzamian za to, że po upływie roku zwoła konstytuante dla ułożenia i zatwierdzenia nowej konstytucyi. W trop za tem poszły i inne reformy, a więc najpierw rozdział Kościoła od państwa; nadanie szkole i cmentarzom charakteru czysto świeckiego; zniesienie religii państwowej, rozwiązanie gwardyi narodowej, z wyjątkiem na wypadek wojny; zmiana radykalna prawa bankowego, uchylene wszystkich tytułów i zastąpienie ich przez demokratyczne „wy“ i t. d.

Kiedy słyszałem opowiadanie o tych wszystkich

dobrodziejstwach, które, jak grad, spadły nagle na Brazylię, zapytałem jednego z opowiadających, czy to nie było zawiele odrazu, czy kraj tak młody i mało rozwinięty zdołał strawić tyle reform?

— Ee! — odparł mi na to — bo wy europejczycy jesteście anemiczni i zblazowani. My, amerykańanie, mamy krew gorącą i młodą. Trawimy z łatwością to, co wam psuje żołądek!

Tymczasem w łonie rządu prowizorycznego zaczęły wywiązywać się pewne kwasy. Benjamin Constant uczuł się niezadowolonym z kłopotliwych obowiązków ministra wojny, oddał więc swoją tekę w ręce gen. Floriano Pexoto, sam zaś objął nowe stanowisko ministra wychowania publicznego, poczt i telegrafów. P. Aristides Lobo, minister spraw wewnętrznych, nie mógł się pogodzić z resztą kolegów, skutkiem czego ustąpił miejsca p. Cesario Alvim. W temże samem położeniu znalazł się minister rolnictwa, handlu i robót publicznych, p. Demetrio Ribeiro, którego zastąpił osławiony Glicerio.

Temu ostatniemu pragnę poświęcić kilka dłuższych uwag, gdyż on to właśnie na długie czasy upamiętnił, w znaczeniu odstraszającem, rządy prowizoryczne.

Otóż p. Francisco Glicerio był sobie adwokatem, a raczej, jak mówią niektórzy, dependentem adwokata, gdyż żadnych studyów prawniczych nie kończył, w małym, choć z powodu okolicznych plantacyj kawy, zamożnem miasteczku prowincyi St. Paulo, w Campinas. Uchodził za człowieka zdolnego i spryt-

nego, a przytem odgrywał z powodzeniem rolę małościasteczkowego trybuna republikańskiego. Sława jego wszakże po za Campinas i okolicę nie sięgała. Jaka drogą właściwie p. Glicerio dostał się do rządu prowizorycznego, a w dodatku na tak doniosłe stanowisko ministra rolnictwa, handlu i robót publicznych — o czem chyba z dotychczasowej swojej praktyki najmniejszego nie miał pojęcia — nikt mnie nie umiał objaśnić. Ale mniejsza o to, dosyć, że ni ztąd ni zowąd, p. Glicerio znalazł się w posiadaniu teki opróżnionej przez p. Demetrio Ribeiro.

Nowy minister miał szeroką rękę. Dawał na wszystkie strony, każdemu, kto chciał i co chciał. W ciągu niespełna 6-ciu miesięcy swoich rządów wydał on ni mniej, ni więcej, tylko około 2.000 różnorodnych koncesyj i przywilejów. Tego jednak było mu nie dosyć; wychodząc z zasady, że państwo niepotrzebnie posiada ziemie, że towarzystwa i osoby prywatne zużytkują ją lepiej, rozdarował, lub tak jak rozdarował, bo odstępował za cenę poprostu śmieszną, 30,691.000 hektarów ziemi rządowych. Rozmachął się zaś w swojej szczodrośliwości tak dalece, że w niektórych prowincjach dał więcej ziemi, niż rząd posiadał. Oto np., według „Relatorio da agricultura,” z r. 1887, w prowincyi Pernambuco rząd nie posiadał wcale ziemi, p. Glicerio zaś rozdał tam 910.000 hektarów. W prowincyi Espirito Santo rząd był właścicielem około 500.000 hektarów, p. minister rozszafował tymczasem 2,020.000. Tak samo stało się i w niektórych innych prowincjach. Nadto, jak już wspo-

mniałem, wydał on koncesye na sprowadzenie 1,415.750 rodzin emigrantów, z przywilejami, przyznanemi przez prawo emigracyjne z czerwca 1890 r. Wogóle zaciągnięte z tego tytułu za pośrednictwem p. Glicerio zobowiązania reprezentują okrągłą sumkę 787,956.271 milrejsów, czyli przeszło 1½ miliarda franków.

Dodajmy do tego, że tenże p. Glicerio wydał koncesyj na przeszło 20.000 kilometrów budowy dróg żelaznych, zawarłszy odpowiednie kontrakty z towarzystwami. Niektóre z tych kolei mają zagwarantowane 7% dochodu. Wiele koncesyj i kontraktów kolejowych pana Glicerio nie wejdzie nigdy w wykonanie, koncesyonaryusze liczą tylko na sowitą indemnizację. Co do tego jednak istnieje prejudykat, którego autorem nie jest już pan Glicerio, ale sięga on czasów cesarstwa. Oto jeszcze w r. 1880 wydano pewnemu towarzystwu koncesyę na budowę 4.000 kilometrów drogi żel. w prowincyi Santa Catarina, z gwarancją 7% dochodu. Towarzystwo porobiło pomiary, lecz wtedy rząd namyslił się, iż kolej przyniesie mu znaczne straty i dlatego odkupił koncesyę za 4.000 kontraktów, czyli około 8,000.000 fr.

W tem położeniu znajdzie się wielu koncesyonaryuszów p. Glicerio. Wymieniono mi między innymi niejakiego p. Napoleona Poeta, który, jako zagorzały republikanin, otrzymał koncesyę na kolej Estrello-Chopin, z licznymi gałęziami, w ogóle długości 2.000 kilometrów, z gwarancją 7%. Kolej ta nigdy nie wejdzie w wykonanie, jak mnie zapewniano, gdyż komunikacja morska krótszą i tańszą na długie

dziesiątki lat jest w tem miejscu. Przebąkują więc już dzisiaj, że p. Poeta otrzyma 6.000 kontów odszkodowania, a koncesya spocznie w archiwum ministerium robót publicznych.

Alę jeszcze jeden fakt szczodrobliwości p. Glicerio, który podał „Journal do Comerço“ z d. 30-go kwietnia b. r. W prowincyi Rio Grande do Sul rząd brazylijski posiadał 6 kilometrów kwadratowych doskonałych pastwisk, które, przylegając do Paraguaju, byłyby dla niego doskonałym nabytkiem. W r. 1887 rząd paraguajski traktował tedy o nabycie owych pastwisk i ofiarowywał za nie 400 kontów, rząd cesarski jednak cenę uznał za niską i zgoda nie przyszła do skutku. Innego wszakże zdania był p. Glicerio i te same pastwiska sprzedał za 4½ konta. Rząd obecny kupno to unieważnił.

Łatwo się domysleć, że wobec tego rodzaju gospodarki, p. Glicerio stał się w Brazylii przysłowio-
wym ministrem, i że zarówno około jego osoby, jak i działalności, osnuwają formalne legendy.

Towarzyszem p. Glicerio, i choć nie w tych rozmiarach, co on, ministrem z szeroką ręką, był, dzierżący tekę finansów, p. Ruiz Barboza. Z przekonań liberał, acz monarchista, pochodził on z Bahii, zkąd, jako deputowany, przybył do Rio. Prawnik, bystry, sprytny i niezmiernie zdolny, używał także niemałego rozgłosu, jako dziennikarz. Nie łaskawą wszakże była dla niego fortuna. Podobno była chwila, kiedy Vicomte Uro-Preto chciał mu w swoim gabinecie ofiarować tekę finansów. Kombinacya ta wszakże, dla

niewiadomych przyczyn, nie doszła do skutku. Żył więc sobie niezbyt rozkosznie w stolicy p. Barboza, trochę trudniąc się adwokaturą, trochę dziennikarstwem.

W czasie zamachu stanu, z liberała i monarchisty — piastował nawet wysoką godność radcy ce-



Ruiz Barboza.

sarskiego — nagle przedzierzgnął się w zagorzałego republikanina i został ministrem finansów w rządzie prowizorycznym.

Jak p. Glicerio szafował ziemią, tak p. Ruiz Barboza tworzył banki, zakładał towarzystwa akcyjne, które go wybierały swoim prezesem, wypuszczał emisje papierów publicznych, a przede wszystkim roz-

budzał gorączkę giełdową. Za jego rządów, kto żył, grał na giełdzie. Olbrzymie fortuny powstawały często w ciągu kilku dni, aby upaść równie prędko. Sprytniejsi, złapawszy trochę grosza, chronili się do Europy. Jednem słowem, dla spekulantów nastały złote czasy.

Ostatecznie i na p. Barbozę przyszła kreska, i on musiał ustąpić, zostawiając, równie jak p. Glicerio, niezbyt pochlebną po sobie sławę. W każdym razie, zaliczają go obecnie do najbogatszych ludzi w Rio, ale za to, kiedy niegdyś za franka płacono 330 rejsów, obecnie płacić trzeba 560.

O marszałku Fonseca powiadają, że jest uczciwym, dla wszelkiej frymarki nieprzystępnym, ale za to zupełnie niedołężnym i o zarządzie krajem najmniejszego nie mającym pojęcia. Reszta ministrów rządu prowizorycznego była bez znaczenia i bez wpływu na bieg rzeczy.

Mściwa ręka zawisła jednak nad głównymi sprawcami zamachu z 15-go listopada. Benjamin Constant umarł, jak opowiadają, w ostatnich chwilach trapiiony strasznymi widziadłami i wyrzutami sumienia; Bocayuwa poszedł za jego przykładem; marszałka Fonseci zaś dni są policzone, rozwinięta bowiem choroba serca i astma zagraża lada chwila jego życiu i trzyma go zupełnie zdala od spraw publicznych.

Zbliżał się wreszcie koniec osławionych rządów prowizorycznych.

W listopadzie r. z., według zapowiedzi rządu prowizorycznego, zebrała się konstytuantą, mająca

wypracować nowe podstawy dla życia politycznego i społecznego Brazylii. Republikanie naturalnie posiadali w niej tak dalece absolutną większość, że, o ile mi wiadomo, żaden monarchista nie zasiadł w ich gronie. Byłby to może tryumf dla republiki, dowód, że znalazła ona uznanie całego kraju, gdyby nie ta okoliczność, że w Ameryce południowej zwycięża przy wyborach zawsze ten, kto ma siłę. Pod tym względem zresztą republikanie brazylijscy nie robili sobie ceremonii, lecz jawnie i szczerze terroryzowali swoich przeciwników wszelkimi sposobami.

Jak miano swoje, tak i konstytucję, zapożyczyła nowa republika od Stanów Zjednoczonych, właściwie więc niema co nawet wymieniać autora, lub autorów, jest bowiem ślepą kopią tamtej. Każdy stan posiada swoją własną autonomię i rządzi się przez własny kongres, złożony z 35 członków. Sprawy ogólne należą do kongresu związkowego i senatu, jako izby wyższej, do których pojedyncze stany wybierają, o ile mi się zdaje, po trzech przedstawicieli. Władzę naczelną spełnia prezydent, wybrany na pierwszy raz przez kongres i senat, następnie prezydenta wybierać będzie naród. W tenże sposób mają również w przyszłości być wybierani prezesi stanów. Tymczasem zaś dopełnią tego wyboru kongresy stanowe. Prezydent spełnia władzę wykonawczą za pośrednictwem sekretarzy stanu, sam jednak jest tylko odpowiedzialny przed kongresem związkowym i senatem. Okres wyborczy wynosi 4 lata.

Konstytucya nadto objęła wszystkie wspomniane

już reformy rządu prowizorycznego, a więc: rozdział Kościoła od państwa, zniesienie religii państwowej, uchylenie wszelkich orderów i tytułów i t. p. Co do tych ostatnich, konstytucya nawet tak dalece była surową, że każdego, ktoby przyjął order lub tytuł, pozbawiała praw obywatelskich. Pod tym względem jednak radzą sobie brazylijczycy, niezmiernie cheiwi wszelkich błyskotek i honorów, w ten sposób, że odnoszą zakaz tylko na przyszłość, a nie rozciągają go do tytułów i orderów już nabytych. Sam p. Lucena, aktualny naczelnik rządu, najspokojniej, w urzędowych nawet czynnościach, posługuje się tytułem barona, co naturalnie w sferach nieutytułowanych okrutnie wywołuje oburzenie.

Oprócz konstytucyi związkowej, każdy stan posiada własną konstytucyę, którą układa na swoim kongresie, a następnie przedstawia do zatwierdzenia kongresowi związkowemu i senatowi. W chwili, gdy opuszczałem Brazylię, właśnie rozpoczynały się prace konstytucyjne kongresów stanowych.

Republika więc, tym sposobem, ze stanu prowizorycznego przeszła z końcem roku zeszłego do normalnego. Jak mało jednak okazała się wdzięczną swoim twórcom, niechaj świadczy za najwymowniejszy dowód, iż marszałek Deodoro da Fonseca bardzo nieznaczną większością został wybrany prezydentem. Spodziewano się nawet powszechnie, że wobec tak słabego wyrazu zaufania do swej osoby, nie przyjmie ofiarowanej godności, jednakże otoczenie najbliższe zniewoliło go i pozostał na stanowisku. Marszałek

nigdy nie cieszył się popularnością wśród opinii publicznej, ten wszakże brak godności i żądza *à tout prix* pozostania przy władzy, otoczyła jego osobę powszechną niechęcią. Przyczyniają się zresztą do tego różni kuzynkowie prezydenta, którzy pod osłoną bezkarności, jaką im protekcja potężnego wujaszka udziela, dopuszczają się najróżnorodniejszych wybryków i nadużyć.

Pierwszym, rzeczywiście dodatnim, czynem marszałka Deodoro, w charakterze normalnego prezydenta, było rozpędzenie na cztery wiatry rządu prowizorycznego. Czy w tym względzie poszedł on za cudzem natchnieniem, czy też rzeczywiście rozumiał, iż opinia publiczna domaga się od niego tego kroku, niepodobna osądzić; dosyć, że powołany przez niego gabinet nie miał nic wspólnego z dawniejszymi mocowładcami. Większość nowych sekretarzów stanu złożyła już dawniej, za czasów cesarstwa, dowody uzdolnienia, a przede wszystkim dawała pewną gwarancję, iż z prowizoryczną gospodarką stanowczo zerwie. Nie można inaczej powiedzieć, jak tylko, że nowy gabinet powitany został, jako zapowiedź lepszych dla Brazylii czasów. Skład jego był następujący:

Bar. Lucena — rolnictwo, handel i roboty publiczne; dr. Justo Leite Chermont, były gubernator Para — sprawy zagraniczne; Tristao de Alenca Arapi — sprawy wewnętrzne oraz prowizorycznie finanse, dopóki tej ostatniej teki nie obejmie dotychczasowy gubernator prowincyi San Paulo, Americo Brasiliense; gen. Antonio Nicolao Falco da Frota —

wojnę; Antonio Luiz Alfonso de Corevalho — sprawiedliwość; Joao Barbelho Uchoa Cavalcanti — wychowanie publiczne oraz pocztę i telegrafy; wreszcie kontradmirał Fortunato Forster Vidal — marynarkę.

Pomimo, że jakościowo nowy gabinet zadawał opinię publiczną, wielu jednak republikanów znalazło w jego składzie poważny kamień obrazy. Oto wśród nowych sekretarzów stanu zasiadło aż czterech zdeklarowanych monarchistów, a mianowicie: br. Lucena, Araripi, Cavalcanti i Vidal. Jaktó! — wołali z oburzeniem — więc trzeba aż udawać się do obozu wrogów, aby stworzyć przyzwoity rząd? Czyż wśród nas nie ma dosyć ludzi, którzyby ze wszech miar odpowiedzieli potrzebom i interesom republiki? Mówiąc „wśród nas,” każdy miał mniej więcej siebie samego na myśli, brazylijczycy bowiem pod tym względem są podobni do nas. Czują oni w sobie drzemiące talenta do wszystkiego i nie mogą przebaczyć, że ich dotąd należycie nie wyzyskano, przekonani, iż dopiero wówczas świat podziwiałby prawdziwe geniusze.

Podwójna przeto opozycja, to jest osobista i republikańska, stanęła od pierwszej chwili na drodze nowego rządu, śledząc zaciekle za każdym jego krokiem, aby przy lada jakimś pozorze podnieść alarm. W istocie, z natury rzeczy będąc podczas pobytu mego w Brazylii świadkiem biegu rzeczy, muszę przyznać, że na tamtejszego ministra, lub jak obecnie sekretarza stanu, trzeba przedewszystkiem stalowych nerwów, aby pozostać głuchym i nieczułym na wszystko, co się wokoło niego dzieje. Podziwiałem też rze-

czywiście szczególnie br. Lucenę, który już to z powodu ważności swojej teki, już dla wyróżniających go z pomiędzy reszty kolegów zdolności, przewodnie w rządzie zajmuje stanowisko, ale też za to jednocześnie jest ową tarczą, w którą zewsząd uderzają pociski. Czego od niego nie żądają i co mu nie zarzucają? Jeżeli jednak kto, to br. Lucena, jest stworzony na brazylijskiego ministra. Idzie on raz wytkniętą sobie drogą, nie bacząc na nikogo. Miałem już sposobność na innym miejscu scharakteryzować bliżej dzisiejszego ministra rolnictwa, handlu i robót publicznych, jest to więc nasz dobry znajomy.

Wybitnym również członkiem obecnego gabinetu jest tymczasowy sekretarz dla finansów, p. Araripi. Nie odznacza się on szczególnymi zdolnościami, ale już to samo, że jest antytezą p. Barbozy, zjednać mu musi szacunek każdego przyzwoitego człowieka. O ile tamten szafował groszem publicznym na wszystkie strony, o tyle ten każdego rejsa niemal trzyma w żelaznych kleszczach. Wszelkie gründerstwa i szacherki mają w nim nieubłaganego wroga. Nazywają go powszechnie „psem,” leżącym na skrzyni skarbu.

Reszta panów sekretarzów nie budzi żywszego interesu.

Wspomniałem, że rząd dzisiejszy podwójną i zacieklą ma przeciwko sobie opozycję. Takie jednak trudności posiadać mniej więcej będzie każdy rząd w Brazylii; obecny uczynił jednakże jeden krok, który powszechnie przypisują baronowi Lucenie, a który istotnie może pociągnąć dla kraju wielce niekorzystne

następstwa. Oto, pod pozorem potrzeby złota, wprowadzono od marca r. b. cło w złocie. Środek ten, który w krajach o budzącym się przemyśle stanowić może dla niego poważną dźwignię, w Brazylii jest poprostu niedorzeczny i zgubny. Brazylia do tej chwili własnego przemysłu prawie nie posiada i skutkiem tego jest zmuszona wszystko sprowadzać z Europy.



Baron Lucena.

Lecz nietylko wytwory fabryk europejskich zaopatrują rynki brazylijskie, ale nawet niektóre artykuły żywności, jak: kartofie, mąkę pszenną, wino i t. d. sprowadza się z drugiej półkuli. Można więc sobie łatwo wyobrazić, jaką drożyznę spowodowało to znaczne podwyższenie cła, i to w chwili, kiedy waluta brazylijska niemiłosiernie spada.

Kupcy znaleźli się w formalnej rozpacz, ceny

bowiem niektórych towarów podróżały w dwójnásób. Odbywano rózne meetingi, wystosowywano do rządu memoryały, prasa podniosła ogromną wrzawę; rząd jednak pozostał niewzruszonym. Nie widząc więc innej rady, chwycono się środka radykalnego. Kupcy po prostu zawarli ze sobą zmwę, aby, dopóki rząd cła w złocie nie zniesie, nie z Europy nie sprowadzać. Takie przynajmniej postanowienie powziął świat kupiecki w Bahii, Pernambuco i Santos. Naturalnie, spowodować to musi w handlu poważną stagnacyę. Skarb również ponosi niemałe straty, gdyż komory całemi tygodniami nie mają żadnych wpływów. Co jednak najważniejsze, że liczba malkontentów z obecnego stanu rzeczy znakomicie wzrasta. Jestto więc woda na młyn opozycyi, która bije na alarm, zapowiadając najopłakańsze następstwa podobnej gospodarki.

Czem się to skończy, czy rząd ustąpi, czy też powoli stosunki handlowe się ułożą, trudno odgadnąć, tymczasem jednak panuje zamęt ogromny i kto żyw ścisła pięść przeciwko dzisiejszym mocowładcom brazylijskim.

Miałem sposobność stykać się z przedstawicielami różnych prądów politycznych. Nie dziwiło mnie zgoła, że zwolennicy cesarstwa przeniknięci byli nawskróś czarnym pesymizmem, że ustawicznie widzieli oni otchłań, w którą prędzej czy później runąć musi rzeczpospolita; ale co wistocie wprowadzało mnie w zdumienie, to, że nie spotkałem ani jednego republikanina, który byłby zadowolony z obecnego stanu rzeczy. Ci ostatni nawet najzawzięciej gardlują prze-

ciwko rządowi. Zapowiadali oni, że obecna sesja kongresu będzie widownią walki, jakiej dotąd Brazylia nie widziała. Według ich zdania, wszystko jest złe i potrzebuje z gruntu przeistoczenia. Jednem słowem, istne *bellum omnium contra omnes* — oto, co zdaje się czekać Brazylię w najbliższej przyszłości.

Wobec tego położenia, każdy dojdzie do wniosku, że restauracya cesarstwa jest oczywistą koniecznością. Otóż tak nie jest. Jak w chwili upadku cesarstwo nie znalazło nikogo, ktoby miał odwagę mężnie stanąć w jego obronie, tak i obecnie jego liczni zwolennicy zgoła ochoty do czynnego wystąpienia nie zdradzają. Jak wszędzie i we wszystkim, tak i tutaj, gnuśność i inercya biorą górę. Jeden ogląda się na drugiego; każdy z utęsknieniem oczekuje przewrotu, byleby tylko dokonał się on bez niego, a nadewszystko byleby on wyszedł z tego cało. Jak przypadek stworzył republikę, tak samo również przypadek, lub zbieg okoliczności, odbudować może cesarstwo. Kraj tak jedno, jak drugie, z równym przyjmie entuzjazmem.

Jest jednak istotne niebezpieczeństwo, które zagraża Brazylii i do którego jest pchana całą siłą swoich stosunków, a tem: rozpadnięcie się całości na kilka mniejszych samodzielnych republik. Dosyć wziąć pod uwagę olbrzymie przestrzenie, których silny i energiczny zarząd jest faktycznie niemożliwy, aby zrozumieć, że groza ta nie jest zgoła przywidzeniem. Nadto siła wytwórcza i skutkiem tego bogactwo pojedynczych prowincyj nie są równe.

Dzięki temu, pracować one muszą w nierównej

mierze na utrzymanie olbrzymiej maszyny państwowej. Takie na przykład prowincye, jak Para ze swoją produkcją kauczuku, Pernambuco — trzciny cukrowej, San Paulo — kawy, Parana, St. Catarina, a nawet Rio Grande — maty i produktów rolnych, a wreszcie Rio Janeiro ze swoim bogactwem stołecznem, nie mogą przecież wytrzymać porównania z prowincjami: Maronhao, Piahy, Sergipe, Parahyba, Mato Grosso, Goyas i t. d., pozostającymi w stanie zupełnej dzikości, nie wytwarzającymi nic, lub prawie nic, a kosztującymi skarb bardzo wiele. Wreszcie środki separatyzmu istnieją oddawna między pierwszego nawet rodzaju prowincjami. Tacy na przykład paulistowie, czyli mieszkańcy prowincyi San Paulo, uważają się za coś wyższego od reszty i przywłaszczają sobie przywilej rządzenia i przewodniczenia w całej Brazylii. Mieszkaniec Parany znowu jest przekonany, że jego prowincya stanowi złote jabłko całej Brazylii.

— Nie widziałeś pan Minas Geraes? — pytał pewien kupiec tamtejszy, a na moją przeczącą odpowiedź odparł: — Ależ to wielka szkoda! Przecież to perła całej Brazylii. Coby ona znaczyła bez Minas Geraes!

Z podobnemi zdaniem spotyka się ciągle.

Wreszcie olbrzymi militaryzm, który od czasu republiki zapanował w stolicy, budzi wielki okrzyk zgorszenia na prowincyi. Więc po to, wołają, obaliliśmy cesarstwo, aby za nasze krwawe pieniądze stworzyć sobie despotyzm wojskowy? A jednak w tem wojsku, które dzisiaj jest dwa razy niemal liczniejsze,

niż za cesarstwa, cała siła republiki, z którą na długo jeszcze rozstać się nie może, bez podkopania własnej egzystencji.

Separatyzm więc, w tych lub owych rozmiarach, oto najbliższa groza, która zawisła nad Brazylią.

Nie mam bynajmniej pretensyi, abym w tych krótkich zarysach mógł dać wyczerpujący obraz stosunków politycznych w Brazylii, ale sądzę, że to już wystarczy, żeby wytworzyć przekonanie o kruchych podstawach, na jakich spoczywa obecny stan rzeczy. Rząd dzisiejszy, jakkolwiek o całe niebo lepszy, a nadewszystko uczciwszy od poprzedniego, nie posiada jednak w samej republice dosyć poparcia, żeby mógł liczyć na dłuższy żywot. Zresztą w Brazylii, jak w każdym, zaledwie w powijakach cywilizacyjnych spoczywającym państwie, tyle istnieje niebezpiecznych czynników, których opanować i w pewne karby spójni państwowej ująć niepodobna, a cóż dopiero, gdy ową siłą jednoczącą, organizującą i rządzącą, ma być w tych warunkach powstała republika „Stanów zjednoczonych Brazylii!“

X.

Pierwsze wrażenia. — Plac Dom Pedra II. — Ulice pryncypalne. — Tramwaje. — Lapa. — Botafogo. — Ogród botaniczny. — Corcovado-Tijuca. — Plac wyścigowy. — Izabell. — Casa misericordissima. — Żółta febra. — Berbi-beri. — Doki. — Kościoły. — Gospodarka Bractw. — Dwie wizyty. — Ostatnie wrażenia.

Rio Janeiro streszcza w sobie pod wieloma względami całą Brazylię, jej przymioty i wady, bogactwa i nędzę, uroki i widma.

Kto od strony morza obserwuje miasto, rzucone, jak fantazya, u stoku gór i rozsiane po ich pochyłościach, wierzyć gotów, że w mieście samem odnajdzie dopiero istne cuda ręki ludzkiej; a jednak wystarczy postawić stopę na bruku stolicy brazylijskiej, aby doznać gorzkiego rozczarowania.

Kto podziwia owe niewidziane dotąd bogactwa przyrody, przykuwające jego zdumiony wzrok, mniema niewątpliwie, że człowiek żyć tutaj musi niby w krainie, płynącej mlekiem i miodem. Tymczasem rze-

czywistość odsłania całe morze łez, które niedoła wyciska.

Kto raz odetchnie świeżem powietrzem zatoki, gotów przysiądź, że tutaj pełną piersią wylania się życie. Niestety, wnet się przekona, że o kilkaset kroków czyha nań zaraza i śmierć.

Takiem jest Rio-Janeiro — taką jest Brazylia.

Wprawdzie, przebiegając za interesami różne dzielnice i ulice miasta, miałbym być od samego początku sposobność oglądać osobliwości brazylijskiej stolicy, ale ani moja myśl, ani humor i usposobienie nie były potemu. Widok okropnej niedoli, której zaradzić skutecznie niepodobna, ustawiczne łzy, rozdzierające serce błagania, wprowadzają w taki stan rozdrażnienia, że się traci ochotę do wszystkiego i chciałoby się zagrzebać pod ziemię, byleby nie nie widzieć i nie słyszeć. Pocziwy jednak p. Alvares (syn), chcąc widocznie wyrwać mnie z tego przygnębienia, nie przestawał nalegać, abym mu poświęcił jakieś półtora dnia wyłącznie na obejrzenie miasta. Z początku opierałem się, ale kiedy, skutkiem przyczyn odemnie niezależnych, wyjazd mój na prowincję opóźnił się o dwa dni, przyjąłem ofiarowane mi tak uprzejmie przewodnictwo i we dwóch wybraliśmy się na zwiedzenie miasta.

Jeszcze przed trzema laty Rio liczyło zaledwie 500.000 mieszkańców, obecnie liczba ta wzrosła do 800.000, są zaś tacy, którzy twierdzą, że przeszła nawet milion. Powodem tak niesłychanego wzrostu ludności jest w części gorączka spekulacyjna, która od

czasu ogłoszenia republiki szerokie przybrała rozmiary i z różnych stron ściąga żądnych zrobienia fortuny. Daleko więcej przyczynił się jednak do tego napływ cudzoziemców z Europy i Argentyny. Mianowicie też z tej ostatniej, skutkiem krachu finansowego, kto może, ucieka do Rio, w nadziei, że tutaj odbije poniesione tam straty.

Dzięki tym okolicznościom, ruch na ulicach panuje olbrzymi. Tłumy snują się po wąskich chodnikach w tę i tamtę stronę, wypychane co kilkanaście kroków na ulicę z powodu ogrodzeń przy nowobudujących się domach. Przy panującym cieple, ustawiczny ten tłok daje się srodze we znaki i ręczę, że jeden z moich przyjaciół w Warszawie, już dlatego samego, przekląłby w czambuł stolicę Brazylii. Ale trudno, powoli można się przyzwyczaić do wszystkiego, więc po kilku dniach przeciskanie się wśród białych i czarnych przechodniów staje się czemś zwykłym i naturalnem.

Jeżeli, jak już wspomniałem na innem miejscu, widok Rio od strony zatoki jest wspaniały i niemal niezrównany, natomiast pierwsze postawienie stopy na rozpalonym bruku gotuje nieprzyjemne rozczarowanie.

Plac Dom Pedra II, do którego zazwyczaj przybijają barki i małe statki parowe z podróżnymi, nie przedstawia nic ciekawego. Jestto obszerny czworobok, zabudowany niezbyt czysto wyglądającymi pospolitemi domami, którego ozdobą ma być drewniana rotunda, mieszcząca w sobie panoramę stolicy Bra-



Przekupka owoców w Rio.

zylili. Panorama ta, wykonana przez dwóch miejscowych malarzy, otrzymała podobno medal złoty na wystawie paryskiej. Przypuszczam jednak, że sędziowie musieli być wielce pobłażliwi, gdyż obraz pod wieloma względami pozostawia dużo do życzenia.

Plac Dom Pedra zamyka niewielki i niedbale utrzymany skwer. Ztąd w kierunku południowo-zachodnim ciągnie się główna ulica *Premeira Marçao*. Nie posiada ona żadnych znaczniejszych gmachów, a świeżo budująca się giełda, jedyny zwracający na siebie uwagę budynek, grzeszy ciężkim stylem i przesadą w ornamentyce. Domy, jak w całej starej dzielnicy, zbudowanej jeszcze przez Portugalczyków, są małe, wąskie i szczytami zwrócone ku ulicy.

Pomimo pryncypalnego charakteru, ulica niczem tego nie usprawiedliwia. Jest ona przedewszystkiem wąska i brudna, a potrzeba chustki do zasłonięcia nosa daje się uczuwać na każdym kroku. Wogóle assenizacya całego miasta pozostawia wiele do życzenia. Pomimo przeprowadzonej niedawno — nawiasem mówiąc, bardzo niedbale i wadliwie — kanalizacyi, cuchnąca woń z rynsztoków i ścieków jest nieznosna. Na ulicy pełno śmieci, ogryzków od pomarańcz i bananów, okrawków papieru, a także, od czasu do czasu, zdechły kot lub szczur, których usuwają dopiero w nocy. Trotuary, aczkolwiek granitowe, są wąskie i nierówne, przytem zalegający je przekupnie i trudniący się czyszczeniem obuwia, tamują swobodną cyrkulacyę.

Od ulicy „*Premeira Marçao*“ biegną pod kątem

prostym inne ulice, przecinane przez ciągnące się równolegle z pierwszą, tak, że cała ta część miasta przedstawia się, jak zupełnie symetryczna szachownica. Większa część tych ulic jest zaledwie cztery do pięciu metrów szeroka, pomimo to przebiegają po nich małe tramwaje, zaprzężnięte w jednego muła, które przechodniów zmuszają do chronienia się w pierwszych lepszych drzwiach, jeżeli nie chcą być przejechani. Woźnica, zazwyczaj murzyn, lub mulat, nie troszczy się zgoła o to i gwiżdżąc przeraźliwie, pędzi, co muł wyskoczy. Widocznie jednak publiczność przywykła do tego, bo nikt się nie gniewa, a każdy, widząc nadchodzący tramwaj, umyka, co sił.

Z bocznych ulic najwięcej charakterystyczną i najbardziej ruchliwą jest rua *Uvidor*. Tutaj znajdują się najbogatsze sklepy i redakcje pism. Jest ona zaledwie pięć metrów szeroka i służy za punkt zborny dla wszystkich, mających jakibądź interes. Z tego powodu panuje na niej w ciągu dnia, do późnego wieczora, formalny ścisk. Ruch kołowy jest tutaj do dziesiątej wieczorem wstrzymany. Każdy Brazylijczyk nie ma zwyczaju załatwiać interesu, lub omawiać jakiejś ważnej sprawy u siebie w domu, lub w biurze; czyni to natomiast na ulicy. Idzie tedy na rua *Uvidor* i może być pewien, że spotka tam kogo szuka i albo stojąc na ulicy, lub wszedłszy do jednej z licznych kawiarni, załatwi swój interes. Od godziny jedenastej do dwunastej roi się od ludzi, tak, że trudno się przecisnąć. Wieczorem, gdy tłok jest mniejszy, a szczególnie w święta narodowe, kiedy zapalają na rozpostartych

co dziesięć metrów w poprzek łukach tysiące światel gazowych, rua *Uvidor* przedstawia się istotnie wspaniale.

Z innych ulic wymienię: rua *Sete Setembro*, ochrzczona tém mianem na pamiątkę ogłoszenia niezależności Brazylii w dniu 7 września 1822 r., jedna z najbardziej handlowych, ale równocześnie i najwięcej brudnych i ciasnych; rua *Quitanda*, *San Bento* i rua *Alfundega*, gdzie mieści się komora, biuro telegrafu podmorskiego, oraz agencya wszystkich towarzystw żeglugi zaatlantyckiej.

Wszystkie one, pod względem niechlujstwa i ciasnoty, są do siebie podobne.

Na końcu rua *Uvidor* znajduje się obszerny plac św. Franciszka, z którego wyrusza znaczna część tramwajów. Należy istotnie przyznać, że niema chyba na świecie miasta z tak rozgałęzioną siecią tramwajową, jak Rio Janeiro. Małe i większe, zaprzężnięte w jednego, lub dwa muły, wagoniki i wagony, dążą na wszystkie strony, łącząc najodleglejsze miejscowości nawet z centrum miasta. Opłata, stosownie do odległości, wynosi od 100 do 300 rejsów, czyli od 7 do 21 kopiejek. Biegący cwałem wagon zatrzymuje się na każde żądanie. Wszystkie są zaś zazwyczaj przepełnione, tak, że ludzie czepiają się po stopniach. Zdumiewała mnie niejednokrotnie siła mułów. Dwoje tych niewielkich, zazwyczaj myszatyh stworzonek, o długich uszach i końskim ogonie, biegnie pełnym galopem, ciągnąc za sobą wagon, mieszczący przeszło 50 osób. Prawda, że biją je niemiłosiernie, ale podobno

także pasą dobrze. Pod górę przyprzegają zazwyczaj drugą parę, ale wtedy wchodzi także dwóch drabów z długimi batami i bezustanku ćwiczą nimi muły.

Z okazji tramwajów opowiadano mi wypadek, który wymownie świadczy, jak mało jest w brazylijczykach zamiłowania do wszelkiego porządku i kontroli.

Kompanie tramwajowe, a jest ich podobno cztery w Rio, chcąc położyć koniec nadużyciom konduktorów, pobierających zapłatę, chciały zaprowadzić bilety. Z tego powodu powstał w mieście formalny bunt. Publiczność ani słuchać nie chciała o podobnej nowości, a kiedy zarząd tramwajowy nalegał, przyszło do rozmaitych starć, a w końcu zagrożono rozbijaniem wagonów. Wdała się wreszcie policja i dla położenia końca nieporządkom, oraz zapobieżenia poważniejszym zaburzeniom, postanowiono, że konduktor nie będzie wręczał pasażerowi biletu, ale wydarszy go z książeczki, sam zniszczy. Ten zwyczaj istnieje dotąd, a łatwo sobie wyobrazić, jak skutkiem tego dochody towarzystwa zawisły od wspaniałomyślności konduktorów.

Korzystając tedy z tak ułatwionej komunikacji, wsiedliśmy do tramwaju, aby zwiedzić północną część miasta.

Przedostawszy się przez istny labirynt uliczek, wjechaliśmy wreszcie na nieco obszerniejszy plac, na którym z jednej strony znajduje się ładny budynek, mieszczący drukarnie rządowe, a naprzeciwko seminarium duchowne. Jestto gmach stary, wybudowany

przez Portugalczyków, w którym pomieścićby się mogło przeszło 60 alumnów. Niestety, w tej chwili jest ich tylko pięciu. Można ztąd łatwo mieć wyobrażenie, jak mało jest kandydatów do stanu duchownego. Obecni kierownicy seminaryum, Ojcowie Lazaryści, objaśnili mnie, że były lata, w których mieli tylko dwóch uczniów. W seminaryum bywałem częstym gościem, O. Hehn bowiem, wiceregens i profesor, kapłan wielce gorliwy, światły i uczynny, chętnie dostarczał mi informacyi, a przytem ze szczerą gotowością oddawał liczne usługi. Jestto jedyny kapłan w Rio, który żywo interesuje się losem naszych emigrantów i z niejedną przychodzi im pomocą.

Z seminaryum wiodła nas szeroka ulica, ciągnąca się nad brzegiem zatoki do przedmieścia Lapa. Jestto jedna z piękniejszych dzielnic Rio. Otwarty widok na morze, domy czyste i nowe, znaczna ilość drzew, liczne skwery, nadają jej charakter weselny. Niestety jednak i tutaj nieznośna woń psuje dobre wrażenie.

Pod względem zdrowotności, Lapa nie różni się od reszty miasta. Żółta febra panuje tu uporczywie, do czego przyczyniać się ma podobno grunt bagnisty, oraz wyziewy z zatoki. Pomimo to Lapę zamieszkuje zamożniejsza ludność, skutkiem czego co chwila spotyka się wielce gustowne pałacyki i domy, otoczone ogrodami, a tysiące olbrzymich palm i dracen wystrzeliwa ku niebu.

Municypalność otacza tę dzielnicę szczególną troskliwością, otwierając coraz to nowe ulice, gdzie na gruzach dawnych portugalskich domów powstają

piękne, nowoczesnemu gustowi i wygodom zupełnie odpowiadające kamienice. Gdyby nie widok czarnych twarzy i podzwrotnikowej roślinności, możnaby przypuszczać, że jest się w jednym z piękniejszych miast europejskich.

Za Lapa rozpoczyna się przedmieście Botafogo, pod względem zewnętrznego wyglądu zupełnie do pierwszego podobne. Tutaj znajduje się olbrzymia akcyjna przędzalnia, która wszakże wyrabia tylko ordynarniejsze płótna i perkale. Administracja fabryki wybudowała duże domy, w których robotnicy, za stosunkowo niewielką opłatą, znajdują wygodne mieszkania. Zaznaczyćby tylko należało, że miejsce nie zostało dosyć szczęśliwie wybrane, bo Botafogo osławione jest z żółtej febry, do której wiele przyczynia się duża łącha morska, nieposiadająca żadnego odpływu i z tego powodu pod względem higienicznym wprost zabójcza. Wprawdzie municypalność zamierza osuszyć łąkę, ale od lat paru, jak projekt ten istnieje, trudno jej jakoś zebrać się do urzeczywistnienia go. Pomimo tego wiele osób ma i tutaj swoje piękne wille, szczególnie też w części dzielnicy, przylegającej do Ogrodu botanicznego. Ale bo też rzeczywiście, jeżeli czem Rio poszczycić się może, to swoim *Jardim botanico*.

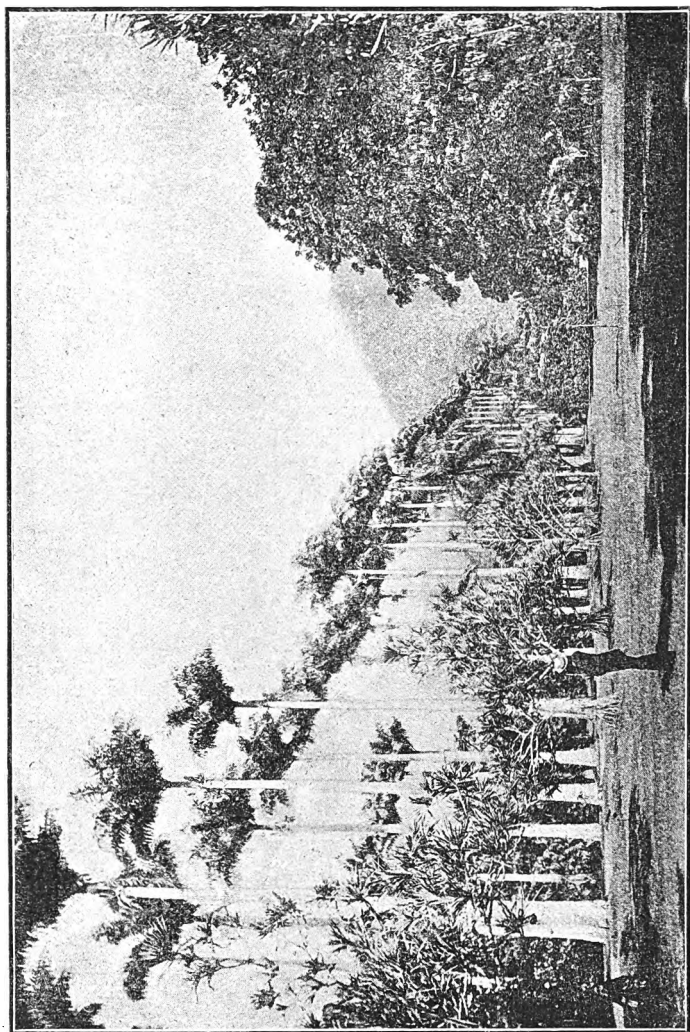
Przez piękną bramę wchodzi się wprost do długiej alei palmowej, która przecina wszczę cały ogród. Aleja ta jest najwyższą ambicją każdego mieszkańca Rio, to też uważa on za pierwszy obowiązek pokazać ją każdemu cudzoziemcowi. Istotnie, ile potrzeba było

trudu i pilności, aby te kilkaset palm z taką symetrią i jednostajnością wyhodować! Jedna od drugiej nie jest o jedną stopę wyższa, a nawet pod względem objętości są sobie zupełnie równe. Dosięgły one najwyższej wysokości, a rozłożyste ich korony schodzą się ze sobą w górze i stanowią nad całą ulicą wspaniały, jakby ze strusich piór, baldachim. Szkoda tylko, że chwile alei są już policzone, palma bowiem najwyższej może przetrwać trzydzieści lat, te zaś mają już 25. Widać też, iż niektóre z nich zaczynają u podstaw swoich pni próchnieć. Niebawem więc Ogród botaniczny straci najpiękniejszą swoją ozdobę.

Po palmach zwracają na siebie oczy profana olbrzymie krzewy bambusowe, dochodzące niekiedy do dziesięciu metrów wysokości. Przy najłżejszym powiewie wiatru wydają one dziwny łoskot, przypominający łamanie drzewa. Łodygi, a raczej proste zielone kije, są prawie zupełnie огоłocone z liści, u wierzchołka dopiero posiadają drobne, podługowate listki. Z krzewów bambusowych urządzono również fantastyczne aleje i klomby.

Nie mam pojęcia o botanice, ale p. Alvares, który jest wielkim miłośnikiem roślin, objaśnił mnie, że Ogród botaniczny posiada wszystkie istniejące odmiany palm i dracen, a także okazy najznamienitszych drzew i krzewów Brazylii. Utrzymany on jest przytem we wzorowym porządku, a jak niegdyś cesarstwo, tak obecnie republika, nie szczędzi poważnych nakładów na jego upiększenie i uzupełnienie.

W większe uroczystości i święta narodowe odby-



Aleja palmowa (Jardim botânico) w Rio.

wają się tutaj zabawy ludowe, a publiczność w tak wielkiem poszanowaniu ma ogród, że uszkodzenia drzew, kłębów, krzewów i trawników są rzeczą nieznaną.

O ile i pod tym względem Warszawa niżej stoi od Rio!

Zwiedzanie Ogrodu botanicznego zabrało nam około dwóch godzin czasu. Należało się więc śpieszyć, aby jeszcze przed zachodem słońca ujrzeć Rio ze szczytu *Corcovado*.

Przed ośmiu laty towarzystwo angielskie za 800 kontów wybudowało na szczyt tej góry kolej trybową. Było to istotnie szalone przedsięwzięcie. Patrząc zdołu na te ścięte niemal ściany olbrzyma, który, jak wspomniałem, w kształcie kazalnicy panuje nad miastem, oceanem i zatoką, zdaje się rzeczą niepodobną, aby człowiek wdrzeć się tam zdołał, a cóż dopiero pociąg! Mogę też śmiało powiedzieć, że jestto najbardziej karkołomna droga, jaką kiedykolwiek w życiu odbywałem.

Tor kolejowy wije się formalnie na skrawkach skały, lub przebiega po ażurowych mostach, z których jeden ma 100 metrów długości, a 70 wysokości.

Najbardziej jednak niebezpieczna przestrzeń rozpoczyna się od ostatniej stacyi, Paneiras, gdzie znajduje się duży hotel, w którym wielu szuka schronienia podczas żółtej febry w mieście. Skutkiem dziwnego kaprysu natury, kolej odtąd nie idzie po skale, ale po ziemi, a nadto zmuszona jest okrążyć połowę góry, aby dotrzeć pod sam szczyt. To właśnie okrą-

żanie ma miejsce nad straszną przepaścią, sięgającą aż do samego podnóżka góry, tak, że wychyliwszy się nieco z wagonu, widać pod sobą na 650 metrów ocean, a na nim okręta, podobne do małych czółen. Są chwile, kiedy doprawdy czuje się zimny dreszcz, przebiegający po skórze. Większość też pasażerów wysiada na stacyi Paneiras i ztąd piechotą dostaje się na szczyt.

Wszystkie jednak wzruszenia niebezpiecznej przeprawy sownie wynagradza widok, jaki się rozpościera przed oczyma z wierzchołka Corcovado.

Dzień był prześliczny, a powietrze tak czyste, że dojrzelśmy na 100 mil morskich odległe Capo Frio. Miasto, ze swoją fantastyczną, zębatą rozległością, leżało u naszych stóp, jak na dłoni.

Tu dopiero widzieć można, jak olbrzymią przestrzeń zajęła stolica Brazylii.

Rysunek zatoki, okalające ją skały, ożywiony na niej ruch okrętów, statków i bark, wszystko przedstawiło się nam w pełnym uroku. W dodatku, jakby na dopełnienie wspaniałego widoku, słońce zaczęło się skłaniać ku zachodowi i oblało złocistym światłem czarującą panoramę. Mimowoli stanęło mi w pamięci z Ewangelii kuszenie Chrystusa Pana przez szatana. Wistocie, tylko z podobnego szczytu i takim widokiem mógł nęcić ów duch złego.

Już dobrze zmierzch począł zapadać, a świstawka konduktorska nagliła nas do powrotu, kiedyśmy wsiedli do wagonu. Jakby zahypnotyzowany potęgą odnie-

sionego wrażenia, każdy przymykał oczy, aby pozwolić wryć się w pamięć wspnianemu obrazowi.

Jeżeli Rio od strony zatoki wydało mi się jakąś fantazją, to ze szczytu Corcovado oglądałem je w imponującej rzeczywistości. Tam chciałoby się być poetą, tu malarzem, czuję jednak, że żadne pióro i żaden pendzel nie byłyby zdolne oddać tych piękności, jakie oko oglądało. Pomimo to, liczba udających się na szczyt Corcovado ma być bardzo niewielką, skutkiem czego towarzystwo kolejowe zbankrutowało i zmuszone było całą drogę, wraz z taborem, sprzedać za 200 kontów jakiemuś francuzowi, który jest zarazem właścicielem hotelu w Paneiras i przez to ma sposobność straty na kolei odbijać sobie w cenach za pomieszczenie i żywienie swoich gości.

Na drugi dzień, z samego rana, wybraliśmy się na dalszą po mieście wędrowkę.

Pierwsze nasze kroki skierowaliśmy do Muzeum narodowego, które się mieści wprost ogrodu Aclamação. Budynek to niepokąźny, jednopiętrowy, ale za to zawiera obfity zbiór okazów, mianowicie też fauny brazylijskiej. Niezmiernie ciekawą jest kolekcya strojów, broni i narzędzi indyjskich, przyczem umieszczono wyrobione z masy tekturowej typy różnych szczepów Indyan. Głównie reprezentowany jest świat gadów. Liczne gatunki olbrzymich węzów, krokodyłów, aligatorów, jaszczurów, jaszczurek, ropuch i żab, zajmują dwie obszerne sale. W osobnej szafce nęci oko zbiór licznych kolibrów. Każdy niemal okaz przedstawia prześliczną grę kolorów, które w oświetleniu dziennem

mienia się stokrotnymi farbami. Podziwiać także wypada bogate ubarwienie papug, których dostarcza północna przeważnie Brazylia.

Nie dziwię się też wcale, że fabrykacya kwiatów z piór jest jedną z osobliwości Rio. Oglądałem później całe bukiety, fantazyjne wachlarze, przepiękne serwety, wykonane z piór, które nie tylko że przedstawiają olbrzymie bogactwo kolorów, ale ładując się podobnie do naturalnych kwiatów. Wyroby te niekiedy dochodzą do wysokich cen, zależy to od gatunków piór i misternego wykończenia. Pewien książę, będąc w Rio przed kilku laty, kupił na przykład wachlarz z piór za 2000 milrejsów, to jest około 4000 franków. Na ostatniej wystawie paryskiej piórowe kwiaty z Rio otrzymały najwyższą nagrodę. Wykończaniem ich zajmują się przeważnie młode dziewczęta w domach prywatnych, przyczem fantazyja ich i gust stanowią o wysokości zarobku. Wyroby z piór są w handlu przeważnie jako okazy osobliwe, do praktycznego bowiem użytku dotąd nie służą.

Podobno zbiór okazów flory jest w Muzeum bardzo dokładny, ocenić wszakże tego nie mogę. Zajęła natomiast moją uwagę bogata kolekcya słoików drzewnych, które istotnie w zdumienie wprowadzają ryśnięciem i kolorami.

Z Muzeum udaliśmy się do przeciwległego ogrodu Aclamação. Nazwa ta jest świeżą, nadała ją republika, ogród bowiem był niegdyś przedmiotem szczególnej troskliwości cesarza i nosił jego miano. Nadawszy nazwę, republika pomyślała także i o tem,

aby zatrzeć wszystkie cechy cesarstwa i w tym celu dopuściła się śmiesznego wandalizmu. Oto na ażurowych żelaznych słupach ogrodzenia znajdowały się herby państwowe z koroną cesarską. Herby te zostawiono, ale postrącano z nich korony, tak, że na ich miejscu świecą obecnie paskudne dziury. Podobnie uczyniono i z latarniami, które obecnie, zamiast koron, noszą naprędce przylutowane kule blaszane.

Wogóle, republika skwapliwie stara się zniszczyć ślady cesarstwa, a swoją republikańską pruderyę posunęła aż do tego stopnia, że paruset rodzinom nędzarzy, których szlachetny monarcha ze swojej prywatnej szkatuły bronił od śmierci głodowej, odmówiła wszelkich wsparć i zapomóg.

Ale wróćmy do ogrodu. Nie jest on tak imponujący, jak *Jardim botanico*, a przedewszystkiem nie zajmuje tak wielkiej przestrzeni, zawsze jednak stanowi prawdziwą ozdobę miasta, a wieczorem, kiedy skwar słoneczny mniej dokucza, bardzo przyjemne miejsce przechadzki. Pełno dużych drzew, palm, krzewów azalii, a przytem gustownie urządzone klomby i trawniki. Jakiś miejscowy inżynier urządził tu sztuczną grootę stalaktytową, która w gorącej porze dnia, skutkiem umiejętnie przeprowadzonej wody, stanowi dla przechodniów przyjemne schronienie. Przed grocią fantastycznie ułożone zostały, z cementu wykonane, imitacje kamieni i drzew skamieniałych, które zarazem służą za kładkę po założonej tamże sadzawce.

Po drugiej stronie ogrodu Aclamação znajduję

się koszary straży ogniowej, z której zręczności i dzielności dumni są mieszkańcy Rio.

Nieoceniony w swej uprzejmości p. Alvares zgutował mi tutaj przyjemną niespodziankę. Kiedyśmy bowiem weszli do koszar, uprzedzony przez niego komendant zaalarmował straż. Na dany sygnał trąbką, otworzyły się automatycznie drzwi stajen i w pełnym galopie wypadło trzydzieści par mułów w uprzęży. Każda para stanęła przy dyszlu swego wozu, sikawki lub beczki, gdzie w okamgnieniu została przez strażaków wprzągnięta. Od chwili dania sygnału, według zegarka, w niespełną minutę straż była gotowa do wyruszenia.

Strażacy rekrutują się przeważnie z Indyan, co zresztą zaraz widać po ich rysach, lub mięszańców, tak zwanych „kabokłów.“ Są oni jakoby najzwinniejsi do tej uciążliwej służby. Jeżeli niema pożaru, odbywają z nimi ustawiczne ćwiczenia. Również i muły są tresowane.

Dzięki wzorowemu wyćwiczeniu straży i zdumiewającej szybkości, oraz doskonałej komunikacji telefonicznej z odległymi dzielnicami, większe pożary, pomimo tak zacieśnionego zabudowania miasta, należą do rzadkości. Dodać wypada, że wszystkie najnowsze ulepszenia znalazły tutaj zastosowanie; i tak na przykład w każdym oddziale straży — a jest ich w Rio cztery — znajduje się wodomierz, wskazujący, ile w pojedynczych dzielnicach jest w danej chwili wody, która aż z trzech, o kilkadziesiąt kilometrów odległych, punktów jest sprowadzana do miasta.

Skoro już mowa o osobliwościach stolicy Brazylii, to należy przedewszystkiem wspomnieć o szpitalu *Casa misericordisima*, wybudowanym na bulwarze Santa Lucia. Powstał on w oryginalny sposób.

Dom Pedro II, znając próżność brazylijczyków i ich zamięłowanie w orderach i tytułach, postanowił te skłonności wyzyskać dla dzieła miłosierdzia. Przeznaczywszy więc sam poważną sumę na budowę nowego szpitala, nadawał ofiarodawcom, w stosunku do złożonych kwot, różne tytuły i ordery. Przybyło wprawdzie skutkiem tego Brazylii bez liku hrabiów, wicomtów, baronów, komandorów i kawalerów, ale za to Rio posiada jeden z najwspanialszych szpitali na świecie.

Zebrano tym sposobem około 2000 kontów, co na ówczesny kurs waluty brazylijskiej przedstawiało przeszło cztery miliony franków. Za te pieniądze stanął budynek olbrzymi, obejmujący 10.000 metrów kwadratowych, a dający pomieszczenie około 1200 chorem.

Wszystkie wymagania nowoczesnej higieny szpitalnej zostały tutaj spełnione. Ściany obszernych, wysokich i widnych sal wyłożono do połowy porcelanowymi kaflami. Łóżka szerokie i wygodne stoją od siebie w znacznym odstępie, a każde osłonięte jest kotarą z białego płótna. Duże oszklone korytarze służą rekonwalescentom do przechadzki. Apteka, ambulatorya, szatnie, kuchnie, pralnie, są urządzone nietylko wygodnie, ale z komfortem. W zdumienie wprowadza mnie wyborna wentylacya, dzięki której nie

czuć było zwykłego odoru szpitalnego. Porządek panuje wszędzie wzorowy, a wszystko lśni się od czystości. Szpital obsługują Siostry Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo, które, jak wszędzie, tak i tutaj, są aniołami opiekuńczymi chorych.

Niestety, dwa inne istniejące w Rio szpitale, *S. Sebastiao* i *S. Francisco Xavier*, gdzie przeważnie mieszczą chorych na żółtą febrę, nie są zgoła podobne do *Casa misericordissima*. To też wśród biedniejszej ludności istnieje przekonanie, że każdy, kto się tam dostaje, umierać musi.

Tylekrotnie byłem zarzucany pytaniami o naturę żółtej febry, że chciałbym dać przy tej sposobności choć pobieżny opis tej zjadliwej choroby. Naturalnie nikt nie może wymagać odemnie patologicznej ścisłości, mogę tylko zdać sprawę z tego, com okiem i uchem profana widział i słyszał.

Żółta febra (*febris amarella*) nie jest w Rio zarazą stałą, ale panuje głównie w sezonie letnim i jesiennym, mniej więcej od lutego do maja. W tym roku przeciągnęła się ona wyjątkowo długo, tak, że kiedy opuszczałem Brazylię — a więc w połowie czerwca — grasowała jeszcze w najlepsze.

Pierwsze objawy tej zarazy polegają na lekkim, charakterystycznym bólu głowy i łydek, oraz łamaniu krzyża i bioder. W pierwszych zaraz chwilach chory nabiera żółtej cery i ztąd, zdaje się, pochodzi miano choroby. Niebawem przyłącza się silna gorączka, wymioty i utrata przytomności. Ratunek, choć niezawsze ze skutkiem, jest tylko możliwy w pierwszych kwa-

dransach i polega na gwałtownych środkach czyszczących, oraz wzbudzeniu potów. Śmierć zazwyczaj następuje w ciągu dwunastu godzin, zdarza się jednak, że chory walczy z życiem przez dwa i trzy dni. Kto jednak przetrwał ten ostatni okres, jest zazwyczaj ocalony. Dla cudzoziemców jest żółta febra prawie w 80% wypadków zabójczą.

Opowiadano mi charakterystyczny objaw, a mianowicie, że w razie deszczu wszyscy w tym czasie chorzy umierają, jednocześnie jednak podczas kilku następnych dni febra słabnie i wypadki zapadnięcia na nią zmniejszają się.

Środki zapobiegawcze w rzeczywistości nie istnieją. Lekarze zalecają jednak w czasie epidemii życie dyetetyczne i spokojne, wystrzeganie się owoców i napojów rozpalających, oraz chłodzących, a nade wszystko unikanie pobytu w mieście, počawszy od zmierzchu aż do rana. Zdarzają się jednak wypadki, że zachowujący najściślej te ostrożności, podlegają zarazie.

Siedliskiem głównem choroby ma być wątroba.

Drugą chorobą, która również srodze daje się we znaki mieszkańcom Rio, jest tak zwana *Beriberi*. Polega ona na gwałtownem i monstualnem spuchnięciu całego ciała, które połączone jest z ogromnemi bólami i zazwyczaj po dwóch lub trzech tygodniach sprowadza śmierć.

Jak na żółtą febrę, tak i na *Beriberi*, medycyna nie posiada lekarstwa. Jedyny podobno skuteczny środek stanowi kilkodniowy pobyt na morzu. Stwier-

dzono jakoby, że chorzy, odbywający podróż z Rio do Bahii, w ciągu czterech dni, przybywali na miejsce zdrowymi, bez użycia żadnych lekarstw.

W obu chorobach rekonwalescencya jest bardzo długa i uciążliwa.

Dzięki tym fatalnym warunkom higienicznym, kogo tylko stać na to, ucieka poza miasto. Z tego powodu cała ludność zamożniejsza zamieszkuje przedmieścia i okolice Rio. Uprzywilejowaną siedzibą bogatych mieszkańców stolicy jest „Tijuca,” dzielnica, która zapożyczyła nazwy od najwyższego szczytu pasma gór, otaczających Rio.

Na przestrzeni siedmiu kilometrów, po niezna-
cznej z początku pochyłości, wiedzie szeroka ulica
z fantastycznymi po obu stronach pałacami i willami.
Budynki te, pod względem stylu i estetyki, pozostawiają
wiele do życzenia, są bowiem zazwyczaj krzy-
żące, ale za to przedstawiają różnorodność oryginalną.
Szczególnego uroku dodają im ogrody z całym bo-
gactwem podzwrotnikowej roślinności.

Co rano, około dziewiątej, mieszkańcy tutejsi
konno, tramwajami, lub własnymi powozami, śpieszą
do miasta, gdzie ich zajęcia i obowiązki trzymają do
godziny czwartej, o tej zaś porze stolica się wyludnia,
a wszystko powraca do swoich zamiejskich siedzib.
Pozostają tylko biedacy, lub ci, którzy do późnego
wieczora pracować muszą na kawałek chleba.

Żałuję bardzo, że właśnie w dniu tym opary wo-
dne osłoniły miasto, zatokę i przeciwległe góry. Widok
tedy ze szczytu nie był tak imponujący, ale zawsze

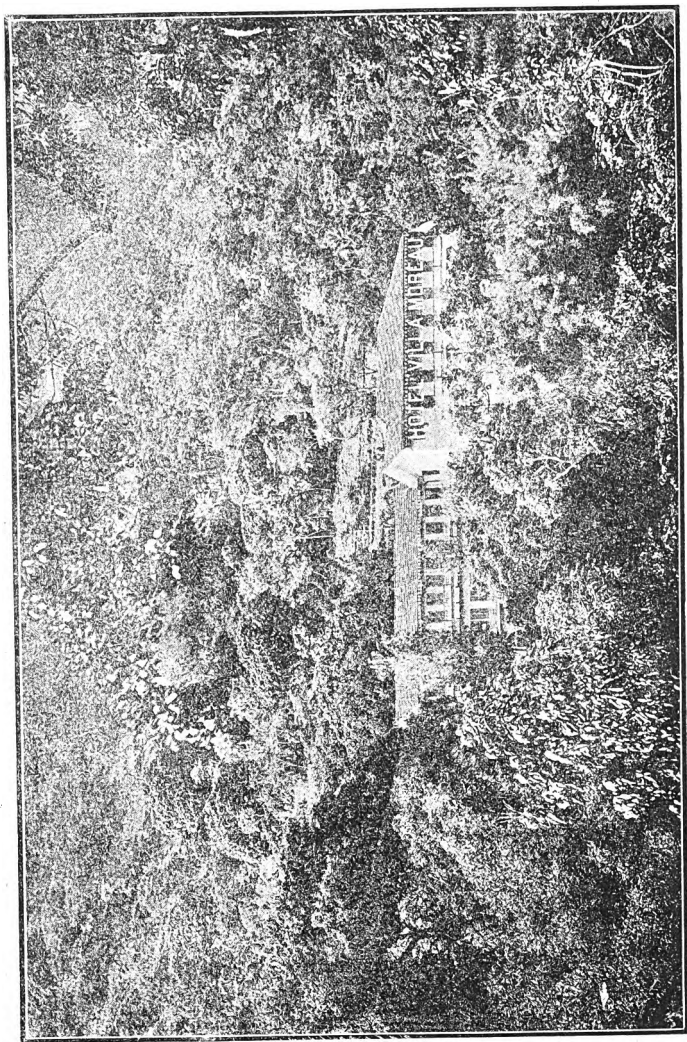
nabrać mogłem wyobrażenia, jak wspaniała roztacza się ztąd przed okiem panorama, nie tak szeroka wprawdzie, jak z Corcovado, ale za to misterniejsza i bardziej podnosząca piękność szczegółów uroczego położenia.

Charakterystycznym jest, że rosnących tutaj lasów nie tknęła ręka ludzka i dlatego, obok wyszukanych dzieł żadnego wygody i komfortu człowieka, można oglądać zarazem dzikość przyrody w całej fantazyi i majestacie.

Wśród tej dzikiej przyrody znajduje się hotel *Villa Moreau*, w którym zamieszkaliśmy, a do którego z centrum miasta dojeżdża się tramwajem w ciągu pięciu kwadransy. Większa część cudzoziemców szuka tutaj schronienia przed żółtą febrą. Niestety, napływ gości jest tak wielki, że znajdujący pomieszczenie zaliczają się do rzędu wybrańców fortuny. U podnóżka Tijuci znajdują się jeszcze dwa inne hotele: *Brasil* i *Weita*, oba jednak równie przepełnione, jak i willa Moreau.

Po Tijuce równie uprzywilejowanym miejscem zamieszkania jest dzielnica Izabel.

Udając się do niej, przejeżdżaliśmy nieopodal placu wyścigowego. P. Alvares, który jest zapalonym sportsmanem, objaśnił mnie, że wyścigi konne stanowią jedną z najulubieńszych uciech mieszkańców stolicy. Istnieje też tutaj aż pięć towarzystw, które bardzo często urządzały wyścigi, a ponieważ żadna pora roku nie przedstawia im przeszkody, przeto niema



Willa Moreau na Tijuče.

prawie tygodnia, aby raz lub dwa nie odbywały się owe popisy hipiczne.

Konie, po większej części, są sprowadzane z Europy i to okazy najlepsze, liczne bowiem spółki nie żałują na to pieniędzy.

Wyścigi nie mają żadnego wpływu na hodowlę koni, która w Brazylii jest w stanie prawie pierwotnym. Konie wierzchowe i powozowe przybywają zazwyczaj z Argentyny i są bardzo drogo opłacane. W ostatnich czasach zaczęto zajmować się hodowlą koni w stanie Rio Grande do Sul, dotąd wszakże nie rozwinęła się ona do tego stopnia, aby zadośćuczyniła zapotrzebowaniu. Natomiast muły prawie wyłącznie z tamtąd pochodzą. Ładny muł kosztuje od 150 do 400 milrejsów. Naturalnie, że szczególnie piękne okazy są w wyższej cenie.

Plac wyścigowy, o ile go w przejeździe widzieć mogłem, jest urządzony ze zbytkiem. Olbrzymią arenę otaczają sztachety. Trybuny, bardzo gustowne co do stylu, są zbudowane po większej części z żelaza. Osobna kolej dowozi w dniach wyścigów tysiące żądnych wrażeń widzów. Każdy przybywający poczytuje przede wszystkim za swój obowiązek grać. Zapewniano mnie, że nawet młode panny bardzo żarliwie próbują szczęścia. To też totalizatorów jest bez liku. Oprócz tego prywatni przedsiębiorcy przyjmują zakłady, nie mówiąc już o zakładach między samymi widzami. Z tego, com słyszał, nabrałem przekonania, że pasya do gry sprowadza głównie takie tłumy na plac wyścigowy.

Dzielnica Izabel nie przedstawia się już tak wspaniale, jak Tijuca. Przedewszystkiem rozciąga się ona na płaszczyźnie i z tego powodu oko całości objąć nie może. Braknie też tu tej dzikości, jaka zdobi Tijucę. Pałace jednak i wille są niemniej oryginalne, a ogrody w okazy południowej flory bardzo bogate.

Gorączka budowlana, która skutkiem nadmiernego napływu ludności zapanowała w Rio, wpłynęła na niesłychane podrożenie placów nawet na przedmieściach. Jako przykład przytoczę, że p. Alvaresowi, który na Izabel zamieszkuje piękną willę, ofiarowano za przestrzeń 2000 metrów 80 kontów, to jest około 140.000 franków. Nie sprzedał jej jednak, uważając cenę za niedostateczną.

Jeżeli ktoś posiada wrażliwe powonienie, to radzę mu za żadną cenę nie zwiedzać nadmorskiej dzielnicy handlowej w Rio. Wistocie, tu już chustki od nosa odjąć niepodobna. Nasz Pocijów, Gnojna, Franciszkańska, Bugaj, są ideałem czystości, porządku i dobrego powietrza, w porównaniu z tą stroną brazylijskiej stolicy. Jestto zarazem i najstarsza część miasta. Przecinają ją ulice wąskie i brudne, z domami odrapanymi. Śmieci i różnych odpadków pełno.

Liczne magazyny znajdują się tutaj, a ztąd ruch ładownych wozów jest tak olbrzymi, iż niepodobna prawie przejść. Składy suszonego mięsa, ryb i tranu, oraz dystylarnie kaszasu (okowity z trzciny cukrowej), wydają odór nieznosny, z którym połączony dym kominów okrętowych i fabrycznych, specyficzna woń

morza, a wreszcie wyziewy z rynsztoków, wytwarzają powietrze niemal odurzające. Pomimo to zapewniono mnie, że właśnie ta najobrzydliwsza część miasta najmniej nawiedzana bywa przez żółtą febrę. Widocznie nawet mikroby, których dotąd medycyna domniemywa się tylko w żółtej febrze, żyć w onej strasznej atmosferze nie mogą.

Czyniono już niejednokrotnie starania, aby tę część miasta oczyścić, ale nie na wiele się to przydało. Potrzebaby właściwie wszystko zburzyć i na nowo zbudować.

Tłumaczono mi, że obecnie jest już tu lepiej, ale w takim razie ciekawy jestem, jak wyglądać musiało dawniej, jeśli ono odnośnie „lepiej“ jest tak ohydne.

Odetchnąłem też swobodniej, znalazłszy się po za miastem, w dokach, które ze wszechmiar są ciekawe. Port Rio należy do najruchliwszych, wszystkie bowiem statki, dążące do Ameryki południowej, zatrzymują się tutaj. Dla tej przyczyny wybudowano i doki olbrzymie, tak, że największe potwory morskie znaleźć tu mogą w razie potrzeby pomieszczenie. Jest to potężne, w skale wykute, podługowate łożysko, 60 metrów głębokie, a 175 długie, zamykane żelaznymi wrotami, z którego maszyny parowe wypompowują wodę i tym sposobem „osuszają“ podlegający naprawie okręt.

Oglądałem tutaj później niefortunną naszą „Portugal“, która w podróży, między Montevideo a Rio, podczas burzy utraciła jedno skrzydło i musiała poddać się siedmiodniowej reparacyi.

Doki stanowią własność towarzystwa akcyjnego, które każe sobie słono płacić za ich użytek. Wybudowanie ich kosztowało 3000 kontów, to jest, według ówczesnego kursu, przeszło siedm milionów franków.

Należy mi jeszcze wspomnieć o kościołach w Rio.

Stolica Brazylii posiada wogóle 36 świątyń. Wszystkie jednak nie przedstawiają nic szczególnie interesującego. Zazwyczaj znajdują się one w ciasnych ulicach, wciśnięte między domy, tak, że zewnętrzna ich struktura ginie. Wyróżnia się tylko katedra, niewielka, co prawda, ale imponująca swoją wspaniałą, bizantyńską kopułą. Niestety, podczas mego pobytu odnawiano ten kościół, tak, że wewnętrznego urządzenia świątyni widzieć nie mogłem.

Piękny jest także kościół pod wezwaniem Najśw. Panny Maryi przy ulicy Premeira Marçao. Romańska jego fasada stanowi prawdziwą ozdobę stolicy.

Większość kościołów grzeszy nieładem, ubóstwem i zaniedbaniem wewnątrz. Pochodzi to ztąd, że znajdują się one w zawiadywaniu Bractw, które wszystkim innem się zajmują, tylko nie chwałą Bożą.

Przeważna część członków owych Bractw jest masonami. W r. 1886 biskupi usiłowali przeprowadzić reformę Bractw i w tym celu zabronili przedewszystkiem udziału w nich masonom. Wywiązała się skutkiem tego zaciepła walka kulturalna, podczas której dwóch biskupów osadzono w więzieniu. Rok przeszło trwał zatarg, a zakończył się, niestety, powroćeniem do dawnego trybu rzeczy. Masoni, jak dawniej, tak obe-

enie, władają kościołami i ich majątkami, a nawet znaczną częścią dochodów.

Można sobie wyobrazić, jak z tego powodu opłakane wytwarzają się stosunki.

Duchowieństwo ma ręce zupełnie skrępowane i nie w kościele rozporządzić nie może bez zezwolenia Bractw. Nawet co do nabożeństw i obchodów religijnych, mają one głos decydujący. Zdarzały się wypadki, że Bractwa, według swego kaprysu, zamykały kościół i wzbraniały proboszczowi spełniania w nim obrządków religijnych. Ci ostatni są zdani na ich łaskę i niełaskę.

Bractwa naturalnie nie dbają wcale o porządek, czystość i całość domów Bożych. Z użytku funduszy nie zdają przed nikim sprawy, a uroczystościom odbierają, o ile możności, charakter religijny. To też kościoły są w oburzającym nieposzanowaniu. Wchodzi się do nich z psami, zapala fajki w kruchcie. Na nabożeństwach świątynia świeci pustkami, ale za to przed nią, przy dźwiękach skocznej muzyki, odbywa się loterya fantowa, sztuczne ognie i t. p. uciechy.

Dzięki temu położeniu rzeczy, panuje w całej Brazylii przerażający indyferentyzm religijny.

Zdarzało mi się spotkać ludzi wykształconych, którzy nie posiadali pojęcia o najelementarniejszych zasadach wiary, nie mówię już o znajomości praktyk i obrządków religijnych. Słyszałem kilka osób poważnych, najprostoduszniej wygłaszających zdanie, że dopiero przy danej okoliczności zdecydują się, jakiego są wyznania.

Jestto otwarta rana na tle stosunków brazylijskich, która, Bóg wie, jak długo jeszcze jątrzyć się będzie i jakie za sobą pociągnie następstwa.

Mając zamiar udać się na prowincję dla bliższego poznania doli wychodźców, oraz warunków ich egzystencji i pracy, uważałem za rzecz stosowną uprzedzić o tem p. Accioli de Vasconcello, inspektora generalnego emigracyi i kolonizacyi, któremu przedstawiłem się już przedtem. P. Accioli jest już człowiekiem starszym. Aczkolwiek podobno wyznaje monarchiczne zasady, jednakże republika uznała jego długoletnie doświadczenie za nader cenne i pozostawiła go na dawnym stanowisku. Nie mogę osobiście panu inspektorowi generalnemu żadnych stawiać zarzutów, przeciwnie, względem mnie okazał się na każdym kroku wielce łaskawym i uprzejmym. Nabrałem jednak przekonania, że jest on zwolennikiem tłumnej emigracyi, bez względu na środki i sposoby, jakimi została wywołana, wyznając zasadę: że zawsze część przybyszów osiedli się w Brazylii, mniejsza zaś o tych, którzy zmarnieją, lub powrócą do Europy. Jednem słowem, zrobił on na mnie wrażenie krótkowidzającego rutynisty, chociaż uczciwego człowieka.

Projekt mój zwiedzenia prowincyi p. Accioli przyjął wprawdzie bez entuzjazmu, ale z całą uprzejmością, na dowód czego ofiarował mi bilety wolnej jazdy na koleje i okręta, oraz wszelką pomoc ze strony miejscowych biur kolonizacyjnych i emigracyjnych. Z pierwszej ofiary wymówiłem się bardzo delikatnie, uważałem bowiem, iż może ona mnie w następstwie

tylko krępować i nawet narazić na zarzut niewdzięczności. Co do drugiej, poprzestałem na prośbie, aby mi nie stawiano żadnych trudności. Dzięki stosunkom, jakie mi się udało wyrobić w prowincyi S. Paulo i Parana, nie potrzebowałem uciekać się ani do opieki, ani pośrednictwa biur kolonizacyjnych, lecz muszę przyznać, że one ze swojej strony nie stawiały mi najmniejszych przeszkód. Wchodziłem do domów emigranckich, zwiedzałem kolonie, rozmawiałem z wychodźcami, wypytywałem ich o szczegóły z najzupełniejszą swobodą.

Drugą podobną wizytę złożyłem u p. Fanora, dyrektora jednego z wielu towarzystw kolonizacyjnych, *Compania metropolitana*, która w stanie Parana posiada olbrzymie przestrzenie do rozkolonizowania.

P. Fanor, człowiek niezmiernie zręczny i sprytny, zgłosił się był przedtem do mnie, proponując zwiedzenie założonych już kolonij, celem przekonania się, czy stosowany przez kompanię system kolonizowania, miejscowy klimat i ziemia, nadają się do osiedlania polskich wychodźców. Proponowano mi odbycie tej wycieczki kosztem towarzystwa, na co również się nie zgodziłem, natomiast chętnie przyjąłem ofiarowane towarzystwo sekretarza kompanii, bardzo miłego człowieka i jednocześnie utalentowanego literata, p. Wiktora Nestora, który miał mi służyć za przewodnika w podróży po stanie Parana. Ze względu, że wprzód miałem się udać do stanu S. Paulo, więc umówiliśmy się, iż w oznaczonym dniu p. Nestor przybędzie do Santos, zkad okrętem wyruszymy dalej.

Ponieważ kandydaci do powrotu byli już wybrani, a doręczenie im biletów przejazdu przyjął na siebie p. Glinka, przeto w Rio nie miałem już nic do roboty.

Postanowiłem dnia 2 maja jechać dalej.

Gdyby nie rozłączenie z kochanym towarzyszem podróży, dzień mego wyjazdu nazwałbym bardzo przyjemnym, stolica Brazylii ma bowiem to do siebie, że ją się wita z ciekawością, żegna zaś bez żalu i z gorącym pragnieniem nieodwiedzania po raz wtóry.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



SPIS RZECZY.

ROZDZIAŁ I.

Str

W redakcyi. — P. Mikołaj Glinka. — Niespodziana propozycya. — Pobudki. — Moja refleksya i obawy. — Los Dygasińskiego. — Wyjazd.	1
---	---

ROZDZIAŁ II.

Berlin. — Zdumiewająca zmiana. — Przybycie do Bremy. — Luźne szczegóły o emigrantach. — Stowarzyszenie św. Rafała. — Ks. Schlosser i Prahaz. — Opowiadanie ks. Schlossera o emigrantach. — Bytność w „Lloydzie“ i układ z nim. — Wizyta u emigrantów. — Daremne przestrogi. — Miasto nowe i stare. — Bremerhawen. — Wyjazd do Paryża. — Wspomnienia.	9
--	---

ROZDZIAŁ III.

Przybycie do Paryża. — Interview p. Winnickiego. — Wieści o naszej podróży. — Wizyta u p. Argollo Ferrao. — Święta. — Święcone u hr. Z. — Rozmowa z p. Santa Anna. — Audyencya u nuncyusza. — Zaopatrzenie się w przybory podróżne. — Wyjazd z Paryża. — Droga do Madrytu. — Madryt. — Wjazd do Lizbony. — Stolica Portugalii.	23
--	----

ROZDZIAŁ IV.

Str.

Dziennik z okrętu.	50
----------------------------	----

ROZDZIAŁ V.

Wylądowanie i pierwsze wrażenia. — Żółta febra. — Powitanie dzienników. — Artykuł „Journal do Comerço”. — Moje refleksye. — Inne dzienniki. — Uprzejmość pp. Alvarez Franklina i syna, oraz senatora Gomenzoro.	101
---	-----

ROZDZIAŁ VI.

Emigrant w Rio. — Co go tu przypędza? — Klimat. — Oplakana wędrówka. — Ojciec i dziecko. — Zarobki. — Cena żywności i utrzymania. — Nęchymna zagłada. — Energia rządu brazylijskiego. — W kościele.	108
---	-----

ROZDZIAŁ VII.

Ciepło w Rio. — Względy higieniczne. — Willa Izabel. — Barak. — Opowieść Morawczyka. — Dekret policyi. — Dwaj inżynierowie. — Zabawa tutejszych Milusińskich. — Ostatnia posługa. — Ponte do Caju. — Nieopisana nędza. — Sam Pajo. — Baraki. — Warszawiacy. — Moja nieudolność.	115
---	-----

ROZDZIAŁ VIII.

Emigracya i agenci. — Niewolnictwo i emigracya. — Szlachetne zamiary i charakterystyka Dom Pedra II. — Ciężkie walki. — Pierwsza forma werbunku. — Wzrost emigracyi. — Prawo z 1871 i 1885 r. — Zmniejszenie się liczby niewolników. — Dobre przykłady. — Zupełne zniesienie niewolnictwa. — Wrzawa fazenderów. — Druga forma werbunku. — Głośni przedsiębiorcy werbunkowi Santos i Fioritta. — Olbrzymie środki i zyski. — Upadek cesarstwa. — Gospodarka rządu. — Niesłychane darowizny i koncesye. — Prawo emigracyjne z 28-go marca 1890 r. — Widoki na przyszłość. — Sowita nagroda.	128
---	-----

ROZDZIAŁ IX.

Ze stosunków politycznych.

Co przygotowało zamach stanu. — Niespodzianka dnia 15-go listopada 1889 r. — Główni działacze. — Sprzyjające okoliczności. — Przebieg zamachu. — Deodoro da Fonseca. — Uczniowie akademii wojskowej. — Wstrętna polityka. — Lojalność p. P.... — Wywiezienie cesarza. — Rząd prowizoryczny, jego gospodarka i reformy. — P. Glicerio i Ruiz Barboza. — Konstytucya brazylijska. — Wybór Fonseci na prezydenta. — Powołanie nowego gabinetu. — Br. Lucena. — Skarb i handel. — Widoki na przyszłość. . 145

ROZDZIAŁ X.

Pierwsze wrażenia. — Plac Dom Pedra II. — Ulice pryncypalne. — Tramwaje. — Lapa. — Botafogo. — Ogród botaniczny. — Corcovado. — Tijuca. — Plac wyścigowy. — Izabel. — Casa misericordissima. — Żółta febra. — Beri-beri. — Doki. — Kościoły. — Gospodarka Bractw. — Dwie wizyty. — Ostatnie wrażenia. 176



